



artefakty

# CHRISTOPHER PRIEST

ODWRÓCONY ŚWIAT



## Spis treści

[Prolog](#)

[Część pierwsza](#)

[Część druga](#)

[Część trzecia](#)

[Część czwarta](#)

[Część piąta](#)

Christopher Priest

ODWRÓCONY ŚWIAT

Przełożył Robert Waliś

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2016



Tytuł oryginału: *Inverted Word*

Copyright © 1974 by Christopher Priest  
Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-83-7480-692-3

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

*Gdziekolwiek byś zwrócił głowę,  
Wszystko obce, lecz nie nowe;  
Znój bez końca ponad siły  
Znój bez końca, by się mylić.*

Samuel Johnson

# Prolog

Elizabeth Khan zamknęła na klucz drzwi sali operacyjnej. Powoli powędrowała ulicą wioski do placu przed kościołem, gdzie gromadzili się ludzie. Przez cały dzień narastała atmosfera wyczekiwania, gdy potężne ognisko nabierało kształtu, a teraz podekscytowane wioskowe dzieci biegały po ulicy, czekając na rozpalenie ognia.

Elizabeth najpierw weszła do kościoła, ale nie znalazła tam księdza dos Santosa.

Kilka minut po zachodzie słońca jeden z mężczyzn podłożył ogień pod suchą hubkę u podstawy stosu drewna, który zajął się trzaskającym płomieniem. Dzieci płąsały i skakały, pokrzykując do siebie, podczas gdy drewno strzelało i pluło iskrami.

Mężczyźni i kobiety siedzieli albo leżeli na ziemi niedaleko ognia i podawali sobie butle z ciemnym, aromatycznym miejscowym winem. Dwaj mężczyźni usiedli na uboczu i delikatnie brzdąkali na gitarach. Muzyka była cicha, grana dla przyjemności, nie do tańca.

Elizabeth usiadła obok muzyków i raczyła się winem za każdym razem, gdy docierała do niej butla.

Później muzyka stała się głośniejsza i bardziej rytmiczna, a kilka kobiet zaczęło śpiewać. To była stara pieśń, a słowa napisano w dialekcie, którego Elizabeth nie mogła znać. Niektórzy z mężczyzn wstali i zaczęli tańczyć, trzymając się pod łokcie i zataczając, kompletnie pijani.

Reagując na wyciągnięte w jej stronę dłonie, które starały się ją podnieść, Elizabeth dołączyła do tańczących kobiet, które ze śmiechem próbowały nauczyć ją kroków. Spod ich stóp wzbijały się obłoki kurzu, powoli sunące w powietrzu, by w końcu wpaść w wir gorąca nad ogniskiem. Elizabeth napiła się więcej wina i zatańczyła także z innymi.

Kiedy przerwała, żeby odpocząć, uświadomiła sobie, że pojawił się dos Santos. Stał w pewnym oddaleniu od pozostałych, przyglądając się uroczystości. Pomachała do niego, ale nie odpowiedział. Zastanawiała się, czy nie jest zgorszony, a może po prostu był zbyt powściągliwy, żeby się przyłączyć do zabawy. Był nieśmiałym i niezręcznym młodzieńcem, który nie czuł się swobodnie w towarzystwie mieszkańców wioski i wciąż nie był pewien, jak go postrzegają. Podobnie jak Elizabeth, był tutaj nowy i pochodził z zewnątrz, ale ona uważała, że szybciej od niego przewycięży podejrzliwość wieśniaków. Jedna z miejscowych dziewczyn, widząc, że Elizabeth stoi z boku, chwyciła ją za rękę i pociągnęła z powrotem do tańca.

Ognisko stopniowo się wypalało, muzyka zwolniła. Żółty blask rzucany przez płomienie zmniejszył się do kręgu otaczającego sam ogień, a ludzie ponownie zasiedli na ziemi, zadowoleni, odprężeni i zmęczeni.

Elizabeth odmówiła kolejnej porcji wina i wstała. Okazało się, że jest bardziej pijana, niż się spodziewała, i lekko zachwiała się na nogach. Kilka osób do niej wołało, gdy się oddalała, opuszczając środkową część wioski i zanurzając się w mroku wiejskiej okolicy. Nocne powietrze trwało w bezruchu.

Szła powoli i oddychała głęboko, próbując przewietrzyć głowę. Dawniej miała swój ulubiony sposób chodzenia po niskich wzgórzach otaczających wioskę i teraz właśnie tak szła, lekko kołysząc się na nierównościach terenu. Kiedyś zapewne rozpościerały się tutaj surowe pastwiska, ale teraz w wiosce niczego nie uprawiano. To była dzika i piękna kraina, żółta, biała i brązowa w świetle słońca, teraz zaś, pod lśniącymi gwiazdami, czarna i chłodna.

Po półgodzinie poczuła się lepiej i ruszyła w drogę powrotną do wioski. Przechodząc przez zagajnik na tyłach domów, usłyszała głosy. Znieruchomiała, uważnie nasłuchując... ale docierały do niej tylko tony, a nie słowa.

Rozmawiali dwaj mężczyźni, ale nie byli sami. Od czasu do czasu słyszała głosy innych osób, które być może przytakiwały albo komentowały.



Chociaż to nie była jej sprawa, dręczyła ją ciekawość. Miała wrażenie, że rozmowa toczy się w atmosferze pośpiechu i bardziej przypomina kłótnię. Wahala się jeszcze przez kilka sekund, a następnie ruszyła w dalszą drogę.

Ognisko już się wypaliło: teraz na placu lśniły tylko rozżarzone węgle.

Udała się do swojej sali operacyjnej. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała jakiś ruch i zobaczyła mężczyznę, który stał przed domem wznoszącym się naprzeciwko.

– Luiz? – spytała, rozpoznając go.

– Dobry wieczór, Menina Khan.

Uniósł dłoń i wszedł do domu. Wyglądało na to, że dźwiga jakiś duży worek albo torbę.

Elizabeth zmarszczyła czoło. Luiz nie uczestniczył w uroczystościach na placu; teraz już była pewna, że to jego głos słyszała między drzewami. Jeszcze przez chwilę czekała w drzwiach sali operacyjnej, po czym weszła do środka. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, w oddali usłyszała tętent oddalających się galopujących koni, wyraźny pośród nieruchomej nocy.

# Część pierwsza

Osiągnąłem wiek sześciuset pięćdziesięciu mil. Za drzwiami członkowie cechu zbierali się na ceremonię, podczas której miałem zostać przyjęty na ucznia. To była chwila naznaczona podnieceniem i obawą, kilka minut, w których skupiało się całe moje dotychczasowe życie.

Mój ojciec należał do cechu, a ja zawsze patrzyłem na jego życie z pewnego dystansu. Postrzegałem je jako fascynującą egzystencję pełną celowości, etykiety oraz odpowiedzialności; nie opowiadał mi niczego o swoim życiu ani pracy, ale jego mundur, skrytość, a także częste nieobecności w mieście wskazywały na to, że zajmował się sprawami najwyższej wagi.

Za kilka minut otworzy się przede mną droga do takiego samego życia. To wielki zaszczyt i odpowiedzialność, zresztą żaden chłopiec, który dorastał za ograniczającymi murami ochronki, nie mógłby odmówić wykonania tego ważnego i emocjonującego kroku.

Ochronka mieściła się w małym budynku na południowym skraju miasta. Jego drzwi na co dzień pozostawały zamknięte, a zażywać ruchu można było jedynie w niewielkiej sali gimnastycznej oraz na malutkim podwórzu, które z czterech stron otaczały wysokie ściany budynków.

Podobnie jak inne dzieci zostałem oddany pod opiekę kierownictwa ochronki wkrótce po urodzeniu i nie znałem innego świata. Nie pamiętałem matki: opuściła miasto wkrótce po moim przyjściu na świat.

To był czas nudy, ale nie czułem się nieszczęśliwy. Zaprzyjaźniłem się z kilkoma osobami, a jedna z nich – niejaki Gelman Jase, chłopiec o kilka mil starszy ode mnie – została przyjęta na ucznia cechu niedługo przede mną. Nie mogłem się doczekać ponownego spotkania z Jase'em. Odkąd dorósł, widziałem go tylko raz, gdy na krótko wrócił do ochronki. Sprawiał wtedy wrażenie zamyślonego, co zazwyczaj charakteryzuje członków cechów, i

niczego się od niego nie dowiedziałem. Teraz jednak, skoro również miałem zostać uczniem, czułem, że będzie mi miał wiele do opowiedzenia.

Kierownik wrócił do poczekalni, w której stałem.

– Są gotowi – oznajmił. – Pamiętasz, co masz zrobić?

– Tak.

– Powodzenia.

Zauważyłem, że drzę, i zwilgotniały mi dłonie. Kierownik, który tego ranka przyprowadził mnie z ochronki, uśmiechnął się do mnie ze współczuciem. Uważał, że wie, przez co przechodzę, ale znał, dosłownie, tylko połowę prawdy.

Ceremonia w cechu to nie wszystko, co mnie czekało. Ojciec powiedział, że zaplanował dla mnie małżeństwo. Przyjąłem tę wieść ze spokojem, ponieważ wiedziałem, że członkowie cechów powinni wcześniej się żenić, a poza tym znałem wybrankę. Była nią Victoria Lerouex, z którą dorastałem w ochronce. Dotychczas nie miałem z nią wiele wspólnego – w instytucji przebywało niewiele dziewcząt i zazwyczaj trzymały się razem – ale nie byliśmy sobie obcy. Mimo wszystko perspektywa małżeństwa stanowiła dla mnie nowość i nie miałem czasu przygotować się na nią psychicznie.

Kierownik podniósł wzrok na zegar.

– W porządku, Helwardzie. Już czas.

Pośpiesznie uścisnęliśmy sobie dłonie i kierownik otworzył drzwi, a następnie przeszedł przez nie. Po drugiej stronie zobaczyłem kilku członków cechu, którzy stali na środku sali. Na suficie paliły się światła.

Kierownik zatrzymał się tuż za drzwiami i odwrócił, żeby przemówić do forum.

– Lordzie Nawigatorze. Proszę o audiencję.

– Przedstaw się – odpowiedział ktoś z poczekalni, w której stałem; nie widziałem, do kogo należy ten głos.

– Kierownik do spraw wewnętrznych Bruch. Na rozkaz swojego przełożonego wezwałem niejakiego Helwarda Manna, który stara się o pozycję ucznia w cechu pierwszej kategorii.

– Rozpoznaję cię, Bruch. Możesz wprowadzić ucznia.

Bruch odwrócił się w moją stronę, a ja, zgodnie z jego wcześniejszymi instrukcjami, wkroczyłem do sali. Na jej środku umieszczono niewielkie podium, za którym się ustawiłem.

Odwróciłem się twarzą do platformy.

Tutaj, w oślepiającym blasku nakierowanych na niego reflektorów punktowych, starszy mężczyzna siedział na krześle z wysokim oparciem. Miał na sobie czarną pelerynę ozdobioną wyszytym na piersi białym okręgiem. Wokół niego stali trzej mężczyźni, wszyscy ubrani w peleryny, ale każdego z nich zdobiła szarfa innego koloru. Na podłodze przed platformą znajdowało się kilkoro innych mężczyzn i kobiet. Był pośród nich mój ojciec.

Wszyscy na mnie patrzyli, a ja czułem wzbierającą nerwowość. W głowie miałem pustkę i wszystkie szczegółowe próby, które przeprowadzałem z Bruchem, poszły w zapomnienie.

W ciszy, która zapadła po moim wejściu, wpatrywałem się w mężczyznę siedzącego przede mną na środku platformy. Po raz pierwszy w życiu widziałem – a tym bardziej spotkałem – Nawigatora. W moim środowisku w ochronce o takich ludziach czasami mówiło się z szacunkiem, a czasami drwiąco, zawsze jednak z czcią, jaką obdarza się niemal legendarne postaci. Fakt, że jeden z nich się tutaj pojawił, podkreślało wagę ceremonii. W pierwszej chwili pomyślałem, że chciałbym o tym opowiedzieć pozostałym... ale zaraz sobie przypomniałem, że od tego dnia nic już nie będzie takie samo.

Bruch wystąpił naprzód i stanął przede mną.

– Czy pan Helward Mann?

– Tak jest.

– Jaki wiek pan osiągnął?

– Sześćset pięćdziesiąt mil.

– Czy zdaje pan sobie sprawę ze znaczenia tego wieku?

– Przyjmuję na siebie obowiązki osoby dorosłej.

– W jaki sposób najskuteczniej może je pan wypełnić?

– Chcę zostać uczniem w wybranym przez siebie cechu pierwszej kategorii.

– Czy już pan dokonał wyboru?

– Owszem.

Bruch zwrócił się do ludzi zgromadzonych na platformie i powtórzył treść moich odpowiedzi, chociaż byłem przekonany, że sami je słyszeli.

– Czy ktoś chce o coś zapytać ucznia? – odezwał się Nawigator do pozostałych mężczyzn na platformie.

Nikt nie odpowiedział.

– A więc dobrze. – Nawigator wstał. – Podejdź, Howardzie Mannie, i stań w miejscu, w którym będę cię widział.

Bruch usunął się na bok. Opuściłem podium i podszedłem do niewielkiego białego plastikowego okręgu, który osadzono w wykładzinie. Zatrzymałem się na jego środku. Przez kilka sekund przyglądano mi się w milczeniu.

Nawigator odwrócił się do jednego z mężczyzn u swojego boku.

– Czy są z nami zgłaszający?

– Tak, proszę pana.

– Doskonale. Jako że sprawa dotyczy cechów, musimy wykluczyć z niej wszystkich pozostałych.

Nawigator usiadł, a mężczyzna, który stał po jego prawej stronie, wystąpił naprzód.

– Czy znajduje się tutaj ktokolwiek nienależący do cechu pierwszej kategorii? Jeśli tak, niech zaszczyci nas swoją nieobecnością.

Zauważyłem, że Bruch, który stał za mną i nieco z boku, delikatnie uklonił się ludziom na platformie, a następnie opuścił salę. Nie był jedyny. Mniej więcej połowa ludzi zgromadzonych na środku sali skorzystała z któregoś z wyjść. Ci, którzy pozostali, zwrócili się w moją stronę.

– Czy pozostał ktoś nieznamy? – spytał mężczyzna na platformie. Odpowiedziała mu cisza. – Uczniu Helwardzie Mannie, znajdujesz się teraz wyłącznie w towarzystwie członków cechów pierwszej kategorii. Takie zgromadzenie to rzadkość w naszym mieście, dlatego powinienesz je

traktować z należytą powagą. Zwołano je ku twojej czci. Kiedy ukończysz naukę, ci ludzie staną się twoimi towarzyszami, a ciebie, podobnie jak ich, będą obowiązywały zasady cechu. Czy to rozumiałe?

– Tak jest.

– Wybrałeś cech, do którego chcesz wstąpić. Proszę, poinformuj wszystkich o swoim wyborze.

– Pragnę zostać Badaczem Przyszłości – oznajmiłem.

– Dobrze, to odpowiedź do przyjęcia. Jestem Badacz Clausewitz, twój mistrz cechowy. Wokół ciebie stoją inni Badacze Przyszłości, a także przedstawiciele pozostałych cechów pierwszej kategorii. Miejsce na środku zajmuje Lord Nawigator Olsson, który zaszczyił nas swoją obecnością.

Zgodnie z tym, czego nauczył mnie Bruch, złożyłem niski ukłon Nawigatorowi. Ukłon był jedynym, co w tej chwili pamiętałem z jego instrukcji: Bruch przyznał, że nie wie nic o szczegółach tej części uroczystości, i jedynie pouczył mnie, że powinienem okazać Nawigatorowi należny szacunek, kiedy zostaną mu oficjalnie przedstawiony.

– Kto zgłasza kandydaturę ucznia?

– Ja ją zgłaszam – odezwał się mój ojciec.

– Badacz Przyszłości Mann zgłosił ucznia. Kto popiera wniosek?

– Ja go popieram.

– Budowniczy Mostów Lerouex poparł wniosek. Czy ktoś zgłasza sprzeciw?

Zapadła długa cisza. Clausewitz jeszcze dwukrotnie powtórzył pytanie, ale nikt nie zaprotestował.

– Wszystko zgodnie z procedurą – rzekł Clausewitz. – Helwardzie Mannie, daję ci teraz możliwość złożenia przysięgi cechu pierwszej kategorii. Nawet na tym etapie wciąż możesz ją odrzucić. Jeżeli jednak postanowisz ją złożyć, będzie cię ona wiązała do końca twojego życia w mieście. Karą za złamanie przysięgi jest egzekucja bez sądu. Czy to dla ciebie całkowicie jasne?

Jego słowa mnie oszołomiły. Nikt mi o tym nie wspominał, ani mój ojciec, ani Jase, ani nawet Bruch. Może Bruch nie wiedział... ale ojciec

chyba powinien mnie ostrzec?

– A więc?

– Czy muszę zdecydować już teraz?

– Tak.

Byłem pewien, że nie pozwolą mi przeczytać przysięgi przed dokonaniem wyboru. Jej treść zapewne pomagała utrzymać tajemnicę. Czułem, że nie mam dużego wyboru. Zaszedłem tak daleko i już czułem na sobie presję systemu. Odrzucenie przysięgi po zgłoszeniu i przyjęciu kandydatury było niemożliwe, przynajmniej tak mi się wydawało.

– Złożę przysięgę.

Clausewitz zszedł z platformy, zbliżył się do mnie i wręczył mi białą kartę.

– Odczytaj ją, wyraźnie i głośno – polecił. – Jeżeli chcesz, możesz najpierw przeczytać ją w myślach, ale jeśli to zrobisz, przysięga natychmiast zacznie cię obowiązywać.

Pokiwałem głową, żeby pokazać, że rozumiem, a Clausewitz wrócił na podest. Nawigator wstał. Przeczytałem przysięgę po cichu, żeby zapoznać się z jej treścią.

Stanąłem naprzeciwko platformy, zdając sobie sprawę, że wszyscy skupiają na mnie uwagę, zwłaszcza mój ojciec.

– Ja, Helward Mann, jako odpowiedzialna osoba dorosła i obywatel Ziemi, uroczyście ślubuję:

Że jako uczeń cechu Badaczy Przyszłości będę dokładał wszelkich starań, aby wykonywać otrzymywane zadania;

Że będę przedkładał bezpieczeństwo miasta Ziemi nad wszelkie inne kwestie;

Że nie będę rozmawiał o sprawach swojego cechu ani innych cechów pierwszej kategorii z nikim, kto nie jest oficjalnie uznanym i zaprzysiężonym uczniem albo członkiem takiego cechu;

Że wszystko, czego doświadczę i co zobaczę poza granicami miasta, będę traktował jako kwestię bezpieczeństwa cechowego;



Że po uzyskaniu statusu pełnego członka cechu zapoznam się z treścią dokumentu zwanego Dyrektywą Destaine'a i będę stosował się do jego wskazań, a także przekazywał czerpaną z niego wiedzę przyszłym pokoleniom członków;

Że złożenie niniejszej przysięgi będzie traktowane jako kwestia bezpieczeństwa cechowego.

Niniejszą przysięgę składam z pełną świadomością, że niedotrzymanie któregokolwiek z jej warunków będzie skutkowało moją egzekucją bez sądu z rąk pozostałych członków cechu – zakończyłem.

\* \* \*

Kiedy skończyłem mówić, podniosłem wzrok na Clausewitza. Sam fakt odczytania tych słów nappełnił mnie emocjami, które z trudem powstrzymywałem.

„Poza granicami miasta...”. To oznaczało, że opuszczę miasto, zapuszczę się jako uczeń w rejony, do których dotychczas nie miałem dostępu, podobnie jak większość obywateli. W ochronie często plotkowano o tym, co znajduje się poza miastem, i ja również miałem na ten temat wiele szalonych wyobrażeń. Byłem na tyle rozsądny, by rozumieć, że rzeczywistość nie może się z nimi równać, lecz ta perspektywa i tak mnie oszałamiała i przerażała. Atmosfera tajemniczości, którą członkowie cechu otaczali tę kwestię, sugerowała, że za murami miasta kryje się coś strasznego; tak strasznego, że za wyjawienie prawdy płaci się śmiercią.

– Wejź na platformę, uczniu Mannie – rzekł Clausewitz.

Ruszyłem naprzód, wspinając się po czterech stopniach, które prowadziły na podest. Clausewitz powitał mnie uściskiem dłoni i odebrał mi kartę z tekstem przysięgi. Najpierw przedstawiono mnie Nawigatorowi, który skierował do mnie kilka przyjaznych słów, a następnie innym przywódcom cechów. Clausewitz podał mi nie tylko ich nazwiska, ale również tytuły, z których część słyszałem po raz pierwszy.

Zaczynałem się czuć przytłoczony nowymi informacjami, gdyż w ciągu kilku chwil nauczyłem się tyle, co przez całe dotychczasowe życie w ochronie.

Istniało sześć cechów pierwszej kategorii. Poza cechem Badaczy Przyszłości Clausewitza były także cechy odpowiedzialne za Trakcję, Układanie Torów oraz Budowanie Mostów. Powiedziano mi, że te cechy odpowiadają głównie za podtrzymywanie istnienia miasta. Wspierały je kolejne dwa cechy: Siły Zbrojne oraz Handlowcy. To wszystko było dla mnie nowością, ale pamiętałem, że mój ojciec czasami wspominał o ludziach, którzy jako tytuły nosili nazwy swoich cechów. Słyszałem na przykład o Budowniczych Mostów, ale dotychczas nie miałem pojęcia, że czynność budowania mostu otacza aura rytuału i tajemnicy. Dlaczego most jest kluczowy dla przetrwania miasta? Po co potrzebujemy sił zbrojnych?

No i jaka jest przyszłość?

\* \* \*

Clausewitz zabrał mnie na spotkanie z członkami cechu Badaczy Przyszłości, wśród których oczywiście był mój ojciec. Obecni byli tylko trzej spośród nich; pozostali, jak mnie poinformowano, przebywali poza miastem. Następnie porozmawiałem z członkami innych cechów, gdyż na spotkaniu pojawił się co najmniej jeden przedstawiciel każdego z cechów pierwszej kategorii. Odniosłem wrażenie, że praca poza miastem wymaga mnóstwa czasu i wysiłku, gdyż członkowie poszczególnych cechów wielokrotnie przepaszali, że obowiązki nie pozwoliły im liczniej stawić się na uroczystości.

Podczas tych rozmów zwróciłem uwagę na coś dziwnego. Zauważyłem to już wcześniej, ale się nad tym nie zastanawiałem. Otóż mój ojciec i pozostali Badacze Przyszłości wyglądali na starszych od członków innych cechów. Clausewitz był silnie zbudowany i prezentował się imponująco w swojej pelerynie, jednak przerzedzone włosy i pomarszczona twarz

zdradzały jego wiek; szacowałem, że ma co najmniej dwa i pół tysiąca mil. Mój ojciec, zwłaszcza w towarzystwie rówieśników, również sprawiał wrażenie niezwykle starego. Był w podobnym wieku co Clausewitz, mimo że przeczyła temu logika. To by oznaczało, że miał około tysiąca ośmiuset mil, kiedy przyszedłem na świat, a przecież wiedziałem, że zwyczajnie panujące w mieście nakazywały, by zostawać rodzicami jak najszybciej po osiągnięciu dojrzałości.

Przedstawiciele pozostałych cechów byli młodszy. Niektórzy byli zaledwie o kilka mil starsi ode mnie, co dodawało mi otuchy, gdyż skoro już wkroczyłem do dorosłego świata, chciałem zakończyć terminowanie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Wiedziałem, że nauka nie trwa przez ściśle określony czas, a jeśli, zgodnie ze słowami Brucha, status obywatela w mieście zależy od jego zdolności, to dzięki pilnej pracy mogłem względnie szybko zostać pełnoprawnym członkiem cechu.

Brakowało tylko jednej osoby, na której obecności mi zależało – Jase’a.

Spytałem o niego podczas rozmowy z jednym z członków cechu Trakcji.

– Gelman Jase? – odrzekł. – Chyba przebywa poza miastem.

– Nie mógł przybyć na uroczystość? – spytałem. – Mieszkaliśmy w jednym pokoju w ochronce.

– Jase nie wróci jeszcze przez wiele mil.

– Gdzie teraz jest?

Członek cechu tylko się uśmiechnął, co mnie zirytowało. Przecież teraz, gdy już złożyłem przysięgę, z pewnością mógł mi udzielić tej informacji.

Później zauważyłem, że nie pojawili się żadni inni uczniowie. Czyżby wszyscy przebywali poza miastem? Jeżeli tak, to ja zapewne również niedługo tam wyruszę.

Po kilku minutach naszą rozmowę przerwał Clausewitz, który poprosił wszystkich o uwagę.

– Proponuję ponownie wezwać kierowników – rzekł. – Czy ktoś zgłasza sprzeciw?

Ze strony członków cechów dobiegały odgłosy zadowolenia.

– W takim razie – kontynuował Clausewitz – przypominam uczniowi, że to pierwsza z wielu sytuacji, w których wiąże go złożona przysięga.

Clausewitz zszedł z platformy, a kilku członków cechów otworzyło drzwi sali. Pozostali goście powoli wrócili na uroczystość. Atmosfera stała się bardziej swobodna. Kiedy sala wypełniła się ludźmi, usłyszałem śmiechy i zauważyłem, że w głębi jest ustawiany długi stół. Kierownicy najwyraźniej nie mieli pretensji o to, że wykluczono ich z uroczystości, która właśnie się odbyła. Zakładałem, że to tak pospolita ceremonia, iż przeszli do porządku dziennego nad takim potraktowaniem, lecz z drugiej strony zastanawiałem się, jak wiele zdołali się domyślić. Otwarte obnoszenie się z tajnością swoich działań rodzi podejrzenia. Wyproszenie kierowników z sali na czas zaprzysiężenia nie gwarantowało, że nie będą mieli pojęcia, co się dzieje. Najwyraźniej przy drzwiach nie ustawiono straży, więc co mogło powstrzymać kogoś przed podsłuchiwaniami, gdy składałem przysięgę?

Nie miałem zbyt wiele czasu na takie rozważania, ponieważ w sali dużo się działo. Ludzie toczyli ożywione rozmowy i zapanował gwar, gdy długi stół zastawiano dużymi talerzami z jedzeniem oraz różnymi rodzajami napojów. Ojciec prowadził mnie między kolejnymi grupami gości i przedstawiał tak wielu osobom, że nie byłem w stanie spamiętać ich nazwisk ani tytułów.

– Nie powinienesz mnie przedstawić rodzicom Victorii? – spytałem, widząc Budowniczego Mostów Lerouex. Stał z boku sali z kierowniczką, która zapewne była jego żoną.

– Nie... na to przyjdzie pora później.

Poprowadził mnie dalej i wkrótce ścisnąłem dłonie następnej grupie ludzi.

Zastanawiałem się, gdzie jest Victoria, ponieważ teraz, gdy uroczystość cechowa dobiegła końca, przyszedł czas na ogłoszenie naszych zaręczyn. Nie mogłem się doczekać naszego spotkania. Częściowo z ciekawości, ale także dlatego, że była kimś znajomym. Czułem się przytłoczony przez osoby starsze i bardziej doświadczone ode mnie, a Victoria była moją

rówieśniczką. Ona również wychowała się w ochronce, знаła tych samych ludzi, była w podobnym wieku. W tej sali pełnej członków cechów stanowiłaby cenne przypomnienie tego, co zostawiłem za sobą. Wykonałem duży krok w dorosłość, i to mi wystarczyło jak na jeden dzień.

Czas płynął. Niczego nie jadłem od czasu, gdy Bruch mnie obudził, a widok potraw przypominał mi, jaki jestem głodny. Traciłem zainteresowanie tym towarzyskim aspektem ceremonii. Czułem się przytłoczony. Przez kolejne pół godziny podążałem za ojcem, rozmawiając bez większego zainteresowania z ludźmi, którym mnie przedstawiano, ale tak naprawdę pragnąłem odrobiny czasu dla siebie, żeby przemyśleć wszystko, czego się dowiedziałem.

Ojciec w końcu zostawił mnie z grupką ludzi z zarządu do spraw syntetyków (poinformowano mnie, że zajmują się produkcją różnorodnych syntetycznych pokarmów oraz materiałów organicznych wykorzystywanych w mieście) i podszedł do Lerouex. Rozmawiali przez krótką chwilę, a potem Lerouex pokiwał głową.

Po chwili ojciec wrócił i wziął mnie na bok.

– Zaczekaj tutaj, Helwardzie – powiedział. – Zamierzam ogłosić twoje zaręczyny. Podejdź do mnie, kiedy Victoria wejdzie do sali.

Pośpiesznie się oddalił, żeby porozmawiać z Clausewitzem. Nawigator powrócił na swoje miejsce na platformie.

– Członkowie cechów i kierownicy! – zawołał Clausewitz, przekrzykując gwar rozmów. – Chcemy zapowiedzieć kolejną uroczystość. Nasz nowy uczeń zaręcza się z córką Budowniczego Mostów Lerouex. Czy Badacz Przyszłości Mann chciałby zabrać głos?

Mój ojciec wystąpił naprzód i stanął przed platformą. Mówiąc zbyt szybko, wygłosił krótką przemowę na mój temat. Po wszystkim, co wydarzyło się tego ranka, było to dla mnie nowym źródłem upokorzenia. Ojciec i ja nie czuliśmy się komfortowo w swoim towarzystwie i nigdy nie byliśmy ze sobą tak blisko, jak wynikało z jego słów. Chciałem go powstrzymać, wyjść z sali, zanim skończy, ale wciąż znajdowałem się w centrum zainteresowania. Zastanawiałem się, czy członkowie cechów

mają pojęcie, jak bardzo odpycha mnie ich zamiłowanie do ceremonii i podniosłych chwil.

Ojciec na szczęście wkrótce skończył, ale pozostał przed platformą. Z innej części sali dobiegł głos Lerouex, który zapowiedział, że przedstawi swoją córkę. Otworzyły się drzwi i weszła Victoria, prowadzona przez matkę.

Zgodnie z pouczeniem ojca czym prędzej do niego dołączyłem. Uścisnął moją dłoń. Lerouex ucałował Victorię. Mój ojciec również ją ucałował i wręczył jej pierścionek. Wygłoszono kolejną przemowę. W końcu zostałem przedstawiony narzeczonej. Nie mieliśmy okazji porozmawiać.

Uroczystości trwały.

Wręczono mi klucz do ochronki, przekazano, że mogę wciąż korzystać ze swojego pokoju, dopóki nie znajdzie się dla mnie mieszkanie w kwaterze cechu, i ponownie przypomniano o złożonej przysiędze. Od razu położyłem się spać.

Obudził mnie wczesnym rankiem jeden z członków cechu, którego poznałem poprzedniego dnia. Nazywał się Badacz Denton. Zaczekał, aż ubiorę się w nowy mundurek ucznia, a następnie wyprowadził mnie z ochronki. Nie poszliśmy tą samą trasą, którą Bruch powiódł mnie poprzedniego dnia, ale wspięliśmy się po schodach. W mieście panowała cisza. Kiedy mijaliśmy zegar, zobaczyłem, że wciąż jest bardzo wczesnie, tuż po wpół do czwartej rano. Na korytarzach nie spotykaliśmy ludzi, a większość świateł na suficie była zgaszona.

W końcu dotarliśmy do spiralnej klatki schodowej, na której szczycie znajdowały się ciężkie stalowe drzwi. Denton wyjął z kieszeni latarkę i ją włączył. Drzwi były wyposażone w dwa zamki, a kiedy je otworzył, pokazał mi gestem, żebym wszedł przed nim.

Zanurzyłem się w chłodzie i ciemności, które były tak intensywne, że poczułem fizyczny wstrząs. Denton zamknął za sobą drzwi na klucz. Kiedy poświecił wkoło latarką, zobaczyłem, że stoimy na niewielkiej platformie otoczonej balustradą o wysokości około trzech stóp. Podeszliśmy do niej, a Denton zgasił latarkę, tak że otoczyła nas całkowita ciemność.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem.

– Nie odzywaj się. Czekaaj... i obserwuj.

Niczego nie widziałem. Moje oczy, wciąż przywykłe do względnej jasności, jaka panowała w korytarzach, oszukiwały moje zmysły, tak że wyczuwałem krążące wokół mnie barwne kształty, jednak te po chwili znieruchomiały. Ciemność nie była moim głównym zmartwieniem;

chłodne powietrze owiewające moje ciało przyprawiało mnie o dreszcze. Ściskałem stalową balustradę, która była jak lodowa włócznia. Poruszałem dłońmi, żeby zmniejszyć niewygodę, jednak nie mogłem ich rozewrzeć. W całkowitej ciemności balustrada stanowiła jedyny łącznik ze światem. Nigdy w życiu nie byłem tak odizolowany od tego, co znajome, nigdy nie czułem tak silnego naporu obcości. Całe moje ciało się napięło, jakby przygotowywało się do nagłego wybuchu bądź wstrząsu, ale nic takiego nie nastąpiło. Zewsząd otaczały mnie chłód, mrok oraz przytłaczająca cisza, nie licząc szumu wiatru w uszach.

Mijały kolejne minuty i moje oczy częściowo przywykły do ciemności. Wtedy odkryłem, że dostrzegam wokół siebie niewyraźne kształty. Tuż obok widziałem Dentona, wysoką czarną postać w pelerynie odznaczającą się na nieco mniej ciemnym tle. Poniżej platformy, na której staliśmy, wypatrzyłem olbrzymią, całkowicie czarną konstrukcję o nieregularnym kształcie.

Wszystko to otaczała nieprzenikniona ciemność. Nie miałem żadnego punktu odniesienia, na podstawie którego mógłbym wyodrębnić formy lub zarysy. Było to straszne, ale czułem się raczej wstrząśnięty emocjonalnie niż zagrożony. Czasami śniłem o podobnym miejscu, a kiedy się budziłem, wciąż towarzyszyły mi powidoki takiego otoczenia. To jednak nie był sen; przejmujące zimno nie było złudzeniem, tak samo jak poruszające nowe doświadczenia przestrzeni i rozmiaru. Wiedziałem tylko, że to moja pierwsza wyprawa poza miasto – o niczym innym nie mogło być mowy – i że różni się od moich wszelkich przewidywań.

Kiedy w pełni doceniłem ten fakt, chłód i ciemność stały się mniej istotne. Byłem na zewnątrz... właśnie na to czekałem!

Denton już nie musiał mnie wzywać do milczenia; nie byłem w stanie niczego powiedzieć, a nawet gdybym próbował, słowa zgasłyby mi w gardle albo zgubiły się na wietrze. Mogłem tylko patrzeć, a gdy to robiłem, widziałem jedynie ciemną, tajemniczą płachtę lądu pod zachmurzonym nocnym niebem.



Dotknęło mnie nowe doznanie: poczułem zapach ziemi! Nie przypominał żadnej woni spośród tych, które znałem z miasta, a mój umysł przywołał fałszywy obraz wielu mil kwadratowych żyznej brązowej gleby, wilgotnej w ciemności. Nie miałem pojęcia, co tak naprawdę wyczuwam – zapewne wcale nie była to gleba – wizja żyznego gruntu zaś pochodziła z jednej z książek, które czytałem w ochronce. Jednak ona wystarczyła, żeby pobudzić moją wyobraźnię. Ponownie ogarnęło mnie oczyszczające podniecenie, gdy wyczułem dzikie, niezbadane tereny poza miastem. Tak wiele mogłem zobaczyć i zrobić... a jednak kiedy stałem na platformie, przez kilka bezcennych chwil to wszystko było wyłącznie domeną wyobraźni. Nie musiałem niczego widzieć; wrażenie towarzyszące wykonaniu pierwszego kroku poza ograniczenia miasta wystarczyło, żeby moja niedorozwinięta wyobraźnia zapuściła się w rejony, które dotychczas karmiły się jedynie dziełami pisarzy.

Ciemność powoli stała się mniej gęsta, a niebo nade mną przybrało ciemnoszary kolor. W oddali dostrzegłem miejsce, w którym chmury stykają się z horyzontem. Na moich oczach pojawiła się niezwykle blada czerwona kreska, która podkreśliła kształt jednego z małych obłoków. Miałem wrażenie, że to światło napędza ten obłok, a także pozostałe chmury powoli sunące nad nami, popychane wiatrem wiejącym od strony blasku. Czerwień się rozszerzała, na chwilę dotykając odsuwających się obłoków, które pozostawiły za sobą duży obszar pustego nieba zabarwionego na ciemnopomarańczowo. Skupiłem całą uwagę na tym widoku, gdyż była to niewątpliwie najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem przez całe swoje życie. Pomarańczowy kolor niemal niepostrzeżenie rozszerzał się i jaśniał; chmury, które się odsunęły, wciąż były naznaczone czerwienią, lecz w miejscu zetknięcia nieba z horyzontem lśniło coraz jaskrawsze światło.

Pomarańczowy kolor zniknął. Znacznie szybciej, niż się spodziewałem, źródło światła pojaśniało. Niebo zabarwiło się na błękitny kolor, tak blady i oślepiający, że niemal biały. Na samym środku pojawiła się włócznia białego światła, która jakby wyrastała z horyzontu i przechylała się w jedną

stronę jak przewracająca się kościelna wieża. Stopniowo stawała się coraz grubsza i jaśniejsza, aż w końcu nie byłem w stanie na nią patrzeć.

Denton nagle chwycił mnie za rękę.

– Patrz! – powiedział, wskazując na lewo od środka jasności.

Stado ptaków, ułożonych w łagodny kształt litery V, powoli leciało z lewej na prawą stronę naszego pola widzenia, machając skrzydłami. Po chwili ptaki przeleciały przed rosnącą kolumną światła, na kilka sekund znikając nam z oczu.

– Co to jest? – spytałem chrapliwym głosem.

– Zwykle gęsi.

Wkrótce znów się ukazały; leciały powoli na tle błękitnego nieba. Po mniej więcej minucie schowały się za wysokim wzniesieniem w oddali.

Ponownie popatrzyłem na wschodzące słońce. Przez tę krótką chwilę, podczas której przyglądałem się ptakom, uległo przemianie. Wyłoniło się zza horyzontu i wisiało na widoku, jak długi świetlny spodek, na szczycie i pod spodem naznaczony pionowymi iglicami żaru. Czułem na twarzy jego ciepły dotyk. Wiatr osłabł.

Stałem razem z Dentonem na tej małej platformie, spoglądając na otaczający nas teren. Widziałem miasto, a raczej tę jego część, która była widoczna z platformy, a także ostatnie obłoki znikające na horyzoncie z dala od słońca świecącego na bezchmurnym niebie. Denton zdjął pelerynę.

Skinął na mnie głową i pokazał mi, jak możemy zejść z platformy na ziemię po kilku metalowych drabinach. Ruszył przodem. Kiedy po raz pierwszy stanąłem na naturalnym podłożu, usłyszałem poranny śpiew ptaków gniezdzących się w zakamarkach w górnej części miasta.

Badacz Denton okrążył ze mną miasto, a następnie zaprowadził mnie w stronę skupiska tymczasowych budynków, które wzniesiono w odległości mniej więcej pięciuset jardów od miasta. Tutaj przedstawił mnie Torowemu Malchuskinowi, a następnie wrócił do miasta.

Torowy był niskim owłosionym mężczyzną, który jeszcze nie do końca się obudził. Jednak najwyraźniej nie miał nic przeciwko naszemu najściu i potraktował mnie grzecznie.

– Jesteś uczniem u Badaczy Przyszłości, zgadza się?

Pokiwałem głową.

– Właśnie przyszedłem z miasta.

– Pierwszy raz na zewnątrz?

– Tak.

– Jadłeś śniadanie?

– Nie... Badacz wyciągnął mnie z łóżka i od razu przyszliśmy tutaj.

– Wejdz... Zaparzę kawę.

Wnętrze domku było surowe i zabałaganione, z czym nie spotkałem się w mieście. Tam przywiązywano wielką wagę do czystości i porządku, tymczasem w chatce Malchuskina wałały się brudne ubrania, nieumyte garnki i rondle, resztki posiłków. W kącie piętrzyła się olbrzymia sterta metalowych narzędzi, a pod ścianą stało łóżko ze zwiniętą pościelą. We wnętrzu unosiła się woń starego jedzenia.

Malchuskin napełnił rondel wodą i postawił go na okrągłym palniku. Znalazł gdzieś dwa kubki, opłukał je w beczce i otrząsnął z wody. Nasypał porcję syntetycznej kawy do dzbanka i zalał wrzątkiem.

W domku znajdowało się tylko jedno krzesło. Malchuskin zdjął kilka sztuk ciężkich stalowych narzędzi ze stołu i przysunął go do łóżka. Usiadł i zachęcił mnie, żebym wziął sobie krzesło. Przez chwilę siedzieliśmy w

milczeniu, sącząc kawę. Była parzona w identyczny sposób jak w mieście, a jednak smakowała inaczej.

– Ostatnio nie miałem zbyt wielu uczniów.

– Dlaczego? – spytałem.

– Nie wiem. Niewielu się u mnie pojawia. Kim jesteś?

– Nazywam się Helward Mann. Mój ojciec...

– Tak, wiem. To dobry człowiek. Byliśmy razem w ochronce.

Zmarszczyłem czoło. Z pewnością nie byli rówieśnikami? Malchuskin zauważył mój wyraz twarzy.

– Nie przejmuj się tym – rzekł. – Pewnego dnia zrozumiesz. Nauczysz się w bólach, tak samo jak wszystkiego innego, co każe ci przyswoić ten przeklęty cech. Życie Badaczy Przyszłości jest dziwne. Ja się do niego nie nadawałem, ale myślę, że ty sobie poradzisz.

– Dlaczego nie chciał pan zostać Badaczem?

– Nie powiedziałem, że tego nie chciałem... Po prostu to nie był los dla mnie. Mój ojciec był Torowym. Znow ten system cechowy. Ale jeśli będzie ci zależało, oddadzą cię we właściwe ręce. Masz doświadczenie w pracy fizycznej?

– Nie...

Roześmiał się głośno.

– Jak wszyscy uczniowie. Przyzwyczajasz się. – Wstał. – Czas zabierać się do pracy. Jeszcze wcześniej, ale skoro wyciągnąłeś mnie z łóżka, nie ma sensu próżnować. Mamy tutaj bandę leniwych drani.

Wyszedł z domku. Pośpiesznie dopiłem kawę, parząc sobie język, i podążyłem jego śladem. Kierował się w stronę pozostałych dwóch budynków. Udało mi się go dogonić.

Za pomocą metalowego klucza nastawnego, który zabrał z domku, głośno zastukał w drzwi obu budynków, wrzeszcząc do osób znajdujących się w środku, żeby się obudziły. Po śladach na drzwiach widziałem, że zapewne zawsze uderzał w nie czymś metalowym.

Usłyszeliśmy ruch w środku.

Malchuskin wrócił do swojej chatki i zaczął przeglądać narzędzia.

– Nie spoufalaj się za bardzo z tymi facetami – ostrzegł. – Nie pochodzą z miasta. Jednego z nich wyznaczyłem na przywódcę. Ma na imię Rafael. Trochę zna angielski i pełni rolę tłumacza. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, porozmawiaj z nim. Ale najlepiej zgłoś się do mnie. Nie powinieneś mieć żadnych kłopotów, ale gdyby tak się zdarzyło... daj mi znać. W porządku?

– O jakich kłopotach pan mówi?

– Jeśli nie będą robili tego, co im każemy. Płacą im za to, żeby wykonywali nasze polecenia. Jeśli tego nie robią, zaczynają się kłopoty. Jednak jedyny problem z tą bandą polega na tym, że są za leniwi. Dlatego zaczynamy wcześniej. Później robi się gorąco, a wtedy równie dobrze można sobie dać spokój.

Już było ciepło. Podczas gdy rozmawiałem z Malchuskinem, słońce wspięło się wysoko po niebie i zaczęły mi łzawić oczy. Nie byłem przyzwyczajony do tak jasnego światła. Spróbowałem ponownie zerknąć na słońce, ale nie dało się na nie patrzeć.

– Weź to!

Malchuskin podał mi naręcze stalowych kluczy nastawnych, a ja zachwiałem się pod ich ciężarem i kilka upuściłem. Patrzył w milczeniu, jak je podnoszę zawstydzony swoją niezdarnością.

– Dokąd? – spytałem.

– Do miasta, rzecz jasna. Niczego was tam nie uczą?

Ruszyłem w stronę miasta. Malchuskin obserwował mnie z progu domku.

– Od południowej strony! – zawołał. Zatrzymałem się i rozejrzałem bezradnie. Malchuskin do mnie podszedł.

– Tam – wskazał. – Tory po południowej stronie miasta. W porządku?

– W porządku. – Ruszyłem we wskazanym kierunku, upuszczając po drodze tylko jeden klucz.

\* \* \*

Po godzinie albo dwóch zacząłem dostrzegać, co Malchuskin miał na myśli, gdy opowiadał o mężczyznach, którzy z nami pracowali. Przerywali pod byle pretekstem i tylko wrzaski Malchuskina albo ponure pouczenia Rafaela mogły ich zmobilizować.

– Kim oni są? – spytałem Malchuskina, kiedy zrobiliśmy piętnastominutową przerwę.

– To miejscowi.

– Nie mogliśmy zatrudnić ich więcej?

– Tutaj wszyscy są tacy sami.

Do pewnego stopnia z nimi sympatyzowałem. Pracowali energicznie i ciężko, na otwartej przestrzeni bez odrobiny cienia. Chociaż za nic nie chciałem ich spowalniać, nie radziłem sobie fizycznie. Z pewnością jeszcze nigdy nie doświadczyłem takiego wysiłku.

Tory na południe od miasta ciągnęły się przez około pół mili i nagle urywały. Były to cztery pary metalowych szyn ułożonych na drewnianych podkładach, które z kolei opierały się na wpuszczonych w ziemię betonowych fundamentach. Dwa tory już zostały skrócone przez Malchuskina i jego ekipę, my zaś pracowaliśmy nad najdłuższymi szynami, które ułożono na zewnątrz po prawej.

Malchuskin wyjaśnił, że kiedy mamy miasto przed sobą, tory dzielimy na prawy i lewy oraz zewnętrzny i wewnętrzny.

Praca praktycznie nie wymagała od nas myślenia. Była ciężka, ale schematyczna.

Najpierw usuwaliśmy śruby przytwierdzające obie szyny do podkładów na całej długości danej części toru. Odkładaliśmy je na bok, po czym zajmowaliśmy się samymi podkładami. Były przymocowane do betonowych fundamentów za pomocą klamer, z których każdą należało ręcznie poluzować i zdjąć. Usunięte podkłady układaliśmy na wózku czekającym na następnej części toru. Później wydobywaliśmy z ziemi betonowe fundamenty, które były prefabrykowane i nadawały się do ponownego wykorzystania, układaliśmy je obok podkładów, a następnie

umieszczaliśmy obie stalowe szyny na specjalnych półkach wzdłuż boków wózka.

Potem Malchuskin albo ja przemieszczaliśmy napędzany akumulatorem wózek na kolejną część torów i powtarzaliśmy proces. Kiedy wózek był w pełni załadowany, cała ekipa podjeżdżała nim do tylnej części miasta. Tam go parkowaliśmy i podłączaliśmy do gniazdka umieszczonego w ścianie miasta, żeby naładować akumulator.

Załadowanie wózka i doprowadzenie go do miasta zajęło nam większą część ranka. Czułem się tak, jakby ktoś wyrwał mi ręce ze stawów, bolały mnie plecy i byłem potwornie brudny oraz spocony. Malchuskin, który pracował równie ciężko jak pozostali – a zapewne nawet ciężiej od wynajętych robotników – posłał mi szeroki uśmiech.

– Teraz rozładujemy i zaczynamy od nowa – powiedział.

Popatrzyłem na robotników. Wyglądali na równie zmęczonych jak ja, chociaż podejrzewałem, że wykonałem więcej pracy od nich, gdyż byłem nowy i jeszcze nie nauczyłem się sztuki oszczędnego wykorzystywania mięśni. Większość członków ekipy leżała w skromnym cieniu rzucanym przez bryłę miasta.

– W porządku – odrzekłem.

– Nie... żartowałem. Myślisz, że ta banda zrobiłaby cokolwiek więcej bez solidnego posiłku?

– Nie.

– A więc... czas coś zjeść.

Porozmawiał z Rafaelem, a następnie powędrował w stronę swojego domku. Poszedłem z nim i podzieliliśmy się podgrzany syntetycznym jedzeniem, ponieważ tylko tyle miał do zaproponowania.

\* \* \*

Popołudnie zaczęło się od rozładowywania wózka. Podkłady, fundamenty i szyny przenieśliśmy na inny elektryczny pojazd, który jeździł na czterech dużych oponach balonowych. Kiedy skończyliśmy,

odprowadziliśmy wózek na koniec toru i zaczęliśmy pracę od nowa. Było gorąco, a ludzie pracowali powoli. Nawet Malchuskin nieco odpuścił i kiedy napelniliśmy wózek, zarządził przerwę.

– Dzisiaj dostarczymy jeszcze tylko jeden ładunek – powiedział i pociągnął długi łyk wody z butelki.

– Jestem gotowy – odrzekłem.

– Być może. Chcesz to zrobić sam?

– Mam chęci do pracy – zapewniłem, nie chcąc się przyznawać do wyczerpania.

– Za to jutro nie będziesz się do niczego nadawał. Nie, rozładujemy ten wózek, odprowadzimy go na koniec toru i wystarczy.

Okazało się jednak, że to jeszcze nie koniec. Kiedy odprowadziliśmy wózek, Malchuskin polecił robotnikom, żeby zasypali ostatnią część toru jak największą ilością ziemi i piachu. Przykryli w ten sposób dwadzieścia jardów szyn.

Spytałem Malchuskina, po co to robią.

Wskazał głową najbliższy długi tor, lewy wewnętrzny. Na jego końcu wznosiła się potężna betonowa przypora, mocno osadzona w ziemi.

– Wolałbyś postawić coś takiego? – spytał.

– Co to jest?

– Bufor. Gdyby wszystkie kable jednocześnie pękły... miasto cofnęłoby się i zjechało z torów. Bufor i tak nie stawia dużego oporu, ale to wszystko, co możemy zrobić.

– Czy miasto kiedyś się cofnęło?

– Raz.

\* \* \*

Malchuskin poinformował mnie, że mogę wrócić do swojej kwatery w mieście albo pozostać z nim w jego chatce. Tak naprawdę nie dał mi wielkiego wyboru. Wyraźnie nie považał ludzi w mieście i powiedział, że rzadko zapuszcza się do środka.



– To wygodne życie – rzekł. – Połowa ludzi w mieście nie wie, co się tutaj dzieje, a gdyby nawet wiedzieli, zapewne niewiele by ich to obchodziło.

– Po co mieliby o tym wiedzieć? Skoro udaje nam się sprawnie pracować, to nie jest ich problem.

– Wiem, wiem. Ale nie musiałbym korzystać z tych przeklętych miejscowych, gdyby więcej ludzi z miasta tutaj przychodziło.

W pobliskich domkach noclegowych wynajęci robotnicy głośno rozmawiali; niektórzy śpiewali.

– Nie ma pan z nimi nic wspólnego?

– Po prostu ich wykorzystuję. Odpowiada za nich cech Handlowców. Jeżeli są do niczego, zwalniam ich, a Handlowcy muszą znaleźć zastępstwo. To nic trudnego. W tych okolicach nie ma zbyt wiele pracy.

– A co to za okolica?

– Nie pytaj mnie o takie rzeczy... to już sprawa twojego ojca i jego cechu. Ja tylko wykopuję stare tory.

Wyczuwałem, że Malchuskin ma z miastem bliższe związki, niż może się wydawać. Podejrzywałem, że życie na uboczu napełniło go pogardą wobec mieszkańców, ale z tego, co widziałem, wcale nie musiał zostawać w chatce. Robotnicy rzeczywiście byli leniwi, a teraz także hałaśliwi, jednak zachowywali się spokojnie. Malchuskin nie starał się ich nadzorować po godzinach, więc gdyby chciał, mógłby zamieszkać w mieście.

– To twój pierwszy dzień na zewnątrz, prawda? – spytał nagle.

– Zgadza się.

– Chcesz obejrzeć zachód słońca?

– Nie... dlaczego pan pyta?

– Uczniowie zazwyczaj mają na to ochotę.

– Dobrze.

Zupełnie jakbym chciał mu sprawić przyjemność, wyszedłem z chatki i popatrzyłem poza bryłę miasta ku północnemu wschodowi. Malchuskin stanął za mną.

Słońce znajdowało się nisko nad horyzontem i już czułem chłodny wiatr na plecach. Chmury, które zasnuwały niebo poprzedniego wieczoru, nie wróciły, więc niebo było czyste i błękitne. Mogłem patrzeć na słońce bez szkody dla wzroku, gdyż jego promienie rozproszyła gęsta atmosfera. Miało kształt szerokiego pomarańczowego krążka, nieco pochylonego w naszą stronę. Na szczycie i pod spodem wznosiły się wysokie świetlne iglice. Na moich oczach słońce powoli opuściło się za horyzont, a jako ostatni zniknął szczytowy punkt światła.

– Kiedy się nocuje w mieście, nie można tego oglądać – odezwał się Malchuskin.

– Bardzo piękne.

– Widziałeś wschód słońca dzisiaj rano?

– Tak.

Malchuskin pokiwał głową.

– Właśnie tak robią. Kiedy dzieciak trafia do cechu, od razu rzucają go na głęboką wodę. Żadnych wyjaśnień, prawda? Stoisz w ciemności, dopóki nie wzejdzie słońce.

– Po co to robią?

– System cechowy. Wierzą, że to najszybszy sposób, aby uczeń zrozumiał, że słońce nie jest takie, jak go uczono.

– A nie jest? – spytałem.

– Czego się uczyłeś?

– Że słońce jest kulą.

– Więc nadal tego uczą. Cóż, teraz już widziałeś, że tak nie jest. Coś to dla ciebie znaczy?

– Nie.

– Zastanów się nad tym. Teraz chodźmy coś zjeść.

Kiedy wróciliśmy do chatki, Malchuskin polecił mi podgrzać jedzenie, tymczasem sam przyśrubował ramę drugiego łóżka do pionowych podpór wokół swojego posłania. Potem wyjął pościel z komody i rzucił ją na nowe łóżko.

– Tutaj będziesz spał – powiedział, wskazując górne posłanie. –  
Niespokojnie sypiasz?

– Nie wydaje mi się.

– Spróbujemy przez jedną noc. Jeżeli będziesz się wiercił, to się  
zamienimy. Nie lubię, kiedy ktoś mi przeszkadza.

Pomyślałem, że na pewno nie będę mu przeszkadzał. Byłem taki  
zmęczony, że tej nocy mógłbym spać na krawędzi urwiska. Razem  
zjedliśmy pozbawiony smaku posiłek, a następnie Malchuskin zaczął  
opowiadać o swojej pracy na torach. Nie skupiałem się zbyt na jego  
słowach, a po kilku minutach położyłem się na swoim łóżku, udając, że  
nadal go słucham. Zasnąłem niemal natychmiast.

Następnego ranka obudziły mnie w chatce odgłosy krzątania Malchuskina, który pobrzękiwał naczyniami pozostawionymi po wieczornym posiłku. Chciałem wstać z pośłania, kiedy tylko w pełni odzyskałem świadomość, ale od razu sparaliżował mnie przeszywający ból pleców. Głośno wstrzymałem oddech.

Malchuskin popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Zesztywniałeś?

Przetoczyłem się na bok i spróbowałem podkurczyć nogi. One także były zesztywniałe i obolałe, ale w końcu udało mi się przybrać siedzącą pozycję. Przez chwilę siedziałem nieruchomo, mając nadzieję, że to tylko skurcz, który wkrótce minie.

– Z wami miastowymi dzieciakami zawsze jest tak samo – stwierdził Malchuskin, ale bez złośliwości. – Przychodzicie pełni zapału, tego nie mogę wam odmówić, ale po jednym dniu pracy jesteście tak zesztywniali, że nie ma już z was pożytku. W ogóle nie ćwiczycie w mieście?

– Tylko w sali gimnastycznej.

– No dobrze... schodź na śniadanie. Potem lepiej wracaj do miasta. Weź gorącą kąpiel, poszukaj kogoś, kto ci zrobi masaż. Dopiero wtedy ponownie się do mnie zgłoś.

Pokiwałem głową z wdzięcznością i zgramoliłem się z pośłania. To nie było łatwiejsze ani mniej bolesne od wszystkiego, czego próbowałem do tej pory. Odkryłem, że moje ręce, szyja i ramiona są równie sztywne jak reszta ciała.

Opuściłem chatkę pół godziny później, kiedy Malchuskin wrzeszczał na robotników, żeby zabierali się do pracy. Kulejąc, powoli ruszyłem w stronę miasta.

Po raz pierwszy zostałem pozostawiony samemu sobie poza jego murami. W towarzystwie ludzi nigdy nie dostrzega się tak wiele jak w samotności. Miasto było oddalone od chatki Malchuskina o pięćset jardów, co pozwalało ocenić jego rozmiary i wygląd. Jednak przez cały poprzedni dzień udało mi się tylko kilka razy zerknąć w jego stronę. Było po prostu potężną szarą bryłą dominującą w krajobrazie.

Teraz, gdy kuśtykałem w jego stronę, mogłem mu się przyjrzeć bardziej szczegółowo.

Moje doświadczenia były ograniczone do wnętrza miasta i nigdy się nie zastanawiałem, jak ono może wyglądać z zewnątrz. Zawsze sądziłem, że jest duże, ale okazało się mniejsze, niż sobie wyobrażałem. W najwyższym punkcie, po północnej stronie, wznosiło się na jakieś dwieście stóp, a jego pozostała część składała się z płataniny prostopadłościanów i sześciąt, które porozmieszczano bezładnie na kilku poziomach. Miało stonowany brązowo-szary kolor i było zbudowane z kilku różnych gatunków drewna. Dostrzegłem bardzo niewiele betonu i metalu, a żaden element nie był pomalowany. Wygląd zewnętrzny silnie kontrastował z czystym, jaskrawo przystrojonym wnętrzem, a przynajmniej z tymi jego nielicznymi obszarami, które widziałem. Jako że chatka Malchuskina znajdowała się na zachód od miasta, nie mogłem oszacować jego szerokości, ale długość oceniałem na około tysiąca pięciuset stóp. Zaskoczyła mnie jego brzydota, a także to, jak stare się wydawało. Za murami panowało spore ożywienie, zwłaszcza na północy.

Kiedy zbliżyłem się do miasta, uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, jak do niego wejść. Poprzedniego dnia Denton oprowadził mnie wokół miasta, ale mój umysł był tak oszołomiony nowymi doświadczeniami, że przyswoiłem bardzo niewiele detali, które Badacz mi wskazywał. Wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Pamiętałem jedynie, że jedno z wejść znajduje się za platformą, z której oglądaliśmy wschód słońca, i postanowiłem ruszyć w tamtą stronę. Nie było to takie proste, jak sobie wyobrażałem.

Zbliżyłem się do miasta od południa, przekraczając tor, przy którym pracowałem poprzedniego dnia, a następnie okrążyłem je i podszedłem od wschodu, gdyż byłem pewien, że właśnie tam znajdują się metalowe drabiny, po których zeszliśmy z Dentonem. Po długich poszukiwaniach wreszcie je znalazłem i zacząłem się wspinać. Kilka razy zgubiłem drogę i dopiero po długiej uciążliwej wędrówce kładkami oraz ostrożnym pokonaniu kilku drabin znalazłem platformę. Okazało się, że drzwi wciąż są zamknięte na klucz.

Musiałem poprosić o pomoc. Zszedłem na ziemię i udałem się do południowej części miasta, gdzie Malchuskin i jego grupa robotników ponownie wzięli się do rozbierania toru.

Z cierpliwością, ale także rozgoryczeniem Malchuskin przekazał dowodzenie Rafaelowi i pokazał mi, co mam zrobić. Poprowadził mnie wąskim przejściem między dwoma wewnętrznymi torami, bezpośrednio pod krawędź miasta. Panowały tam ciemność i chłód.

Zatrzymaliśmy się przy metalowych schodach.

– Na szczycie znajduje się winda – powiedział. – Wiesz, co to jest?

– Tak.

– Masz klucz cechowy?

Pogrzebałem w kieszeni i wyjąłem nieregularnie ukształtowany kawałek metalu, który dał mi Clausewitz. Służył do otwierania drzwi ochronki.

– Ten?

– Tak. Winda jest zabezpieczona zamkiem. Wjedź na czwarty poziom, znajdź kierownika i poproś o skorzystanie z łazienki.

Czułem się bardzo głupio, ale zrobiłem tak, jak mi kazał Malchuskin. Słyszałem, jak się śmieje, idąc z powrotem w kierunku dziennego światła. Bez trudu znalazłem windę, ale drzwi się nie otworzyły, gdy przekręciłem klucz w zamku. Czekałem. Po kilku chwilach drzwi gwałtownie stanęły otworem i wyszli przez nie dwaj członkowie cechu. Nie zwrócili na mnie uwagi, tylko ruszyli w dół po schodach.

Nagle drzwi zaczęły się samoistnie zamykać, a ja pośpiesznie wszedłem do środka. Zanim domyśliłem się, jak uruchomić windę, ta ruszyła w górę. Na ścianie obok drzwi zobaczyłem rząd przycisków z dziurkami od klucza, ponumerowanych od jednego do siedmiu. Wsunąłem swój kluczyk w przycisk z czwórką, mając nadzieję, że to właściwy. Winda długo się przemieszczała, aż w końcu gwałtownie stanęła. Drzwi się otworzyły, a ja wyszedłem na korytarz. Do kabiny wsiedli kolejni trzej członkowie cechu.

Na ścianie naprzeciwko windy zauważyłem wymalowany napis: POZIOM SIÓDMY. Wjechałem za wysoko. Zanim drzwi ponownie się zamknęły, zdążyłem wskoczyć do kabiny.

– Dokąd jedziesz, uczniu? – spytał jeden z mężczyzn.

– Na czwarty poziom.

– W porządku, odpręż się.

Wsunął własny klucz w dziurkę przy numerze cztery i tym razem winda zatrzymała się na właściwym poziomie. Wymamrotałem słowa podziękowania do mężczyzny, który mnie zagadnął, po czym wyszedłem z kabiny.

W natłoku zajęć przez ostatnie kilka minut nie zwracałem uwagi na dolegliwości ciała, ale teraz znów poczułem się zmęczony i chory. Wydawało się, że w tej części miasta tak dużo się dzieje: mnóstwo ludzi krążyło korytarzami, toczyły się rozmowy, drzwi otwierały się i zamykały. Bardzo różniło się to od życia na zewnątrz, pośród ponadczasowego spokojnego wiejskiego krajobrazu, a chociaż tam ludzie także przemieszczali się i pracowali, odbywało się to w spokojniejszej atmosferze. Obowiązki Malchuskina i jego grupy miały zasadnicze znaczenie, jednak tutaj, w sercu górnych poziomów miasta, dokąd tak długo nie miałem dostępu, wszystko było tajemnicze i skomplikowane.

Przypomniałem sobie polecenie Malchuskina, na chybił trafił wybrałem drzwi i wszedłem do jednego z pomieszczeń. Znalazłem w nim dwie kobiety; kiedy powiedziałem im, czego szukam, wyglądały na rozbawione, ale mi pomogły.

Kilka minut później usadziłem obolałe ciało w wannie z gorącą wodą i zamknąłem oczy.

\* \* \*

Wzięcie kąpieli wymagało ode mnie tyle czasu i wysiłku, że zastanawiałem się, czy w ogóle na niej skorzystam. Kiedy jednak wytarłem się do sucha ręcznikiem i ubrałem, okazało się, że jestem znacznie mniej zeszywniały. Wciąż czułem lekki dyskomfort, kiedy rozciągałem mięśnie, ale zmęczenie opuściło moje ciało.

Wcześniejszy powrót do miasta sprawił, że pomyślałem o Victorii. Rzut oka na nią podczas uroczystości rozbudził moją ciekawość. Perspektywa natychmiastowego powrotu do wykopywania z ziemi starych podkładów straciła na atrakcyjności – chociaż czułem, że nie powinienem na zbyt długo rozstawać się z Malchuskinem – i pomyślałem, że spróbuję odnaleźć narzeczoną.

Wyszedłem z łazienki i pośpiesznie wróciłem do windy. Nikt z niej nie korzystał, ale musiałem ją przywołać na swoje piętro. Kiedy przyjechała, dokładniej przyjrzałem się panelowi kontrolnemu. Postanowiłem poeksperymentować.

Najpierw wjechałem na siódmy poziom, ale po krótkim spacerze korytarzami nie dostrzegłem żadnych wyraźnych różnic w porównaniu z piętrem, które opuściłem. To samo dotyczyło większości pozostałych poziomów, chociaż odniosłem wrażenie, że na trzecim, czwartym i piątym dzieje się nieco więcej. Na pierwszym poziomie znajdował się znany mi już ciemny tunel biegnący pod miastem.

Kilkakrotnie podróżowałem w górę i w dół, odkrywając, że pierwszy i drugi poziom dzieli zaskakująco duża odległość. Jazda pomiędzy wszystkimi pozostałymi piętrami zajmowała znacznie mniej czasu. Wsiadłem na drugim poziomie, intuicyjnie czując, że właśnie tutaj znajdę ochronkę. Postanowiłem, że jeśli się mylę, to na dalsze poszukiwania wybiorę się pieszo.



Naprzeciwno wejścia do windy na drugim poziomie znajdowały się schody, które prowadziły w dół do poprzecznego korytarza. Pamiętałem to miejsce jak przez mgłę, gdyż Bruch prowadził mnie tędy na uroczystość. Wkrótce natrafiłem na drzwi ochronki.

Kiedy znalazłem się w środku, zamknąłem drzwi cechowym kluczem. Wszystko wydawało mi się takie znajome. Zdałem sobie sprawę, że do chwili zamknięcia drzwi zachowywałem się czujnie i ostrożnie, ale teraz poczułem się jak w domu. Zbiegłem po schodach i pokonałem krótki korytarz w doskonale znanej okolicy, która wyglądała, a nawet pachniała inaczej niż reszta miasta. Zobaczyłem znajome zadrapania na ścianach, na których całe pokolenia dzieci wyskrobywały swoje imiona, zobaczyłem brązową farbę, wytarte osłony na podłogach, drzwi do pokojów, których nie dało się zamknąć na klucz. Kierowany nawykiem udałem się prosto do swojego pokoju i wszedłem do środka. Wszystko pozostało nienaruszone. Łóżko było zaścielone, a w pokoju panował większy porządek niż kiedykolwiek, gdy regularnie tutaj bywałem, jednak mój skromny dobytek znajdował się na swoim miejscu. Podobnie jak rzeczy Jase'a, chociaż po nim samym nie było śladu.

Rozejrzałem się raz jeszcze, po czym wyszedłem na korytarz. Zrealizowałem cel swojej wizyty w pokoju: nie miałem żadnego celu. Powędrowałem korytarzem w stronę pomieszczeń, w których odbywały się lekcje. Zza zamkniętych drzwi dobiegały przytłumione odgłosy. Zaglądałem przez okrągłe oszklone otwory i patrzyłem na trwające zajęcia. Kilka dni wcześniej ja również siedziałem w środku. W jednej z sal zobaczyłem swoich dawnych towarzyszy; niektórzy z nich niewątpliwie także zamierzali wstąpić do cechów pierwszej kategorii, ale na większość czekały kierownicze stanowiska w mieście. Kusiło mnie, żeby wejść i stawić czoło ich pytaniom, zachowując tajemnicze milczenie.

W ochronce nie obowiązywała segregacja ze względu na płeć, dlatego w każdym mijanym pomieszczeniu wypatrywałem Victorii, ale najwyraźniej tutaj jej nie było. Kiedy już sprawdziłem wszystkie sale, udałem się do części wspólnej: stołówki (w tle słyszałem odgłosy

towarzyszące przygotowywaniu południowego posiłku), sali gimnastycznej (pustej) oraz na malutki otwarty teren, który jako jedyny zapewniał widok na błękitne niebo. Poszedłem do świetlicy, jedynego miejsca w całej ochronce, które wykorzystywano do rekreacji. Zostałem tam kilku chłopców; z niektórymi z nich pracowałem zaledwie kilka dni wcześniej. Rozmawiali o niczym – jak zwykle, kiedy mieli czas na indywidualną naukę – ale kiedy tylko mnie zauważyli, skupili na mnie całą uwagę. Stało się to, co przed chwilą tak bardzo mnie kusiło.

Chcieli wiedzieć, do którego cechu dołączyłem, czym się zajmuję, co widziałem. Co się stało, kiedy dorosłem? Co się znajduje poza ochronką?

Co ciekawe, nie byłbym w stanie odpowiedzieć na wiele z ich pytań, nawet gdybym nie był związany przysięgą. Chociaż zrobiłem wiele rzeczy w ciągu ostatnich dwóch dni, wciąż mało wiedziałem na temat tego, co zobaczyłem.

Ostatecznie postanowiłem – biorąc przykład z Jase'a – ukryć swoją skromną wiedzę za barierą tajemniczości i humoru. To wyraźnie rozczarowało chłopców, i chociaż wciąż zdradzali zainteresowanie, wkrótce przestali zadawać pytania.

Opuściłem ochronkę najszybciej, jak mogłem, skoro Victorii najwyraźniej już tam nie było.

Zjechałem windą do mrocznego obszaru pod bryłą miasta i między dwoma torami wyszedłem na światło słońca. Malchuskin akurat nakłaniał niechętnych robotników do wyładowania szyn i podkładów z wózka, więc nawet nie zauważył, że wróciłem.

Dni mijały powoli, a ja już nie wracałem do miasta.

Dostałem nauczkę za zbyt entuzjastyczne rzucenie się w wir fizycznej pracy przy torach. Postanowiłem posłuchać zaleceń Malchuskina i skupiłem się na nadzorowaniu wynajętych robotników. Tylko od czasu do czasu któryś z nas ich wspomagał. Mimo wszystko praca była żmudna i długotrwała, a moje ciało reagowało na nowe obciążenia. Wkrótce poczułem się sprawniejszy niż kiedykolwiek dotąd, moja skóra zarumieniała się pod wpływem promieni słońca, a praca fizyczna stała się mniej uciążliwa.

Jedyne, na co mogłem narzekać, to monotony jadłospis złożony z syntetycznego jedzenia oraz niezdolność Malchuskina do ciekawego opowiadania o naszym wkładzie w bezpieczeństwo miasta. Pracowaliśmy do późnego wieczoru, a po prostym posiłku kładliśmy się spać.

Już prawie skończyliśmy pracę nad torami z południowej strony miasta. Nasze zadanie polegało na usunięciu wszystkich torów i wzniesieniu czterech blokad w równej odległości od miasta. Tory, które usunęliśmy, zostały przewiezione na północ miasta, gdzie ponownie je układano.

Pewnego wieczoru Malchuskin zagadnął do mnie:

– Od jak dawna tutaj jesteś?

– Nie jestem pewien.

– W dniach.

– Aha... od siedmiu dni.

Chciałem podać odpowiedź w milach.

– Za trzy dni dostaniesz urlop. Będziesz mógł spędzić dwa dni w mieście, a potem wrócisz tutaj na kolejną milę.

Spytałem, w jaki sposób śledzi upływ czasu zarówno w dniach, jak i w odległości.

– Miasto pokonuje milę w ciągu około dziesięciu dni – wyjaśnił. – W ciągu roku pokona około trzydziestu sześciu i pół mili.

– Przecież miasto się nie przemieszcza.

– Obecnie nie, ale wkrótce zacznie. Zresztą nie bierzemy pod uwagę, jak dużą odległość miasto rzeczywiście pokonało, ale raczej, na jaką powinno się przesunąć. Opieramy się na pozycji optimum.

Pokręciłem głową.

– Co to znaczy?

– Optimum to idealne położenie miasta. Żeby je utrzymać, musielibyśmy przemieszczać miasto o około jednej dziesiątej mili dziennie. To oczywiście niewykonalne, więc po prostu przesuwamy miasto w stronę optimum, gdy tylko nadarza się okazja.

– Miasto nigdy nie osiągnęło optimum?

– Odkąd pamiętam, nie.

– Gdzie obecnie znajduje się optimum?

– Mniej więcej trzy mile przed nami. To przeciętny wynik. Mój ojciec, który pracował na tych torach przede mną, opowiadał mi, że kiedyś znajdowali się około dziesięciu mil od optimum. To największa odległość, o jakiej słyszałem.

– Co by się stało, gdybyśmy osiągnęli optimum?

Malchuskin się wyszczerzył.

– Dalej wykopywalibyśmy stare tory.

– Po co?

– Ponieważ optimum stale się przesuwa. Ale raczej go nie osiągniemy, a zresztą to nie ma większego znaczenia. Wystarczy być w odległości kilku mil. Powiem tak... gdyby udało nam się wyprzedzić optimum, wszyscy moglibyśmy solidnie wypocząć.

– Czy to możliwe?

– Tak sędzę. Popatrz na to w ten sposób. Obecnie znajdujemy się na dosyć wysoko położonym terenie. Żeby się tutaj dostać, musieliśmy

pokonać długie wzniesienie. Właśnie wtedy przy torach pracował mój ojciec. Wędrówka pod górę jest cięższa i zajmuje więcej czasu, dlatego oddaliliśmy się od optimum. Jeśli kiedyś dotrzemy do niżej położonych terenów, będziemy mogli zjechać w dół zbocza.

– Jakie są na to perspektywy?

– Najlepiej spytaj w swoim cechu. To nie moje zmartwienie.

– Ale jak wygląda teren w tej okolicy?

– Pokażę ci jutro.

Chociaż nie zrozumiałem wiele z tego, co mówił Malchuskin, przynajmniej jedna sprawa stała się dla mnie jasna, a mianowicie sposób pomiaru czasu. Mój wiek sześciuset pięćdziesięciu mil nie oznaczał, że w ciągu mojego życia miasto pokonało taką odległość. Pokonało ją optimum.

Czymkolwiek ono było.

Następnego dnia Malchuskin dotrzymał słowa. Podczas gdy wynajęci robotnicy zgodnie ze swoim zwyczajem wypoczywali w cieniu miasta, Malchuskin wspiął się ze mną na niskie wzniesienie nieco na wschód od miasta. Stamtąd zobaczyliśmy całą najbliższą okolicę.

Miasto obecnie stało na środku rozległej doliny, którą z północy i południa otaczały dwa względnie wysokie grzbiety. Na południu wyraźnie widziałem ślady usuniętych torów, cztery równoległe rzędy blizn po podkładach i fundamentach.

Na północy miasta tory gładko wspinały się na zbocze. Niewiele się tam działo, chociaż zobaczyłem, że jeden z elektrycznych wózków powoli wjeżdża na wzniesienie, wioząc ładunek szyn i podkładów, a także ekipę robotników. Na szczycie panowało duże ożywienie, chociaż z tej odległości nie dało się ocenić, co dokładnie tam się dzieje.

– To dobra okolica – stwierdził Malchuskin, ale od razu uściślił: – Oczywiście dla kogoś, kto zajmuje się torami.

– Dlaczego?

– Teren jest gładki. Możemy sprawnie pokonywać grzbiety i doliny. Nie lubię nierównego terenu: skał, rzek czy choćby lasów. To jedna z zalet przebywania na wysoko położonym obszarze. Wszędzie znajduje się

bardzo stara skała wygładzona przez żywioły. Ale nie wspominaj mi o rzekach. Robię się wtedy nerwowy.

– Co jest w nich takiego strasznego?

– Powiedziałem, żebyś o nich nie wspominał! – Żartobliwie trzepnął mnie w plecy i ruszyliśmy z powrotem w stronę miasta. – Przez rzeki trzeba się przeprowiać. To wymaga wybudowania mostu, chyba że jakiś już znajduje się na miejscu, co jednak nigdy się nie zdarza. Musimy czekać, aż most zostanie ukończony, a to powoduje opóźnienie. Zazwyczaj to Torowych obwinia się o opóźnienia. Takie jest życie. Problem z rzekami polega na tym, że wszyscy mają co do nich mieszane uczucia. W mieście stale brakuje wody, dlatego napotkanie rzeki pozwala rozwiązać jeden z problemów. Wymaga jednak wybudowania mostu, a to wszystkich irytuje.

Wynajęci robotnicy nie sprawiali wrażenia zachwyconych naszym powrotem, ale Rafael ich popędził i wkrótce znów zabrali się do pracy. Usunęliśmy już ostatni tor i pozostała nam tylko budowa bufora. Była to stalowa konstrukcja wzniesiona na końcu ostatniego odcinka toru, wykorzystująca trzy betonowe fundamenty. Wszystkie cztery tory kończyły się buforami, które umieszczono w taki sposób, żeby podtrzymały miasto, gdyby zaczęło się staczać do tyłu. Bufory nie stały w jednej linii, ze względu na nieregularny kształt południowej strony miasta, ale Malchuskin zapewnił mnie, że stanowią wystarczające zabezpieczenie.

– Wolałbym, żeby nie trzeba było z nich korzystać – rzekł – ale gdyby miasto rzeczywiście się stoczyło, powinny je powstrzymać. Tak sądzę.

Ukończenie bufora oznaczało dla nas koniec pracy.

– Co teraz? – spytałem.

Malchuskin zerknął na słońce.

– Powinniśmy przesunąć dom. Chciałbym przenieść się na drugą stronę wzgórza; musimy się też zająć kwaterami dla robotników. Ale robi się późno, nie jestem pewien, czy zdążymy przed zmierzchem.

– Możemy to zrobić jutro.

– Właśnie tak pomyślałem. Ci lenie będą mieli kilka godzin wolnego. To im się spodoba.

Porozmawiał z Rafaelem, który skonsultował się z pozostałymi mężczyznami. Decyzja była łatwa do przewidzenia. Jeszcze zanim Rafael skończył z nimi rozmawiać, niektórzy z robotników ruszyli w stronę swoich chatek.

– Dokąd oni idą?

– Pewnie wracają do wioski – odrzekł Malchuskin. – To niedaleko. – Wskazał w kierunku południowo-wschodnim, za południowy grzbiet wzniesienia. – Bez obaw, wróć. Nie lubią pracować, ale mieszkańcy wioski wywrą na nich presję, ponieważ dajemy im to, czego pragną.

– Czyli co?

– Zdobył cywilizacji – odpowiedział, uśmiechając się cynicznie. – Może cię to rozbawi, ale chodzi głównie o syntetyczne jedzenie, na które zawsze tak narzekasz.

– Oni je lubią?

– Nie bardziej niż ty. Ale wolą je od pustego brzucha, a tak wyglądało życie większości z nich, zanim się pojawiliśmy.

– Nie sądzę, żebym miał się godzić na tak ciężką pracę w zamian za takie jedzenie. Jest bez smaku, mało sycące i...

– Ile posiłków dziennie jadałeś w mieście?

– Trzy.

– Ile z nich było syntetycznych?

– Tylko dwa.

– Cóż, to właśnie tacy biedacy zaharowują się na śmierć, żebyś ty mógł codziennie zjadać jeden prawdziwy posiłek. A poza tym wiem, że to, co dla mnie robią, to drobiazg.

– Co pan ma na myśli?

– Dowiesz się.

Wieczorem, kiedy siedzieliśmy w chatce, Malchuskin wrócił do tego tematu. Okazało się, że nie jest tak źle poinformowany, jak próbował udawać. Jak zwykle zrzucał winę za wszystko na system cechowy. Zgodnie z dawno ustalonym zwyczajem reguły funkcjonowania miasta były przekazywane z pokolenia na pokolenie nie na drodze teoretycznego

nauczania, ale heurystyki. Uczeń mógł znacznie bardziej docenić tradycje cechów, gdy osobiście doświadczył rzeczywistości, na której się one opierały, zamiast poznawać je teoretycznie. W praktyce oznaczało to, że musiałem samodzielnie odkryć, jak ludzie trafiają do pracy przy torach i jakie inne zadania wykonują, oraz poznać wszystkie pozostałe kwestie dotyczące przetrwania miasta.

– Kiedy byłem uczniem – zaczął Malchuskin – budowałem mosty i wykopywałem tory. Pracowałem z cechem Trakcji i towarzyszyłem takim ludziom jak twój ojciec. Wiem, w jaki sposób miasto trwa, i dzięki temu znam wartość swojej pracy. Wykopuję tory i ponownie je układam, nie dlatego, że sprawia mi to przyjemność, ale ponieważ wiem, że to konieczne. Wychodziłem z miasta z członkami cechu Handlowców i widziałem, jak nakłaniają miejscową ludność do pracy dla nas, dlatego rozumiem presję, jakiej podlegają moi obecni robotnicy. Wszystko wydaje ci się tajemnicze i niejasne... tak to teraz postrzegasz. Ale w końcu nauczysz się, że robimy to, żeby przetrwać, a także zrozumiesz, jak niepewny jest nasz los.

– Nie mam nic przeciwko pracy z panem – zapewniłem.

– Nie o to mi chodziło. Nasza współpraca dobrze się układa. Chcę jedynie powiedzieć, że wszystkie te sprawy, o których zapewne rozmyślasz – na przykład przysięga – mają swój cel i, na Boga, jest on ze wszech miar rozsądny!

– Więc robotnicy wrócą rano.

– Zapewne. Będą narzekali i obijali się, kiedy tylko spuści się ich z oczu... ale to też nieuniknione. Jednak czasami zastanawiam się...

Czekałem, aż dokończy, ale już nic nie dodał. Było to u niego nietypowe zachowanie, ponieważ nigdy nie sprawiał wrażenia refleksyjnego człowieka. Zapadło długie milczenie, które przerwał tylko raz, gdy musiałem wyjść do latryny. Wtedy ziewnął, przeciągnął się i zażartował z mojego słabego pęcherza.



Rafael wrócił rano z większością robotników, którzy wcześniej nam towarzyszyli. Kilku mężczyzn brakowało, ale braki uzupełniono nowymi osobami. Malchuskin powitał ich bez widocznego zaskoczenia i od razu zaczął nadzorować rozbiórkę trzech tymczasowych budynków.

Najpierw wyniesiono wszystkie przedmioty ze środka i ułożono je na potężnej stercie. Następnie rozmontowano same budynki, co nie było tak trudne, jak mi się wydawało, gdyż najwyraźniej zaprojektowano je z myślą o wielokrotnej rozbiórce i składaniu. Ściany łączyły się ze sobą za pomocą serii sworzni. Podłogi dzieliły się na kilka płaskich drewnianych płyt, a dachy przymocowano podobnie jak ściany. Drzwi oraz okna stanowiły część ram, w których się znajdowały. Rozebranie każdej z chatek zajmowało około godziny, więc robotnicy uporali się z tym do południa. Wcześniej Malchuskin oddalił się na pół godziny i wrócił elektryczną ciężarówką. Zrobiliśmy sobie krótką przerwę i zjedliśmy posiłek, a następnie załadowaliśmy na ciężarówkę tyle materiałów, ile się zmieściło, po czym ruszyliśmy w stronę szczytu wzniesienia. Malchuskin prowadził, a Rafael i kilku robotników trzymali się boków pojazdu.

Od grzbietu dzieliła nas spora odległość. Malchuskin wybrał trasę, która powiodła nas po skosie ku najbliższemu odcinkowi toru, a następnie wzdłuż niego aż do szczytu wzniesienia. Grzbiet przecinało płytkie zagłębienie i właśnie w nim ułożono cztery tory. Pracowało przy nich mnóstwo ludzi: niektórzy ręcznie rozkopywali ziemię po obu stronach torów – zapewne, żeby poszerzyć szlak dla miasta – podczas gdy inni pracowali za pomocą mechanicznych wiertel, wznosząc pięć metalowych ram, z których każda podtrzymywała duże koło. Jak dotąd tylko jedną z nich zdołano bezpiecznie umocować i teraz stała pomiędzy dwoma wewnętrznymi torami – smukła geometryczna konstrukcja, pozornie bez żadnego zastosowania.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez zagłębienie, Malchuskin zwolnił i z zainteresowaniem przyjrzał się postępom prac. Pomachał jednemu z członków cechu, który nadzorował robotników, a potem ponownie

przyśpieszył, gdy mineliśmy szczyt wzgórza. Łagodne zbocze prowadziło w dół na rozległą równinę. Na wschodzie i zachodzie oraz po przeciwnej stronie równiny dostrzegłem znacznie wyższe wzgórza.

Ku mojemu zaskoczeniu tory kończyły się niedaleko za grzbietem. Lewy zewnętrzny tor ciągnął się jeszcze około mili, ale trzy pozostałe urywały się po zaledwie stu jardach. Dwie ekipy już przy nich pracowały, jednak od razu się zorientowaliśmy, że roboty posuwają się powoli.

Malchuskin się rozejrzał. Po naszej – czyli zachodniej – stronie torów stało niewielkie skupisko domków, w których prawdopodobnie mieszkali robotnicy, którzy już przybyli na miejsce. Skierował ciężarówkę w tamtą stronę, ale zatrzymał się dopiero spory kawałek za zabudowaniami.

– Może być tutaj – orzekł. – Postaramy się postawić budynki przed zapadnięciem nocy.

– Dlaczego nie postawimy ich obok pozostałych? – spytałem.

– Takie mam zasady. Wystarczy mi kłopotów, które mam ze swoimi ludźmi. Jeśli będą mieli kontakt z innymi, mogą zacząć więcej pić i mniej pracować. Nie możemy im zabronić wspólnego spędzania czasu podczas przerw w pracy, ale nie ma sensu zbijać ich w większą grupę.

– Ale chyba mają prawo robić to, co chcą?

– Wynajmujemy ich do pracy. To wszystko.

Wygramolił się z kabiny ciężarówki i zaczął pokrzykiwać na Rafaela, żeby zabrał się do składania chatek.

Wkrótce ciężarówkę rozładowano, a Malchuskin pozostawił mnie na czele budowy i pojechał na drugą stronę wzgórza po resztę ludzi i materiałów.

O zmierzchu budowa była prawie ukończona. Moim ostatnim zadaniem tego dnia było odprowadzenie ciężarówki do miasta i podłączenie jej do punktu ładowania akumulatora. Odjechałem zadowolony, że znów przez chwilę mogę się cieszyć samotnością.

Kiedy pokonałem grzbiet wzniesienia, zobaczyłem, że zakończono pracę nad postawionymi pionowo kołami i terenu budowy pilnuje tylko dwóch członków Sił Zbrojnych z kuszami na plecach. Nie zwracali na mnie

uwagi. Pozostawiłem ich w tyle i zjechałem w stronę miasta. Ze zdziwieniem zauważyłem, jak niewiele pali się światła i jaki spokój zapanował wraz z nadejściem nocy.

W punkcie ładowania akumulatorów, który wskazał mi Malchuskin, stały już inne pojazdy i wszystkie stanowiska były zajęte. Zgadywałem, że odprowadzam ostatnią ciężarówkę i będę musiał poszukać innego miejsca. Ostatecznie znalazłem wolne stanowisko po południowej stronie miasta.

Było już ciemno, a po odstawieniu ciężarówki czekał mnie długi pieszy powrót. Kusiło mnie, żeby nie wracać, tylko zostać na noc w mieście. W końcu mogłem dotrzeć do swojego pokoju w ochronie w ciągu zaledwie kilku minut... Ale potem pomyślałem o reakcji Malchuskina, z którą musiałbym się zmierzyć rano.

Niechętnie okrążyłem miasto, znalazłem tory biegnące na północ i wzdłuż nich doszedłem do szczytu wzgórza. Samotny nocny spacer po równinie okazał się niepokojącym doświadczeniem. Było mi zimno, a silny wiatr wiejący ze wschodu przenikał przez mój cienki mundurek. Przedemną wznosiła się ciemna bryła wzgórza widoczna na tle słabego blasku bijącego od zachmurzonego nieba. W zagłębieniu stały kanciaste konstrukcje z kołami, wokół których krążyli dwaj zbrojni pozostawieni na samotnym posterunku. Zatrzymali mnie, kiedy się do nich zbliżyłem.

– Stać! – Obaj mężczyźni przystanęli i chociaż nie widziałem ich dokładnie, miałem przeczucie, że wycelowali we mnie z kusz. – Kto idzie?

– Uczeń Helward Mann.

– Co robisz poza miastem?

– Pracuję z Torowym Malchuskinem. Niedawno mijałem panów w ciężarówce.

– A tak. Możesz przejść.

Zbliżyłem się do strażników.

– Nie znam cię – odezwał się jeden z nich. – Niedawno zacząłeś?

– Tak... mniej więcej milę temu.

– Do którego cechu należysz?

– Do Badaczy Przyszłości.

Strażnik, który mnie wypytywał, roześmiał się.

– Lepiej ty niż ja.

– Dlaczego?

– Chcę długo żyć.

– Ale on jest jeszcze młody – zauważył drugi z wartowników.

– O czym panowie mówią?

– Byłeś już w przyszłości?

– Nie.

– A cofałeś się do przeszłości?

– Nie. Zacząłem dopiero kilka dni temu.

Coś mi przyszło do głowy. Chociaż nie widziałem ich twarzy w ciemnościach, po głosach zorientowałem się, że nie są dużo starsi ode mnie. Mieli może siedemset mil, nie więcej. A skoro tak, to powinienem ich znać z ochrony.

– Jak się pan nazywa? – spytałem jednego z nich.

– Conwell Sturner. Dla ciebie Kuznik Sturner.

– Był pan w ochronie?

– Tak. Ciebie jednak nie pamiętam. No, ale jesteś jeszcze dzieciakiem.

– Właśnie opuściłem ochronkę. Nie było tam pana.

Obaj ponownie się roześmiali, a ja poczułem rosnące rozdrażnienie.

– Byliśmy w przeszłości, synu.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jesteśmy mężczyznami.

– Powinieneś być już w łóżku, synu. Tutaj jest niebezpiecznie po zmroku.

– Nikogo tutaj nie ma – zaproponowałem.

– Teraz nie. Ale kiedy mięczaki w mieście się wysypiają, my chronimy ich przed tukami.

– Kim oni są?

– Tukowie? Inaczej dagosi. Miejscowe zbiry, które wyskakują z ciemności na młodych uczniów.

Ominąłem ich. Żałowałem, że nie zostałem w mieście. Ale, z drugiej strony, rozbudzili moją ciekawość.

– Naprawdę? Co panowie mają na myśli? – spytałem.

– Tukowie nie lubią miasta. Gdybyśmy nie mieli na nich oka, zniszczyliby tory. Widzisz te wyciągi? Powywracaliby je, gdyby nas tutaj nie było.

– Ale to... tukowie pomogli je ustawić.

– Ci, którzy pracują dla nas. Ale wielu tego nie robi.

– Wracaj do łóżka, synu. Zostaw tuków nam.

– Poradzą sobie panowie we dwóch?

– Owszem... a na całym wzgórzu jest jeszcze tuzin naszych towarzyszy. Zmykaj do łóżka, synu, zanim dostaniesz bełtem między oczy.

Odwrociłem się do nich plecami i odszedłem. Czulem, że kipi we mnie złość, i byłem pewien, że gdybym został dłużej, rzuciłbym się na któregoś z nich. Miałem dosyć ich protekcyjnego traktowania, a jednocześnie wiedziałem, że moje słowa ich ubodły. Dwaj młodzi mężczyźni uzbrojeni w kusze nie mogliby powstrzymać zdeterminowanego ataku i oni doskonale zdawali sobie z tego sprawę, jednak było istotne dla ich ego, żebym sam się tego nie domyślił.

Kiedy oceniłem, że znajduję się poza zasięgiem ich słuchu, ruszyłem biegiem i niemal natychmiast potknąłem się o podkład. Odsunąłem się od toru i pobiegłem dalej. Malchuskin czekał w chatce. Razem zjedliśmy kolejny posiłek złożony z syntetycznych pokarmów.

Po kolejnych dwóch dniach pracy z Malchuskinem przyszła pora na mój urlop. Podczas tych dwóch dni Malchuskin nakłaniał robotników do cięższej pracy niż kiedykolwiek i poczyniliśmy duże postępy. Chociaż układanie nowych torów było trudniejsze niż wykopywanie starych, pomagało nam, że widzieliśmy konkretne rezultaty swoich wysiłków w postaci coraz dłuższego szlaku. Dodatkowa praca polegała na kopaniu otworów pod betonowe fundamenty, na których miały spocząć podkłady i szyny. Jako że na północy miasta pracowały obecnie trzy ekipy, a wszystkie tory miały mniej więcej tę samą długość, w grę wchodził także element konkurencji pomiędzy robotnikami. Zaskoczyło mnie, jak bardzo ta konkurencja zmobilizowała ludzi, którzy przekomarzali się serdecznie podczas pracy.

– Dwa dni – rzekł Malchuskin, zanim wróciłem do miasta. – Nie odchodź na dłużej. Niedługo zaczną korzystać z kołowrotów i będzie nam potrzebna każda para rąk.

– Mam do pana wrócić?

– To zależy od twojego cechu... ale tak. Kolejne dwie mile pokonasz w moim towarzystwie. Potem przeniosą cię do innego cechu, z którym pokonasz trzy mile.

– Kto to będzie? – spytałem.

– Nie wiem. Decyzję podejmie twój cech.

– Dobrze.

Ostatniego dnia późno skończyliśmy pracę, zatem przenocowałem w chatce. Miałem jeszcze jeden powód: nie chciałem wracać pieszo do miasta po zmroku i przejść przez zagłębienie, którego strzegli zbrojni. W ciągu dnia prawie nie widywaliśmy członków Sił Zbrojnych, ale po moim pierwszym spotkaniu z nimi Malchuskin poinformował mnie, że każdej

nocy wystawiano strażę, a bezpośrednio przed operacją wciągania okolicy toru stanowią najsilniej strzeżony obszar.

Następnego ranka powędrowałem wzdłuż toru z powrotem do miasta.

\* \* \*

Nie miałem problemów ze znalezieniem Victorii, skoro otrzymałem zgodę na przebywanie w mieście. Wcześniej wahałem się, czy powinienem jej szukać, ponieważ podświadomie czułem, że muszę jak najszybciej wracać do Malchuskina. Teraz miałem dla siebie pełne dwa dni i pozbyłem się poczucia, że zaniedbuję obowiązki.

Mimo wszystko wciąż nie wiedziałem, gdzie jej szukać... dlatego byłem zmuszony poprosić kogoś o pomoc. Po kilkukrotnym zgubieniu drogi w końcu zostałem skierowany do sali na czwartym poziomie. Tutaj Victoria oraz kilkoro innych młodych ludzi pracowali pod nadzorem jednej z kierowniczek. Kiedy tylko Victoria zobaczyła mnie w drzwiach, powiedziała coś do kierowniczki i podeszła do mnie. Wyszliśmy na korytarz.

– Witaj, Helwardzie – odezwała się, zamykając za sobą drzwi.

– Witaj. Posłuchaj... jeśli jesteś zajęta, mogę przyjść później.

– Wszystko w porządku. Masz urlop, prawda?

– Tak.

– Więc ja też mam urlop. Chodź.

Poprowadziła mnie korytarzem, skręciła w jedną z bocznych odnóg, a następnie zeszła po krótkich schodach. Na dole znajdował się kolejny korytarz z licznymi drzwiami po obu stronach. Victoria otworzyła jedno z nich i weszliśmy.

Pomieszczenie było znacznie większe niż jakakolwiek prywatna kwatera, jaką widziałem w mieście. Największym meblem było łóżko stojące pod ścianą, chociaż w pokoju były także inne wygodne meble, jak również zaskakująco dużo wolnej przestrzeni. Pod jedną ze ścian stały umywalka i niewielka kuchenka. W pokoju znajdowały się także stół i dwa

krzesła, komoda na ubrania oraz dwa wyściełane fotele. Jednak najbardziej niespodziewane było okno.

Od razu do niego podszedłem i wyjrzałem. Po drugiej stronie znajdował się otwarty teren ograniczony ścianą z licznymi oknami. Teren rozciągał się na lewo i prawo, jednak okno było tak małe, że nie widziałem, co znajduje się po obu stronach.

– Podoba ci się? – spytała Victoria.

– Tyle tu miejsca! To wszystko twoje?

– W pewnym sensie. To będzie nasze, kiedy się pobierzemy.

– No tak. Ktoś mi mówił, że otrzymam własną kwaterę.

– Zapewne chodziło właśnie o to – odrzekła Victoria. – Gdzie teraz mieszkasz?

– Wciąż w ochronce. Ale nie nocowałem tam od czasu uroczystości.

– Już przebywasz na zewnątrz?

– Cóż...

Nie byłem pewien, co mam odpowiedzieć. Na zewnątrz? Jak wiele mogę zdradzić Victorii, skoro wiąże mnie przysięga?

– Wiem, że wychodzisz z miasta – powiedziała Victoria. – To nie jest tajemnica.

– Co jeszcze wiesz?

– Kilka rzeczy. Ale przecież dotychczas prawie nie mieliśmy okazji porozmawiać! Może zaparzę ci herbaty?

– Syntetycznej? – Od razu pożałowałem swojego pytania; nie chciałem wyjść na nieuprzejmego.

– Niestety, tak, ale niedługo będę miała okazję pracować z ekipą od syntetyków, więc może uda mi się znaleźć jakiś sposób na poprawienie jej jakości.

Atmosfera stopniowo stawała się bardziej swobodna. Przez pierwszą godzinę albo dwie odnosiliśmy się do siebie chłodno i niemal oficjalnie, okazując sobie grzeczne zainteresowanie, wkrótce jednak poczuliśmy się pewniej. Uświadomiłem sobie, że Victoria i ja nie jesteśmy sobie zupełnie obcy.



Rozmowa zesłała na nasze życie w ochronce, co natychmiast przywołało nową porcję wątpliwości. Zanim opuściłem miasto, nie miałem pojęcia, co znajdę na zewnątrz. Nauki, które pobierałem w ochronce, wydawały mi się – podobnie jak większości pozostałych – nudne, abstrakcyjne i nieistotne. Mieliśmy do dyspozycji niewiele drukowanych książek, z których większość stanowiły fikcyjne dzieła dotyczące życia na planecie Ziemia, dlatego nauczyciele musieli się opierać głównie na samodzielnie napisanych tekstach. Wiedzieliśmy dużo – a przynajmniej tak nam się wydawało – o codziennym życiu na planecie Ziemia, ale mówiono nam, że na tym świecie znajdziemy coś innego. Naturalna dziecięca ciekawość domagała się natychmiastowego zaspokojenia, ale nauczyciele milczeli. Dlatego nasza wiedza zawsze była frustrująco niekompletna: z książek nauczyliśmy się o życiu w innym świecie, z kolei zasady funkcjonowania miasta pozostawały w sferze domysłów.

Ta sytuacja wywoływała silne niezadowolenie, któremu towarzyszył nadmiar nagromadzonej energii. A gdzie mielibyśmy ją rozładować w ochronce? Tylko korytarze i sala gimnastyczna zapewniały wystarczająco dużo przestrzeni, chociaż również narzucały surowe ograniczenia. Nadmiar energii przejawiał się w niespokojnych zachowaniach: u młodszych dzieci w emocjonalnych wybuchach i nieposłuszeństwie, u starszych w bójkach i namiętnym oddawaniu się nielicznym sportom, które można było uprawiać w malutkiej sali gimnastycznej... u tych zaś, które zaledwie kilka mil dzieliło od dorosłości, w przedwczesnych doświadczeniach cielesnych.

Kierownicy ochronki starali się podejmować środki zapobiegawcze, ale najwyraźniej rozumieli naturę tych zachowań. W każdym razie dorastałem w ochronce i, tak samo jak wszyscy, od czasu do czasu uczestniczyłem w tych wybrykach. W ciągu ostatnich dwudziestu mil przed osiągnięciem dorosłości wdałem się w seksualne relacje z kilkoma dziewczętami – nie było wśród nich Victorii – i sądziłem, że to nie ma większego znaczenia. Jednak teraz miałem wziąć ślub i nagle moje dawne zachowania stały się istotne.

Co dziwne, im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej mi zależało na pozbyciu się tych upiórów przeszłości. Zastanawiałem się, czy powinienem opowiedzieć Victorii ze szczegółami o swoich doświadczeniach i spróbować się wytłumaczyć. Ale Victoria najwyraźniej przejęła kontrolę nad rozmową i kierowała ją na tematy, które oboje akceptowaliśmy. Może ona również zmagala się z własnymi upiorami? Opowiedziała mi coś o życiu w mieście, a ja oczywiście wysłuchałem jej z zainteresowaniem.

Powiedziała, że jako kobieta nie może automatycznie liczyć na odpowiedzialną pozycję i tylko zaręczyny ze mną umożliwiły jej otrzymanie obecnej pracy. Gdyby zaręczyła się z kimś spoza cechów, wymagano by od niej jak najczęstszego rodzenia dzieci i spędzania czasu na schematycznych pracach w kuchni, szyciu ubrań oraz innych zajęciach niewymagających kwalifikacji. Jednakże teraz zyskała częściową kontrolę nad swoją przyszłością i mogła awansować nawet na stanowisko starszej kierowniczk. Obecnie uczestniczyła w szkoleniu, które przypominało moją naukę. Jedyna różnica polegała na tym, że w jej przypadku kładziono mniejszy nacisk na doświadczenie, a większy na wiedzę teoretyczną. Dlatego nauczyła się znacznie więcej ode mnie o mieście i zasadach jego funkcjonowania.

Czułem, że nie mogę swobodnie rozmawiać o swojej pracy na zewnątrz, dlatego z dużym zaciekawieniem słuchałem jej opowieści.

Powiedziano jej, że miasto zмага się z dwoma wielkimi niedoborami: wody – o czym wspominał mi Malchuskin – oraz ludności.

– Przecież w mieście mieszka mnóstwo osób – zdziwiłem się.

– Tak... ale wskaźnik żywych urodzeń zawsze był niski i sytuacja stale się pogarsza. Co gorsza, rodzi się zdecydowanie więcej chłopców. Nikt nie jest pewien dlaczego.

– Pewnie przez syntetyczne jedzenie – zażartowałem.

– Niewykluczone. – Nie wychwyciła żartu. – Dopóki nie opuściłam ochronki, niewiele wiedziałem o życiu w pozostałej części miasta... ale zawsze zakładałam, że wszyscy jego mieszkańcy się tutaj urodzili.

– A tak nie jest?

– Nie. Sprowadza się wiele kobiet z zewnątrz, żeby zwiększyć populację. A bardziej konkretnie, w nadziei, że urodzą dziewczynki.

– Moja matka pochodziła spoza miasta – odpowiedziałem.

– Naprawdę? – Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, Victoria sprawiała wrażenie zbitej z tropu. – Nie wiedziałam.

– Myślałem, że to oczywiste.

– Pewnie tak, ale z jakiegoś powodu nigdy nie pomyślałam...

– To bez znaczenia – uciałem.

Nagle Victoria zamilkła. To naprawdę nie była dla mnie istotna sprawa i żałowałem, że o niej wspomniałem.

– Opowiedz mi o tym coś więcej – poprosiłem.

– Nie... to już prawie wszystko. A co u ciebie? Jaki jest twój cech?

– W porządku.

Poza tym, że przysięga zabraniała mi o tym mówić, sam również nie miałem na to ochoty. W nagłym milczeniu Victorii wyczuwałem, że ma więcej do powiedzenia, ale coś ją przed tym powstrzymuje. Przez większość mojego życia – a przynajmniej odkąd sięgałem pamięcią – nieobecność mojej matki traktowano jako oczywistość. Mój ojciec zawsze mówił o tym w bardzo rzeczowy sposób i nikt nigdy mnie nie piętnował. Spora część chłopców i dziewcząt w ochronce była w takiej samej sytuacji. Dopóki ten temat nie wywołał takiej reakcji u Victorii, nigdy nie poświęcałem mu większej uwagi.

– Jesteś wyjątkowa – powiedziałem, mając nadzieję, że wróci do rozpoczętego tematu, jeśli podejść do niego z innej strony. – Twoja matka wciąż jest w mieście.

– To prawda – przyznała.

A więc na tym koniec. Postanowiłem dalej nie naciskać. Zresztą aż tak bardzo mi nie zależało na rozmowie o sprawach, które nas nie dotyczyły. Przyszedłem do miasta, żeby lepiej poznać Victorię, a nie rozmawiać o genealogii.

Jednak nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że nasza rozmowa zgasła.

– Co tam jest? – spytałem, wskazując okno. – Czy możemy tam wyjść?

– Jeśli chcesz. Pokażę ci.

Wyszliśmy z pokoju i podążyliśmy korytarzem do drzwi prowadzących na zewnątrz. Nie było tam wiele do oglądania: otwartą przestrzeń okazała się zwykła alejka biegnąca pomiędzy dwiema częściami bloku mieszkalnego. Na jej jednym końcu znajdowało się wzniesienie, na które można było się wspiąć po drewnianych schodach. Najpierw udaliśmy się na drugi koniec, gdzie znaleźliśmy kolejne drzwi prowadzące do wnętrza miasta, a w drodze powrotnej wspięliśmy się po schodach na niewielką platformę, na której ustawiono kilka drewnianych ławeczek i gdzie można było swobodnie się poruszać. Platformę z dwóch stron ograniczały wyższe mury, za którymi zapewne znajdowały się inne części miasta, z kolei po stronie schodów rozciągał się widok na dachy bloków mieszkalnych oraz alejkę. Jednak z czwartej strony nic nie przesłaniało widoku i mogliśmy się rozejrzeć po okolicznych wiejskich terenach. Było to dla mnie zaskoczenie: z przysięgi, którą złożyłem, wynikało, że nikt poza członkami cechów nie powinien oglądać tego, co znajduje się poza miastem.

– Co o tym sądzisz? – spytała Victoria, siadając na jednej z ławeczek i spoglądając poza mury.

Usiadłem obok niej.

– Podoba mi się.

– Byłeś tam?

– Tak. – Nie było mi łatwo; już czułem, że naruszam warunki przysięgi. Jak mogę rozmawiać z Victorią o swojej pracy i jednocześnie dotrzymać danego słowa?

– Nie wolno nam zbyt często tutaj wchodzić. Drzwi są zamknięte w nocy, a także przez większość dnia. Czasami nawet przez kilka dni bez przerwy.

– Wiesz dlaczego?

– A ty? – spytała.

– Zapewne... chodzi o prace, które się tam wykonuje.

– O których nie będziesz opowiadał.

– Właśnie.

– Dlaczego nie?

– Nie mogę.

Popatrzyła na mnie.

– Jesteś bardzo opalony. Pracujesz na słońcu?

– Przez część czasu.

– To miejsce jest zamknięte, kiedy słońce znajduje się nad miastem.

Widziałam tylko promienie dotykające najwyższych części budynków.

– Niewiele straciłaś – odrzekłem. – Jest bardzo jasne i nie można na nie patrzeć.

– Chciałabym się sama przekonać.

– Czym się teraz zajmujesz? – spytałem. – Chodzi mi o twoją pracę.

– Technologią żywienia.

– Co to takiego?

– Opracowujemy zrównoważony sposób odżywiania. Musimy zadbać o to, żeby syntetyczne pokarmy zawierały wystarczająco dużo białek, a ludzie spożywali właściwą ilość witamin. – Zawiesiła głos, dając do zrozumienia, że niezbyt ją interesuje ten temat. – Światło słoneczne też zawiera witaminy.

– Naprawdę?

– Witaminę D. Ciało produkuje ją, kiedy światło słoneczne pada na skórę. Warto o tym wiedzieć, jeśli ktoś nigdy nie ogląda słońca.

– Ale można zsyntetyzować tę witaminę.

– Owszem... i tak się robi. Może wrócimy do pokoju i napijemy się jeszcze herbaty?

Nic nie odpowiedziałem. Nie wiem, czego się spodziewałem po spotkaniu z Victorią, ale na pewno nie tego. Podczas pracy ulegałem wyidealizowanym romantycznym złudzeniom, które tylko od czasu do czasu studziło przecucie, że będziemy musieli się do siebie dopasować. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że pojawi się między nami tak wiele niechęci. Wyobrażałem sobie, jak wspólnie pracujemy nad zbudowaniem intymnego związku, jaki zaplanowali dla nas nasi rodzice, kształtując go w taki sposób, żeby z czasem stał się realistyczny, a może

nawet podszyty miłością. Ale nie przewidziałem, że Victoria postrzegła naszą relację w szerszej perspektywie: że już zawsze będę się cieszył zaletami życia, do którego ona nie ma dostępu.

Pozostaliśmy na platformie. Uwaga Victorii o powrocie do pokoju okazała się ironiczna, a ja byłem na tyle wrażliwy, żeby to dostrzec. Zresztą czułem, że z różnych powodów oboje wolimy zostać na zewnątrz; ja dlatego, że za sprawą pracy poza miastem polubiłem świeże powietrze, natomiast wnętrza budynków przyprawiały mnie obecnie o klaustrofobię, z kolei Victoria zapewne czuła, że przebywanie na tej platformie zapewnia jej namiastkę opuszczenia miasta. Mimo wszystko pofałdowany wiejski krajobraz na wschodzie przypominał nam o nowo odkrytej różnicy, która nas podzieliła.

– Mogłabyś złożyć wniosek o przeniesienie do któregoś z cechów – zasugerowałem po chwili. – Na pewno...

– Jestem niewłaściwej płci – przerwała mi. – Dopuszczają tylko mężczyzn, nie wiedziałeś?

– Nie...

– Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby domyślić się kilku rzeczy – ciągnęła, mówiąc szybko i prawie nie ukrywając goryczy. – Patrzyłam na to przez całe życie i nie rozumiałam tego: ojca nigdy nie było w mieście, matka wykonywała swoją pracę, zapewniając nam wszystkie rzeczy, które braliśmy za pewnik, takie jak jedzenie, ogrzewanie czy kanalizacja. Ale teraz już rozumiem. Kobiety są zbyt cenne, żeby wypuszczać je na zewnątrz. Są potrzebne w mieście, ponieważ rodzą dzieci i mogą to robić wielokrotnie. Jeżeli mają pecha i nie przyszły na świat w mieście, mogą zostać tutaj przywiezione, a potem odesłane, gdy już wypełnią swoją rolę. – Znowu podjęła drażliwy temat, ale tym razem się nie wycofała. – Wiem, że pracę za murami trzeba wykonać i towarzyszy jej ryzyko... ale nie dano mi wyboru. Tylko dlatego, że jestem kobietą, muszę tkwić w tym przeklętym miejscu i uczyć się fascynujących rzeczy o produkcji jedzenia, a także rodzić dzieci, kiedy tylko mogę.

– Więc nie chcesz za mnie wyjść? – spytałem.

– Nie mam innego wyjścia.

– Dzięki.

Wstała i ze złością ruszyła w stronę schodów. Zszedłem w ślad za nią, a następnie towarzyszyłem jej w drodze do pokoju. Zaczekałem w progu, podczas gdy ona stanęła zwrócona do mnie plecami przed oknem wychodzącym na wąską alejkę między budynkami.

– Chcesz, żebym sobie poszedł? – spytałem.

– Nie... wejdź i zamknij za sobą drzwi.

Nie poruszyła się, kiedy to zrobiłem.

– Zaparzę jeszcze herbaty – powiedziała.

– Dobrze.

Woda w rondlu wciąż była ciepła, więc jej zagotowanie zajęło tylko około minuty.

– Nie musimy się pobierać – powiedziałem.

– Jeśli to nie będziesz ty, znajdą kogoś innego. – Odwróciła się i usiadła obok mnie, biorąc do ręki kubek z syntetycznym naparem. – Nie mam nic przeciwko tobie, Helwardzie. Powinieneś to wiedzieć. Czy nam się to podoba, czy nie, moje i twoje życie zdominował system cechowy. Nie możemy nic na to poradzić.

– Dlaczego nie? Systemy można zmieniać.

– Ale nie ten! Jest zbyt silnie zakorzeniony. Cechy kontrolują całe miasto, z powodów, których pewnie nigdy nie poznam. Tylko one mogą zmienić system, ale nigdy tego nie uczynią.

– Sprawiasz wrażenie niezwykle pewnej.

– Bo jestem pewna – odrzekła. – A na domiar złego system, który kieruje moim życiem, jest zdominowany przez coś, co toczy się poza miastem. Jako że nie mogę wziąć w tym udziału, nigdy nie będę mogła zapanować nad swoim losem.

– Ale mogłabyś to zrobić... za moim pośrednictwem.

– Przecież nie chcesz o tym rozmawiać.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

- Nawet tego nie wolno mi zdradzić.
- Tajemnica cechu.
- Można to tak nazwać – odpowiedziałem.
- Nawet siedząc tutaj, wspierasz ten stan rzeczy.
- Nie mam wyboru – odparłem. – Musiałem przyrzec...

Wtedy sobie przypomniałem, że utrzymanie samej przysięgi w tajemnicy również stanowi jeden z jej warunków. Nie dotrzymałem go, a przyszło mi to tak łatwo i naturalnie, że nawet nie zdążyłem o tym pomyśleć.

Ku mojemu zaskoczeniu Victoria w ogóle nie zareagowała na moje słowa.

- Zatem system cechowy jest ratyfikowany – odrzekła. – To ma sens. Dopilem herbatę.
- Chyba lepiej już pójdę.
- Jesteś na mnie zły? – spytała.
- Nie. Po prostu...

– Nie idź. Przepraszam, że straciłam cierpliwość... to nie twoja wina. Powiedziałeś, że za twoim pośrednictwem mogłabym zapanować nad swoim losem. Co miałeś na myśli?

– Nie jestem pewien. Chyba chodziło mi o to, że jako żona członka cechu, którą kiedyś zostaniesz, miałabyś większe szanse na...

- Na co?
- Cóż... dostrzeżenie za moim pośrednictwem, jak działa system.
- Ale musiałeś przysiąc, że mi o tym nie powiesz.
- No... tak.

– Więc członkowie cechów pierwszej kategorii to wszystko rozpracowali. System wymaga dyskrecji.

Odchyliła się i zamknęła oczy.

Czułem się zagubiony i zły na siebie. Byłem uczniem od dziesięciu dni i już zasłużyłem na karę śmierci. Nie potrafiłem brać na poważnie tak dziwacznej myśli, chociaż pamiętałem, że podczas składania przysięgi ta groźba wydawała mi się realna. Natomiast byłem zagubiony, ponieważ



Victoria nieświadomie odwoływała się do niepewnego emocjonalnego zobowiązania, które nas połączyło. Dostrzegalem ten konflikt, lecz nie mogłem nic na to poradzić. Na podstawie własnego życia w ochronce wiedziałem, jak frustrujący potrafi być zakaz dostępu do innych części miasta. Gdyby zastosowano go w większej skali – zezwolono komuś na niewielki udział w rządzeniu miastem, ale postawiono granicę, za którą żadne działania nie byłyby możliwe – frustracja dalej by się rozwijała. Ale z pewnością to nie był nowy problem w mieście. Victoria i ja nie byliśmy pierwszą parą, która miała się pobrać w taki sposób. Przed nami na pewno było wielu innych, którzy doświadczyli takiego samego rozdźwięku. Czy po prostu przyjmowali system takim, jaki im się wydawał?

Victoria nie poruszyła się, kiedy wychodziłem z pokoju, żeby wrócić do ochronki.

\* \* \*

Kiedy oddaliłem się od niej i uwolniłem z nieuniknionego splotu reakcji i kontrreakcji, który towarzyszył naszej rozmowie, stopniowo zapomniałem o jej obawach i zacząłem się przejmować własną sytuacją. Jeżeli przysięgę traktowano poważnie, to groziła mi śmierć, gdyby członkowie cechów dowiedzieli się, co zrobiłem. Czy złamanie przysięgi naprawdę jest tak straszliwym czynem?

Czy Victoria może zdradzić komuś, co jej powiedziałem? Kiedy o tym pomyślałem, w pierwszej chwili chciałem do niej wrócić i poprosić ją o milczenie... ale to jeszcze bardziej by mnie pogрузyło oraz pogłębilo jej niechęć.

Zmarnowałem resztę dnia, leżąc na swoim posłaniu i zamartwiając się całą tą sytuacją. Później zjadłem posiłek w jednej z miejskich jadalni, dziękując losowi, że nie spotkałem Victorii.

\* \* \*

W środku nocy Victoria przyszła do mojego pokoju. Najpierw usłyszałem odgłos zamykanych drzwi, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem jej wysoką sylwetkę obok mojego łóżka.

– Co...?

– Ciii. To ja.

– Czego chcesz? – Sięgnąłem w stronę włącznika światła, ale Victoria złapała mnie za nadgarstek.

– Nie zapalaj światła.

Przysiadła na krawędzi łóżka, a ja usiadłem na pościeli.

– Przepraszam, Helwardzie. Tylko to chciałam ci powiedzieć.

– W porządku.

Roześmiała się.

– Wciąż śpisz, prawda?

– Nie jestem pewien. Możliwe.

Nachyliła się, lekko oparła dłonie na mojej piersi, a następnie przesunęła je w górę i objęła mnie za szyję. Pocałowała mnie.

– Nic nie mów – poprosiła. – Po prostu jest mi bardzo przykro.

Ponownie się pocałowaliśmy, a ona mocniej otoczyła mnie rękami.

– Śpisz w nocnej koszuli.

– A w czym miałbym spać?

– Zdejmij ją.

Wstała gwałtownie i usłyszałem, że odpina płaszczyk. Kiedy ponownie przy mnie usiadła, znacznie bliżej, była naga. Mocowałem się z nocną koszulą, która zaczepiła mi się o głowę podczas zdejmowania. Victoria odchyliła kołdrę i wślizgnęła się do łóżka obok mnie.

– Przyszłaś tutaj tak ubrana? – spytałem.

– Korytarze są puste.

Jej twarz znajdowała się bardzo blisko mojej. Znów się pocałowaliśmy, a kiedy się odsunąłem, uderzyłem głową o ścianę. Victoria wtuliła się we mnie, przywierając do mnie całym ciałem. Nagle głośno się roześmiała.

– Chryste! Bądź ciszej!

– Co się stało? – zdziwiła się.

- Ktoś usłyszy.
- Wszyscy śpią.
- Obudzą się, jeśli dalej będziesz się śmiała.
- Prosiłam, żebyś nic nie mówił. – Ponownie mnie pocałowała.

Mimo że moje ciało już ochoczo reagowało na jej bliskość, poczułem niepokój. Robiliśmy zbyt wiele hałasu. Ściany w ochronce były cienkie i wiedziałem z doświadczenia, że odgłosy łatwo się tutaj rozchodzą. Byłem pewien, że jej śmiech i nasze głosy, z konieczności rozbrzmiewające przy samej ścianie, obudzą wszystkich w ochronce. Odepchnąłem Victorię i jej o tym powiedziałem.

- To bez znaczenia – odparła.
- Wręcz przeciwnie.

Odrzuciłem kołdrę i zapaliłem światło. Victoria osłoniła oczy przed blaskiem, a ja rzuciłem jej ubranie.

- Chodź... pójdziemy do twojego pokoju.
- Nie.
- Tak. – Zacząłem się ubierać w mundurek.
- Nie wkładaj tego – powiedziała. – To śmierdzi.
- Naprawdę?
- Potwornie.

Usiadła na posłaniu, a ja zapatrzyłem się na nią, podziwiając grację jej nagiego ciała. Otuliła ramiona płaszczkiem, po czym wstała z łóżka.

- Dobrze, ale pośpieszmy się.

Wyszliśmy z pokoju i opuściliśmy ochronkę. Szybko powędrowaliśmy korytarzami. Tak jak powiedziała Victoria, o tej porze były puste, a światła przygaszono. Po kilku minutach dotarliśmy do jej pokoju. Zamknąłem drzwi na zasuwkę. Victoria usiadła na łóżku, otulona płaszczkiem.

Zdjąłem mundurek i wszedłem do łóżka.

- Chodź, Victorio.
- Teraz już nie mam ochoty.
- Chryste... dlaczego nie?
- Powinniśmy byli tam zostać – odpowiedziała.

- Chcesz wrócić?
- Oczywiście, że nie.
- Więc połóż się obok mnie. Nie siedź tak.
- Dobrze.

Rozpięła płaszcz i upuściła go na podłogę, a potem dołączyła do mnie w łóżku. Objęliśmy się i przez chwilę całowaliśmy, ale dobrze wiedziałem, co miała na myśli. Pożądanie opuściło mnie równie gwałtownie, jak się pojawiło. Po chwili już tylko leżeliśmy obok siebie w milczeniu. Dzielenie z Victorią łóżka było przyjemne, ale chociaż zdawałem sobie sprawę ze zmysłowości tej sytuacji, nic się nie wydarzyło.

- Po co do mnie przysłaś? – spytałem w końcu.
- Mówiłam ci.
- Tylko dlatego... że było ci przykro?
- Tak sądzę.
- Ja też miałem zamiar cię odwiedzić. Zrobiłem coś, czego nie powinienem. Boję się.
- Co to było?
- Powiedziałem ci... powiedziałem, że musiałem coś przysiąc. Miałaś rację, cechy wymuszają dyskrecję na swoich członkach. Kiedy zostałem uczniem, musiałem złożyć przysięgę, której częścią było zobowiązanie się, że nikomu o niej nie wspomnę. Złamałem tę zasadę, kiedy ci powiedziałem.
- Czy to ważne?
- Karą jest śmierć.
- Ale skąd oni mogą się dowiedzieć?
- Jeśli...
- Jeśli ja im powiem, tak? Dlaczego miałabym to zrobić?
- Nie jestem pewien. Ale kiedy dzisiaj rozmawialiśmy, czułem, że denerwuje cię brak kontroli nad własnym życiem... byłem przekonany, że wykorzystasz to przeciwko mnie.
- Dopóki mi nie powiedziałaś, nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Nie wykorzystałabym tego przeciwko tobie. Zresztą dlaczego

żona miałaby zdradzić męża?

– Nadal chcesz za mnie wyjść?

– Tak.

– Mimo że ktoś inny to zaplanował?

– To dobry plan – odrzekła i przez chwilę mocniej mnie przytuliła. – Ty tak nie uważasz?

– Owszem.

\* \* \*

– Opowiesz mi, co się dzieje poza miastem? – spytała Victoria kilka minut później.

– Nie mogę.

– Ze względu na przysięgę?

– Tak.

– Przecież już ją złamałeś. Jakie to ma teraz znaczenie?

– Nie ma o czym mówić – odrzekłem. – Spędziłem dziesięć dni na pracy fizycznej, sam nie wiem w jakim celu.

– Jakiej pracy fizycznej?

– Victorio, nie wypytuj mnie o to.

– Więc opowiedz mi o słońcu. Dlaczego nikomu w mieście nie wolno go oglądać?

– Nie wiem.

– Czy jest z nim coś nie w porządku?

– Nie sądzę...

Victoria zadawała pytania, które sam powinienem postawić, ale tego nie zrobiłem. Przytłoczony nowymi doświadczeniami nie miałem czasu przyswoić znaczenia wszystkiego, co widziałem, a tym bardziej czegokolwiek kwestionować. Gdy teraz stanąłem w obliczu tych pytań – niezależnie od tego, czy powinienem na nie odpowiadać – poczułem, że łaknę wyjaśnień. Czy rzeczywiście ze słońcem dzieje się coś złego, co może

zagrozić miastu? A jeśli tak, to czy należy to trzymać w tajemnicy? Ale przecież widziałem słońce i...

– Nie dzieje się z nim nic złego – dodałem – ale wygląda inaczej niż myślałem.

– Jest kulą.

– Wcale nie. A przynajmniej tak nie wygląda.

– No i co?

– Nie powinienem ci o tym mówić. Jestem tego pewien.

– Nie możesz tego tak zostawić.

– Nie sądzę, żeby to było istotne.

– A ja tak.

– W porządku. – Już powiedziałem za dużo, ale co innego mogłem zrobić? – Nie widać tego dokładnie w ciągu dnia, ponieważ słońce jest niezwykle jasne. Ale kiedy wschodzi i zachodzi, można na nie popatrzeć przez kilka minut. Myślę, że ma kształt dysku. To nie wszystko, tylko nie potrafię tego opisać. Na środku tego dysku, na szczycie i na dole, znajduje się coś, co przypomina ostrza.

– To część słońca?

– Tak. Całość wygląda nieco jak zabawkowy bączek, ale trudno to zobaczyć, ponieważ jest bardzo jasne, nawet o świcie i wieczorem. Pewnej nocy przebywałem na zewnątrz i było bezchmurne niebo. Widziałem na nim księżyc, który ma taki sam kształt. Ale jemu także nie mogłem się dobrze przypatrzeć, ponieważ był w fazie.

– Jesteś tego pewien?

– Widziałem to na własne oczy.

– Przecież uczono nas czegoś innego.

– Wiem – odrzekłem. – Ale właśnie tak to wygląda.

Nic więcej nie dodałem. Victoria zadawała kolejne pytania, ale je odrzucałem, tłumacząc, że nie znam odpowiedzi. Usiłowała dowiedzieć się czegoś więcej o mojej pracy, ale udało mi się zachować milczenie. Zamiast tego sam zacząłem zadawać pytania i wkrótce porzuciliśmy temat, który był dla mnie niebezpieczny. Nie mogłem się od niego uwolnić na zawsze,

ale potrzebowałem czasu do namysłu. Później się kochaliśmy, a wkrótce potem zapadliśmy w sen.

\* \* \*

Rano Victoria przygotowała śniadanie, po czym zostawiła mnie nagiego w swoim pokoju, a sama zaniósła mój mundurek do prania. Kiedy jej nie było, umyłem się i ogoliłem, a potem czekałem na jej powrót, leżąc na łóżku.

Ponownie włożyłem mundurek – był świeży i czysty, już nie przypominał sztywnej i cuchnącej drugiej skóry, którą się stał na skutek mojej ciężkiej pracy na zewnątrz.

Resztę dnia spędziliśmy razem, a Victoria oprowadziła mnie po wnętrzu miasta. Było znacznie bardziej złożone, niż podejrzewałem. Dotychczas widziałem głównie części mieszkalną i administracyjną, to jednak nie było wszystko. Początkowo zastanawiałem się, w jaki sposób znajdę drogę, ale Victoria pokazała mi, że w kilku miejscach na ścianach powieszono plan wnętrza.

Zauważyłem, że plan był wielokrotnie zmieniany, a jedna poprawka zwróciła moją szczególną uwagę. Znajdowaliśmy się na jednym z niższych poziomów i obok niedawno nakreślonego poprawionego planu wisiała znacznie starsza mapka, zachowana pod przezroczystym plastikiem. Przyjrzałem się jej z dużym zainteresowaniem, zwracając uwagę, że jest opisana w kilku językach. Oprócz angielskiego rozpoznałem tylko francuski.

– Co to za języki? – spytałem.

– To niemiecki – odpowiedziała Victoria – a pozostałe to rosyjski i włoski. Natomiast ten... – wskazała ozdobne ideogramy – ...to chiński.

Przyjrzałem się dokładnie planowi, porównując go z nowszym, który wisiał obok. Dostrzegłem podobieństwa, jednak nie ulegało wątpliwości, że w okresie oddzielającym powstanie obu mapek wewnątrz miasta dokonano wielu prac.

– Po co tyle języków?

– Pochodzimy od wielonarodowej grupy. Podejrzewam, że angielski jest obowiązującym językiem od wielu tysięcy mil, ale nie zawsze tak było. Na przykład moja rodzina ma francuskie korzenie.

– Aha – odpowiedziałem.

Na tym samym poziomie Victoria pokazała mi fabrykę syntetyków, w której syntezowano substytuty białek oraz inne organiczne surogaty z drewna i warzyw. Fabrykę wypełniała silna woń i zauważyłem, że pracownicy noszą maski. Szybko przeszliśmy do kolejnej strefy, gdzie prowadzono badania, które miały na celu polepszenie konsystencji i smaku produktów. Victoria powiedziała, że właśnie tutaj wkrótce rozpocznie pracę.

Później ponownie wyraziła swoją frustrację życiem, zarówno obecnym, jak i przyszłym. Byłem lepiej przygotowany niż poprzednio, więc mogłem ją pocieszyć. Powiedziałem na przykład, żeby popatrzyła na swoją matkę, która wiodła spełnione i użyteczne życie. Obiecałem – po namowach – że opowiem jej więcej o swoim życiu, i zapewniłem, że kiedy zostanę pełnoprawnym członkiem cechu, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby uczynić system bardziej otwartym i liberalnym. Odniosłem wrażenie, że to nieco ją uspokoiło, i przyjemnie spędziliśmy razem wieczór oraz noc.



Zgodziliśmy się, że powinniśmy jak najszybciej wziąć ślub. Victoria powiedziała mi, że w ciągu kolejnej mili dowie się, jakich formalności musimy dopełnić, a jeśli okaże się to możliwe, pobierzemy się podczas mojego następnego urlopu albo jeszcze kolejnego. Tymczasem musiałem wrócić do swoich obowiązków poza miastem.

Kiedy tylko wyłoniłem się spod miasta, stało się dla mnie oczywiste, jak duże poczyniono postępy. Najbliższe otoczenie oczyszczono z większości materiałów pozostałych po prowadzonych pracach. Nigdzie nie dostrzegłem tymczasowych budynków, na stanowiskach ładowania nie stały żadne elektryczne pojazdy, których zapewne używano po drugiej stronie grzbietu. Jeszcze ważniejsza zmiana polegała na tym, że z północnego krańca miasta wychodziło pięć kabli, które leżały na ziemi obok torów i znikwały za wzniesieniem. Toru pilnowało kilku zbrojnych, którzy krążyli tam i z powrotem.

Spodziewając się, że Malchuskin jest zajęty, szybko pomaszerowałem w stronę wzgórza. Kiedy dotarłem do jego szczytu, moje podejrzenia się potwierdziły, gdyż w oddali, przy krańcu torów, zauważyłem ludzi uwijających się przy prawym wewnętrznym torze. Kolejne ekipy pracowały przy jakichś metalowych konstrukcjach, ale z tej odległości nie sposób było odgadnąć ich funkcji. Pośpiesznie zszedłem ze zbocza.

Piesza wędrówka zajęła mi więcej czasu, niż się spodziewałem, gdyż najdłuższa część toru miała teraz ponad półtorej mili długości. Słońce znajdowało się wysoko na niebie i kiedy znalazłem Malchuskina i jego ekipę, byłem już rozgrzany marszem.

Malchuskin prawie nie zwrócił na mnie uwagi, a ja zdjąłem bluzę od mundurka i dołączyłem do robotników.

Ekipy pracowały nad przedłużeniem tego odcinka toru, by zrównać go długością z pozostałymi, napotkały jednak utrudnienie w postaci obszaru twardego jak skała podglebia. Chociaż oznaczało to, że nie będzie konieczne wkopanie betonowych fundamentów, jednocześnie znacznie skomplikowało wykopanie otworów pod podkłady.

Znalazłem kilof na pobliskiej ciężarówce i zabrałem się do pracy. Wkrótce złożone problemy, które napotkałem w mieście, wydały mi się bardzo odległe.

Podczas przerw na odpoczynek dowiedziałem się od Malchuskina, że ta część toru jest już prawie gotowa do operacji wciągania. Rozciągnięto kable i wkopano odciążki. Malchuskin zabrał mnie na miejsce, w którym je umieszczono, i pokazał, w jaki sposób osadzono w ziemi stalowe dźwigary, które miały zapewnić wystarczająco silną podporę dla kabli. Ukończono już trzy odciążki i dołączono do nich kable. Kolejna podpora była prawie gotowa, piątą zaś właśnie ustawiano.

Pośród członków cechu, którzy pracowali na budowie, panowała atmosfera niepokoju. Spytałem Malchuskina o jej przyczynę.

– Już czas – odpowiedział. – Od ostatniego wciągania minęły dwadzieścia trzy dni, przez które udało nam się ułożyć długi odcinek torów. Według najnowszych szacunków jutro będziemy mogli wciągnąć miasto, jeśli nic nie pokrzyżuje nam planów. To razem dwadzieścia cztery dni. Zgadza się? Tym razem uda nam się wciągnąć miasto o niecałe dwie mile... ale podczas gdy pracowaliśmy, optimum przesunęło się naprzód o dwie i pół mili. Więc nawet jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, i tak zwiększymy stratę o pół mili.

– Zdołamy to nadrobić?

– Może podczas kolejnego wciągania. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z kilkoma przedstawicielami cechu Trakcji. Sądzą, że następnym razem możemy wykonać krótkie wciągnięcie, a potem dwa długie. Obawiają się tamtych wzgórz. – Machnął ręką w kierunku północnym.

– Nie możemy ich okrążyć? – spytałem, widząc, że w oddali, na północnym wschodzie, wzgórze wydają się nieco niższe.

– Moglibyśmy... jednak najkrótsza trasa ku optimum wiedzie prosto na północ. Każde zboczenie z tego kursu zwiększa odległość, jaką musimy pokonać.

Nie do końca zrozumiałem to, co mi powiedział, jednak wyraźnie wyczułem w jego postawie pośpiech.

– Jedyna dobra wiadomość – ciągnął Malchuskin – jest taka, że potem pozbędziemy się tej bandy tuków. Cech Badaczy znalazł gdzieś na północy większą osadę, której mieszkańcy rozpaczliwie poszukują pracy. Takich lubię najbardziej. Im są głodniejsi, tym ciężiej pracują... przynajmniej przez jakiś czas.

Praca nie ustawała. Tego wieczoru skończyliśmy dopiero po zachodzie słońca, a Torowi popędzali robotników za pomocą ostrzejszych i skuteczniejszych przekleństw. Nie miałem czasu wyrobić sobie na ten temat zdania, ponieważ wszyscy pracowaliśmy równie ciężko. Kiedy wróciliśmy na noc do chatki, byłem wyczerpany.

Rano Malchuskin wcześniej wyszedł z domku, instruując mnie, żebym jak najszybciej przyprowadził Rafaela i robotników na plac budowy. Kiedy dotarłem na miejsce, Malchuskin i trzech inni Torowi kłócili się z członkami cechu, którzy przygotowywali kable. Posłałem Rafaela i pozostałych do pracy przy torach, ale sam byłem ciekaw, czego dotyczy dysputa. Ale gdy Malchuskin wreszcie do nas przyszedł, nie wspomniał o niej ani słowem, tylko od razu rzucił się w wir pracy, gniewnie pokrzykując na Rafaela.

Po pewnym czasie, kiedy zrobiliśmy krótką przerwę, spytałem go o kłótnię.

– Chodzi o ludzi z Trakcji – wyjaśnił. – Chcą zacząć wciąganie już teraz, zanim tor będzie gotowy.

– Mogą to zrobić?

– Tak... twierdzą, że wciągnięcie miasta na grzbiet wzniesienia zajmie sporo czasu, więc zdążymy dokończyć pracę. Nie możemy na to pozwolić.

– Dlaczego? Wydaje się, że to rozsądny pomysł.

– Ponieważ to by oznaczało pracę pod kablami. Są one bardzo silnie napięte, zwłaszcza kiedy wciąga się miasto po zboczu takim jak to przed grzbietem. Nigdy nie widziałeś, co się dzieje, kiedy kabel pęka, prawda? – To było pytanie retoryczne; dotychczas nawet nie wiedziałem, że używa się kabli. – Przeciąłby cię na pół, zanim usłyszałbyś trzask – dokończył kwaśno Malchuskin.

– Więc co uzgodniliście?

– Mamy godzinę na dokończenie prac, potem zaczną wciągać.

Pozostały nam trzy odcinki szyn do ułożenia. Pozwoliliśmy robotnikom odpocząć jeszcze przez kilka minut, a potem wróciliśmy do pracy. Na miejscu znajdowało się teraz czterech członków cechu, a ich ekipy skupiały się na jednym obszarze, więc szło nam szybko, jednak dokończenie toru i tak zajęło większą część godziny.

Malchuskin z niekłamaną satysfakcją dał znać ludziom z Trakcji, że skończyliśmy. Zebraliśmy narzędzia i odłożyliśmy je na bok.

– Co teraz? – spytałem Malchuskina.

– Czekamy. Wrócę do miasta, żeby odpocząć. Jutro znów zabieramy się do pracy.

– A co ja mam zrobić?

– Na twoim miejscu bym popatrzył. Na pewno cię to zainteresuje. Tak czy inaczej, powinniśmy zapłacić robotnikom. Później wyślę do ciebie jednego z Handlowców. Zatrzymaj ich tutaj do jego przybycia. Wrócę rano.

– W porządku – odrzekłem. – Coś jeszcze?

– Raczej nie. Podczas wciągania na placu budowy dowodzą ludzie z Trakcji, więc słuchaj ich wszystkich poleceń. Możliwe, że trzeba będzie coś poprawić przy torach, więc bądź czujny. Ale myślę, że z torami wszystko jest w porządku. Już je sprawdziliśmy.

Odszedł w kierunku chatki. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Najemni robotnicy wrócili do swoich kwater i wkrótce mogłem się zająć własnymi sprawami. Zaniepokoiły mnie ostrzeżenia Malchuskina dotyczące zerwania kabla, usiadłem więc na ziemi w bezpiecznej odległości od placu budowy.

W otoczeniu odciągów niewiele się działo. Robotnicy już podłączyli wszystkie pięć kabli, które teraz wisiały luźno równoległe do torów. Dwaj członkowie Trakcji stali przy odciągach i najwyraźniej po raz ostatni sprawdzali mocowania.

Na grzbiecie wzgórza pojawiła się grupka mężczyzn, którzy ruszyli w naszą stronę w dwóch równych rzędach. Z tej odległości nie widziałem, kim są, ale zauważyłem, że co mniej więcej sto jardów jeden człowiek odłącza się od każdej z grup i zajmuje miejsce obok toru. Kiedy się zbliżyli, zobaczyłem, że to członkowie Sił Zbrojnych wyposażeni w kusze. Gdy dotarli do odciągów, każdy z rzędów składał się już tylko z ośmiu osób, które sformowały obronny szyk wokół podpór. Po kilku minutach podszedł do mnie jeden ze zbrojnych.

– Kim pan jest? – spytał.

– Uczeń Helward Mann.

– Co pan tutaj robi?

– Kazano mi obserwować wciąganie.

– W porządku. Proszę się trzymać na dystans. Ilu tuków tutaj przebywa?

– Nie jestem pewien – odrzekłem. – Myślę, że około sześćdziesięciu.

– Pracowali przy torach?

– Tak.

Wyszczерzył się.

– Więc są zbyt wykończeni, żeby nam zaszkodzić. To dobrze. Proszę dać znać, gdyby sprawiali kłopoty.

Oddalił się i dołączył do swoich towarzyszy. Nie wiedziałem, jakiego rodzaju kłopoty mogą sprawiać robotnicy, ale członkowie Sił Zbrojnych najwyraźniej im nie ufali. Mogłem tylko przypuszczać, że kiedyś w przeszłości tukowie zniszczyli tory lub kable, nie sądziłem jednak, by ludzie, z którymi współpracowaliśmy, mogli nam zagrażać.

Odniosłem wrażenie, że zbrojni, którzy ustawili się obok torów, znajdują się niebezpiecznie blisko kabli, ale wyglądało na to, że nie zdają

sobie z tego sprawy. Cierpliwie maszerowali tam i z powrotem, patrolując przydzielone odcinki toru.

Zauważyłem, że dwaj członkowie Trakcji, którzy znajdowali się przy odcągach, schowali się za metalowymi tarczami, tuż za podporami. Jeden z nich trzymał dużą czerwoną flagę i przez lornetkę obserwował grzbiet wzniesienia, gdzie obok pięciu kołowych wyciągów stał kolejny mężczyzna. Wydawało się, że wszyscy skupiają się właśnie na nim, więc ja również obserwowałem go z zaciekawieniem. Znajdował się bardzo daleko, ale miałem wrażenie, że zwraca głowę w naszą stronę.

Nagle odwrócił się i machnął flagą, żeby zwrócić uwagę dwóch mężczyzn przy odcągach. Zatoczył nią obszerny półokrąg poniżej pasa, tam i z powrotem. Jeden z mężczyzn przy podporach natychmiast wyłonił się zza tarczy i odpowiedział takim samym sygnałem.

Kilka chwil później zauważyłem, że kable powoli suną po ziemi w stronę miasta. Kołowe wyciągi na wzgórzu obracały się, napinając kable, które kolejno nieruchomiały, chociaż ich większa część wciąż spoczywała na ziemi. Podejrzewałem, że powoduje to ich ciężar, ponieważ przy odcągach oraz kołach kable znajdowały się wysoko ponad ziemią.

– Mogą zaczynać! – zawołał jeden z mężczyzn przy odcągach, a jego kolega natychmiast pomachał flagą nad głową.

Mężczyzna na wzgórzu powtórzył sygnał, a następnie szybko usunął się na bok i zniknął nam z oczu.

Z zaciekawieniem czekałem, co będzie dalej... chociaż wydawało mi się, że nic się nie dzieje. Zbrojni maszerowali tam i z powrotem, kable pozostawały naprężone. Postanowiłem podejść do członków Trakcji i spytać, co się stało.

Kiedy tylko wstałem i ruszyłem w ich stronę, mężczyzna, który dał sygnał, rozpaczliwie zamachał do mnie rękami.

– Schowaj się! – zawołał.

– Co się stało?

– Kable są maksymalnie napięte!

Cofnąłem się.

Mijały kolejne minuty, ale nie widziałem żadnych postępów. Nagle zdałem sobie sprawę, że kable przez cały czas powoli się napinały, aż w końcu niemal na całej długości oderwały się od ziemi.

Popatrzyłem na południe, w stronę zagłębienia w szczycie wzgórza, i zobaczyłem miasto. Z miejsca, gdzie siedziałem, widziałem górny narożnik jednej z przednich wież, która wznosiła się ponad ziemią i skałami pokrywającymi grzbiet wzniesienia. Na moich oczach zza wzgórza wyłaniała się coraz większa część miasta.

Ruszyłem po szerokim łuku, cały czas zachowując bezpieczną odległość od kabli. W końcu przystanąłem za odciągami i popatrzyłem wzdłuż torów. Miasto z nieznośną powolnością brnęło w górę zbocza, aż wreszcie zatrzymało się w odległości kilku stóp od pięciu kół, które przeciągały kable ponad grzbietem wzgórza, a członkowie Trakcji ponownie zaczęli wymieniać sygnały.

Następnie rozpoczęła się długa i skomplikowana operacja, podczas której kolejno luzowano kable i rozmontowywano wyciągi. Obserwowałem, jak robotnicy usuwają pierwsze koło, ale potem się znudziłem. Uświadomiłem sobie, że jestem głodny; podejrzewając, że nie przegapię niczego ciekawego, wróciłem do chatki, żeby podgrzać posiłek.

Nigdzie nie było ani śladu Malchuskina, chociaż w kwaterze pozostały niemal wszystkie jego rzeczy.

Nie śpieszyłem się przy jedzeniu, gdyż wiedziałem, że wciąganie będzie kontynuowane najwcześniej za dwie godziny. Cieszyłem się samotnością i odpoczynkiem od wyczerpującej pracy, która wypełniła poprzedni dzień.

Kiedy wyszedłem z chatki, przypomniałem sobie, że zbrojni przestrzegali mnie przed kłopotami, jakie mogą sprawiać robotnicy, dlatego udałem się do ich kwater. Większość mężczyzn siedziała na ziemi przed budynkami, przyglądając się pracującym wyciągom. Kilku rozmawiało, spierało się głośno i gestykulowało, ale uznałem, że zbrojni widzą zagrożenia tam, gdzie ich nie ma. Pomaszerowałem z powrotem w stronę toru.

Zerknąłem na słońce: pozostało niewiele czasu do zmierzchu. Doszedłem do wniosku, że proces wciągania szybko się zakończy, gdy już uda się usunąć wyciągi, ponieważ pozostała część torów prowadziła w dół.

W końcu usunięto ostatni wyciąg i wszystkie pięć kabli ponownie się napięło. Po krótkim oczekiwaniu członek Trakcji przy odciągach dał sygnał i miasto powoli ruszyło... w dół z bocza, w naszym kierunku. Wbrew moim przypuszczeniom nie sunęło gładko, korzystając z pochyłości. Naprężone kable wciąż je ciągnęły. Kiedy się zbliżyło, wyczułem, że dwaj członkowie Trakcji nieco się odprężyli, jednakże wciąż zachowywali czujność. Przez cały czas trwania operacji skupiali uwagę na zbliżającym się mieście.

Kiedy olbrzymia konstrukcja znajdowała się nie więcej niż dziesięć jardów od końca torów, sygnalista uniósł nad głowę czerwoną flagę. Zobaczyłem olbrzymie okno zajmujące całą szerokość przedniej wieży. Jeden z wielu mężczyzn, którzy w nim stali, uniósł podobną flagę i po kilku sekundach miasto się zatrzymało.

Przez mniej więcej dwie minuty nic się nie działo, a potem jakiś człowiek wyszedł przez drzwi wieży i stanął na niewielkiej platformie.

– W porządku... hamulce zabezpieczone! – zawołał do nas. – Odpinamy.

Dwaj członkowie Trakcji wyszli ze swoich metalowych schronów, przesadnie rozprostowując kończyny. Niewątpliwie przez wiele godzin musieli sobie radzić z potężnym stresem. Jeden z nich podszedł do miasta i oddał mocz na ścianę. Wyszczерzył się do swojego kompana, a następnie podciągnął się na krawędź budowli i zaczął wspinać, aż dotarł do platformy. Drugi z mężczyzn przeszedł obok kabli – które były już znacznie mniej napięte – i zniknął pod miastem. Zbrojni wciąż stali w obronnej formacji, ale nawet oni sprawiali wrażenie bardziej odprężonych.

Przedstawienie dobiegło końca. Widząc miasto z tak bliska, miałem ochotę do niego wejść, nie byłem jednak pewien, czy powinienem. Nie czekało tam na mnie nic poza Victorią, która zapewne była zajęta pracą. Poza tym Malchuskin kazał mi zostać z ludźmi, a ja nie miałem zamiaru mu się sprzeciwić.



Kiedy wracałem do chatki, zbliżył się do mnie jakiś mężczyzna idący od strony miasta.

– Uczeń Mann? – spytał.

– Tak.

– Jaime Collings z cechu Handlowców. Torowy Malchuskin powiedział, że trzeba zapłacić jakimś najemnym robotnikom.

– Zgadza się.

– Ilu ich jest? – spytał Collings.

– W naszej ekipie piętnastu, ale to nie wszyscy.

– Były jakieś zastrzeżenia?

– To znaczy?

– Skargi... jakieś kłopoty, odmowa pracy.

– Byli dosyć powolni, a Malchuskin musiał stale na nich krzyczeć.

– Czy kiedykolwiek odmówili pracy?

– Nie.

– Dobrze. Kto był ich przywódcą?

– Niejaki Rafael, który jako jedyny zna angielski.

– Może być.

Razem podeszliśmy do chatki i znaleźliśmy robotników. Kiedy zobaczyli Collingsa, od razu się uciszyli.

Wskazałem Rafaela. Collings zaczął z nim rozmawiać w jego języku, a wtedy jeden z robotników coś gniewnie wykrzyknął. Rafael go zignorował i dalej rozmawiał z Collingsem, jednak wyraźnie wyczuwało się atmosferę wrogości. Ponownie ktoś krzyknął, a po chwili dołączyli do niego kolejni robotnicy. Ludzie otoczyli Collingsa i Rafaela, a niektórzy z robotników wyciągali ręce z tłumu i dźgali Handlowca palcami.

– Potrzebuje pan pomocy?! – zawołałem, przekrzykując wrzawę, ale mnie nie usłyszał. Podeszedłem bliżej i ponowiłem pytanie.

– Przyrowadź czterech zbrojnych! – krzyknął po angielsku. – Powiedz im, żeby nie rzucali się w oczy.

Przez chwilę patrzyłem na kłócących się mężczyzn, a następnie pośpiesznie się oddaliłem. Obok odciągów wciąż stała niewielka grupka

zbrojnych, więc udałem się w tamtym kierunku. Najwyraźniej słyszeli odgłosy kłótni i już zerkali w stronę tłumu. Kiedy zobaczyli, że do nich biegnę, sześciu mężczyzn wyszło mi naprzeciw.

– Potrzeba czterech zbrojnych! – oznajmiłem, ciężko dysząc.

– To za mało. Zostaw to mnie, synku.

Mężczyzna, który się odezwał i który najwyraźniej był dowódcą, głośno zagwizdał i przywołał więcej swoich ludzi. Czterej kolejni zbrojni porzucili swoje posterunki niedaleko miasta i podbiegli do nas. Grupa dziesięciu żołnierzy pośpieszyła na miejsce kłótni, a ja podążyłem ich śladem.

Nie tracąc czasu na wypytywanie Collingsa, który wciąż znajdował się w samym środku zamieszania, zbrojni zaszarżowali na robotników, wymachując kuszami jak pałkami. Collings nagle się odwrócił i zawołał coś do zbrojnych, ale jeden z mężczyzn pochwycił go od tyłu i przewrócił na ziemię, a inni zaczęli go kopać.

Zbrojni najwyraźniej byli wyszkoleni w tego typu potyczkach, ponieważ działali fachowo i szybko, precyzyjnie i celnie wymierzając ciosy zaimprovizowanymi pałkami. Przez chwilę na to patrzyłem, a następnie wcisnąłem się z trudem w tę ciżbę, starając się dotrzeć do Collingsa. Jeden z najemnych robotników chwycił mnie za twarz, zasłaniając mi palcami oczy. Usiłowałem się wyrwać, ale pomógł mu drugi kompan. Nagle zobaczyłem, że jestem wolny, a dwaj mężczyźni, którzy mnie zaatakowali, upadli na ziemię. Zbrojni, którzy mnie uratowali, nawet na mnie nie spojrzeli, nie przerywając brutalnego bicia pałkami.

Tłum coraz bardziej się rozrastał, gdyż inni miejscowi przybiegli na pomoc swoim towarzyszom. Nie zwracałem na to uwagi, tylko ponownie wszedłem między ludzi, wciąż próbując odnaleźć Collingsa. Przed sobą zobaczyłem czyjeś wąskie plecy okryte cienką białą koszulą, która przywarła do spoconej skóry. Niewiele myśląc, chwyciłem mężczyznę za szyję, odciągnąłem mu głowę do tyłu i uderzyłem pięścią w ucho. Upadł na ziemię. Za nim stał kolejny mężczyzna, na którym spróbowałem tej samej taktyki, ale tym razem, zanim zdążyłem zadać cios, inny robotnik wymierzył mi mocnego kopniaka, zwalając mnie z nóg.

Pomiędzy plątaniną nóg zauważyłem Collingsa, który wciąż znajdował się na ziemi kopany przez napastników. Leżał twarzą do dołu i zasłaniał głowę rękami. Usiłowałem się do niego przepchnąć, ale wtedy mnie także zaczęli kopać. Czyjaś stopa trafiła mnie w bok głowy i na chwilę zamroczyła. Jednak już po chwili znów byłem przytomny i w pełni zdawałem sobie sprawę ze wściekłych kopniaków, które spadały na moje ciało. Podobnie jak Collings, zakryłem głowę rękami, ale jednocześnie przepychałem się w stronę miejsca, w którym ostatnio go widziałem.

Miałem wrażenie, że otacza mnie las nóg i ciał, a zewsząd dobiegał ryk podniesionych głosów. Na chwilę uniosłem głowę i zobaczyłem, że od Collingsa dzieli mnie zaledwie kilka cali, więc przepchnąłem się do niego i przykucnąłem na ziemi. Próbowałem wstać, ale od razu powalił mnie kolejny kopniak.

Ku mojemu zaskoczeniu Collings wciąż był przytomny. Kiedy do niego przypadłem, poczułem, że otacza mnie ramieniem.

– Kiedy dam sygnał, wstajemy! – wrzasnął mi do ucha.

Minęła chwila i nagle mocniej objął mnie ręką.

– Teraz!

Z ogromnym wysiłkiem dźwignęliśmy się na nogi, a Collings od razu mnie puścił i zamachnął się pięścią, trafiając jednego z mężczyzn w twarz. Nie dorównywałem mu wzrostem, więc udało mi się jedynie dźgnąć kogoś łokciem w żołądek. W zamian otrzymałem cios pięścią w szyję i ponownie upadłem. Ktoś mnie chwycił i dźwignął na nogi. To był Collings.

– Trzymaj się! – Objął mnie obiema rękami i przyciągnął do piersi. Ja również do niego przywarłem, znacznie słabiej. – Wszystko w porządku – dodał. – Trzymaj się.

Szamotanina wokół nas powoli ustała. Robotnicy się wycofali, a ja zawisłem na Collingsie.

Byłem oszołomiony, a wzrok przesłoniła mi czerwona mgła. Zauważyłem krąg zbrojnych, którzy unieśli naciągnięte kusze i wycelowali. Najemnicy odchodzili. Straciłem przytomność.

\* \* \*

Ocknąłem się mniej więcej minutę później. Leżałem na ziemi, a jeden ze zbrojnych stał nade mną.

– Nic mu nie jest! – zawołał i odsunął się.

Z trudem przetoczyłem się na bok i w pobliżu dostrzegłem Collingsa i przywódcę Sił Zbrojnych, którzy wściekle się spierali. Mniej więcej pięćdziesiąt jardów od nas stała grupa najemnych robotników otoczonych przez zbrojnych.

Próbowałem wstać i udało mi się za drugim razem. Stałem oszołomiony, patrząc, jak Collings kłóci się z żołnierzem. Po chwili oficer odszedł w kierunku grupy jeńców, a Collings się do mnie zbliżył.

– Jak się czujesz? – spytał.

Usiłowałem się uśmiechnąć, ale miałem opuchniętą i obolałą twarz. Mogłem tylko wbić w niego wzrok. Na policzku miał potężny czerwony ślad po uderzeniu i zapuchło mu jedno oko. Zauważyłem, że obejmuje się jedną ręką w pasie.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałem.

– Krwawisz.

– Gdzie? – Podniosłem rękę do szyi, która potwornie mnie bolała, i poczułem ciepłą wilgoć.

Collings zbliżył się i popatrzył na moją ranę.

– To tylko paskudne obtarcie – ocenił. – Chcesz wrócić do miasta, żeby ktoś cię opatrzył?

– Nie. Co się stało, do diabła?

– Zbrojni przesadzili. Kazałem ci przyprowadzić tylko czterech.

– Nie chcieli o tym słyszeć.

– No tak, tacy już są.

– Ale o co chodziło? – spytałem. – Długo pracowałem z tymi ludźmi i nigdy nas nie zaatakowali.

– Nagromadziło się w nich dużo niechęci – wyjaśnił Collings. – Konkretnie poszło o to, że trzech z tych mężczyzn ma żony w mieście. Nie

chcieli bez nich odejść.

– To ludzie z miasta? – spytałem, nie mając pewności, czy dobrze usłyszałem.

– Nie... powiedziałem, że ich żony tam są. Ci ludzie to sami miejscowi zwerbowani z pobliskiej wioski.

– Tak właśnie myślałem. Ale co ich żony robią w mieście?

– Kupiliśmy je.

Tej nocy źle spałem. Kiedy zostałem sam w chatce, ostrożnie się rozebrałem i przyjrzałem obrażeniom. Połowę mojej klatki piersiowej pokrywały sińce, zauważyłem także kilka głębokich i bolesnych zadrapań. Rana na szyi przestała krwawić, ale i tak obmyłem ją ciepłą wodą i posmarowałem maścią, którą znalazłem w apteczce Malchuskina. Odkryłem, że podczas bójkę paskudnie naderwałem jeden z paznokci, a szczęka bolała mnie, kiedy próbowałem nią poruszyć.

Ponownie zastanowiłem się nad powrotem do miasta, co zaproponował Collings – w końcu dzieliło mnie od niego zaledwie kilkaset jardów – ale ostatecznie odrzuciłem ten pomysł. Nie miałem ochoty zwracać na siebie uwagi, co niewątpliwie by się stało, gdybym pojawił się w sterylnie czystym otoczeniu miasta, wyglądając jak po udziale w pijackiej burdzie. Było to bliskie prawdy, wołałem jednak sam lizać rany.

Próbowałem się przespać, ale za każdym razem udawało mi się drzemać tylko przez kilka minut.

Rano obudziłem się wcześnie i wstałem. Przed spotkaniem z Malchuskinem chciałem się doprowadzić do porządku. Bolało mnie całe ciało i mogłem się poruszać tylko powoli.

Kiedy Malchuskin się pojawił, był w złym humorze.

– Słyszałem – rzucił od razu. – Nie próbuj wyjaśniać.

– Nie rozumiem, co się wydarzyło.

– Przyczyniłeś się do rozpętania burdy.

– To Siły Zbrojne... – odrzekłem słabo.

– Tak, ale ty powinieneś już wiedzieć, że należy ich trzymać z daleka od tuków. Kilka mil wcześniej stracili paru swoich ludzi, więc mają rachunki do wyrównania. Wystarczy byle pretekst i ci głupi dranie zaczynają tłuc pałkami.

– Collings miał kłopoty – wyjaśniłem. – Coś trzeba było zrobić.

– No dobrze, to nie była tylko twoja wina. Collings teraz twierdzi, że poradziłby sobie, gdybyś nie przyprowadził zbrojnych... ale także przyznaje, że kazał ci ich zawołać.

– To prawda.

– W porządku, ale następnym razem pomyśl.

– Co teraz zrobimy? – spytałem. – Nie mamy robotników.

– Dzisiaj przybędą kolejni. Praca początkowo będzie szła powoli, ponieważ najpierw musimy ich przeszkolić, ale przynajmniej przez pewien czas nie pojawią się konflikty, a nowi ludzie będą pracowali ciężiej. Dopiero później, kiedy będą mieli czas na refleksję, zaczną sprawiać kłopoty.

– Dlaczego tak się przeciwko nam buntują? Przecież płacimy im za pracę.

– Tak, ale zgodnie z naszą stawką. To biedna okolica. Gleba jest nieurodzajna i brakuje jedzenia. Przejeżdżamy naszym miastem, proponujemy im to, czego potrzebują... a oni się zgadzają. Jednak nie uzyskują żadnych długofalowych zysków, a my zapewne otrzymujemy więcej niż dajemy.

– Powinniśmy im dawać więcej.

– Możliwe. – Malchuskin sprawiał wrażenie obojętnego. – To nie nasze zmartwienie. My pracujemy przy torach.

Musieliśmy poczekać kilka godzin na przybycie nowych robotników. W tym czasie razem z Malchuskinem poszliśmy do domków, w których mieszkała poprzednia ekipa, i je wysprzątaaliśmy. Poprzedni lokatorzy nocą zostali usunięci przez zbrojnych, ale przedtem pozwolono im zabrać dobytek. Mimo to pozostawili wiele przedmiotów, głównie znoszone ubrania i resztki jedzenia. Malchuskin uprzedził mnie, żebym wypatrywał wiadomości, które mogli zostawić dla swoich następców, ale niczego takiego nie znaleźliśmy.

Później wyszliśmy z domków i spaliliśmy wszystkie pozostawione przedmioty.

Okolo południa pojawił się mężczyzna z cechu Handlowców i zapowiedział, że nowi robotnicy niedługo przyjdą. Otrzymaliśmy oficjalne przeprosiny w związku z tym, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru, oraz poinformowano nas, że pomimo licznych wątpliwości postanowiono tymczasowo zwiększyć liczbę strażników z cechu Sił Zbrojnych. Malchuskin zaprotestował, ale Handlowiec mógł tylko przyznać mu rację: decyzję podjęto także wbrew jego opinii.

Miałem mieszane uczucia. Z jednej strony nie byłem miłośnikiem zbrojnych, ale jeśli ich obecność mogła zapobiec powtórzeniu się kłopotów z robotnikami, to zapewne nie było innego wyjścia.

Malchuskin zaczynał się niepokoić opóźnieniem. Podejrzewałem, że jest to spowodowane ciągłą koniecznością nadrabiania straconego czasu, ale kiedy mu o tym wspomniałem, okazało się, że nie przejmuje się tym aż tak bardzo, jak sądziłem.

– Nadrobimy dystans do optimum podczas następnego wciągania – zapewnił. – Ostatnie opóźnienie było spowodowane koniecznością pokonania wzgórza. Teraz zostawiliśmy je za sobą, a przez kilka kolejnych mil czeka nas w miarę płaski teren. Bardziej martwi mnie stan torów za miastem.

– Siły Zbrojne będą je chronić – odrzekłem.

– Tak... ale nie powstrzymają ich przed odkształcaniem. To największe zagrożenie, jeśli tory dłużej tam pozostaną.

– Jak to?

Malchuskin posłał mi ostre spojrzenie.

– Znajdujemy się daleko na południe od optimum. Wiesz, co to oznacza?

– Nie.

– Jeszcze nie byłeś w przeszłości?

– Co to znaczy?

– Daleko na południe od miasta.

– Nie... nie byłem.



– Cóż, kiedy tam pójdziesz, zobaczysz, co się dzieje. Tymczasem uwierz mi na słowo. Im dłużej pozostawimy tory na południe od miasta, tym większe ryzyko, że nie będą się nadawały do użycia.

Najemni robotnicy wciąż się nie pojawiali, więc Malchuskin zostawił mnie i poszedł porozmawiać z dwoma innymi Torowymi, którzy właśnie wyszli z miasta. Po chwili wrócił.

– Zaczekamy jeszcze godzinę, a jeśli nikt nie przyjdzie, wezwiemy ludzi z jednego z pozostałych cechów i zabierzemy się do pracy. Nie możemy dłużej czekać.

– Możemy korzystać z pomocy innych cechów?

– Najemni robotnicy to luksus, Helwardzie. Dawniej członkowie cechów sami układali tory. Przemieszczanie miasta jest głównym priorytetem i nic nie może nam w tym przeszkodzić. Gdybyśmy musieli, zaangażowalibyśmy w układanie torów wszystkich mieszkańców.

Nagle Malchuskin odprężył się, położył na plecach na ziemi i zamknął oczy. Słońce znajdowało się niemal dokładnie ponad nami i wydawało się, że praży mocniej niż zazwyczaj. Na północy zauważyłem linię ciemnych chmur; wiatr ustał i powietrze stało się wilgotniejsze. Mimo to obłoki nadal nie przesłaniały słońca, a ja, wciąż obolały po otrzymanych razach, wolałbym leniwie poleżeć na ziemi niż pracować na torach.

Kilka minut później Malchuskin usiadł i popatrzył na północ. Zbliżała się do nas duża grupa mężczyzn, na której czele szło pięciu Handlowców odzianych w odświętne peleryny i barwy.

– Dobrze... możemy zaczynać – rzekł Malchuskin.

Mimo że odetchnął z ulgą, wiedział, że przed przystąpieniem do pracy czeka go jeszcze wiele obowiązków. Robotników trzeba było podzielić na cztery grupy i wyznaczyć przywódcę, który znał angielski, a następnie rozlokować wszystkich w domkach i przechować ich dobytek. Mimo dodatkowego opóźnienia Malchuskin zachowywał optymizm.

– Wyglądają na głodnych – stwierdził. – Pusty brzuch to najlepsza motywacja do pracy.

Ludzie rzeczywiście byli zaniedbani. Wszyscy byli ubrani, ale bardzo niewielu miało buty, a większość nosiła długie włosy i brody. Mieli zapadnięte oczy, a brzuchy kilku z nich napuchły od braku odpowiedniego pożywienia. Ponadto zauważyłem, że kilku chodzi z trudem, a jeden ma okaleczoną rękę.

– Nadają się? – spytałem cicho Malchuskina.

– Nie do końca. Ale po kilku dniach pracy i odpowiedniego odżywiania będzie lepiej. Wielu tuków wyglądało w ten sposób, kiedy ich zatrudnialiśmy.

Zaszokował mnie ich stan i doszedłem do wniosku, że standard życia miejscowej ludności rzeczywiście jest tak fatalny, jak go przedstawił Malchuskin. Teraz lepiej rozumiałem ich niechęć wobec mieszkańców miasta. Podejrzywałem, że zapłata, którą miasto oferowało za robotników, znacznie wykraczała poza to, do czego byli przyzwyczajeni tubylcy, a to pozwalało im zakosztować bardziej wygodnego życia i sytości. Kiedy miasto odjeżdżało, musieli powrócić do dawnej prymitywnej egzystencji ze świadomością, że miasto wzięło od nich wszystko co najlepsze.

Znów straciliśmy trochę czasu, gdy robotnikom rozdano jedzenie, ale Malchuskin sprawiał wrażenie nastawionego bardziej optymistycznie niż kiedykolwiek.

Wreszcie byliśmy gotowi zabrać się do pracy. Mężczyźni utworzyli cztery grupy, na których czele stali członkowie cechów. Wyruszyliśmy w stronę miasta, po drodze zabierając cztery wózki, więc podróżowaliśmy na południe w wielkim stylu. Zbrojni wciąż strzegli obu stron torów, a kiedy pokonaliśmy grzbiet wzgórza, zobaczyliśmy, że w dolinie, którą niedawno opuściliśmy, ustawiono silne straże wokół buforów.

Do pracy zabrały się cztery ekipy, więc znów pojawił się duch konkurencji. Może robotnicy jeszcze nie w pełni się mu poddawali, ale było to tylko kwestią czasu.

Malchuskin zatrzymał wózek tuż przed buforem i wyjaśnił przywódcy grupy – mężczyźnie w średnim wieku o imieniu Juan – co należy zrobić. Juan przekazał instrukcje swoim ludziom, a oni pokiwali głowami.

– Nie mają zielonego pojęcia, co mają zrobić. – Malchuskin zachichotał.  
– Ale będą udawali, że rozumieją.

Pierwsze zadanie polegało na rozmontowaniu bufora i przetransportowaniu go po torach pod same mury miasta. Malchuskin i ja właśnie zaczęliśmy pokazywać, w jaki sposób należy rozebrać bufor, gdy nagle słońce schowało się za chmurami i znacznie się ochłodziło.

Malchuskin zerknął na niebo.

– Zbliża się burza.

Po tych słowach już więcej nie wspominał o pogodzie i wróciliśmy do pracy. Kilka minut później usłyszeliśmy pierwszy daleki pomruk grzmotu, a po chwili zaczęło padać. Robotnicy z niepokojem podnieśli wzrok, ale Malchuskin nakazał im kontynuować prace. Wkrótce burza do nas dotarła; błyskawice przecinały niebo, a huk piorunów nappełniał mnie przerażeniem. Wszyscy byliśmy przemoczeni, ale praca trwała nieustannie. Usłyszałem pierwsze głosy niezadowolenia, jednak Malchuskin – za pośrednictwem Juana – szybko je uciszył.

Kiedy transportowaliśmy części bufora po torze, burza ustała i ponownie wyszło słońce. Jeden z mężczyzn zaczął śpiewać, a pozostali wkrótce się przyłączyli. Malchuskin sprawiał wrażenie zadowolonego. Dzień zakończyło ustawienie bufora kilka jardów za miastem; pozostałe ekipy również zakończyły pracę po wzniesieniu swoich zabezpieczeń.

Następnego dnia zaczęliśmy wcześniej rano. Malchuskin wciąż był wesoły, ale nie ukrywał, że chce jak najszybciej kontynuować roboty na torach.

Kiedy próbowaliśmy rozmontować najdalej wysuniętą na południe część toru, na własne oczy zobaczyłem, co go tak niepokoiło. Śruby mocujące szyny do podkładów powyginały się i trzeba je było wyrwać, przez co nie nadawały się do ponownego użycia. Co więcej, nacisk śrub na podkłady sprawił, że drewno popękało – chociaż Malchuskin uspokajał, że z podkładów nadal można korzystać – podobnie jak wiele betonowych fundamentów. Na szczęście same szyny wciąż nadawały się do użytku; chociaż lekko się wygięły, Malchuskin uznał, że można je wyprostować bez

większego kłopotu. Odbył krótką naradę z innymi członkami cechu Torowych, podczas której postanowiono na razie zaprzestać korzystania z wózków i skupić się na wykopywaniu torów, zanim te ulegną dalszemu zniekształceniu. Jako że miejsce, w którym pracowaliśmy, dzieliło od miasta mniej więcej dwie mile, każda podróż wózkiem zajmowała dużo czasu, więc ta decyzja wydawała się rozsądna.

Do wieczora doszliśmy z pracami do miejsca, w którym zniekształcający efekt dopiero zaczynał być wyczuwalny. Malchuskin i pozostali byli tym usatysfakcjonowani. Załadowaliśmy na wózki tyle szyn i podkładów, ile się zmieściło, po czym zarządziliśmy koniec pracy.

W ten sposób trwały roboty torowe. Kiedy mój dziesięciodniowy okres pracy dobiegł kresu, proces usuwania torów był już znacznie zaawansowany, najemni robotnicy tworzyli zgrane ekipy, a na północy miasta zaczęto układać nowe tory. Gdy zostawiałem Malchuskina, był bardziej zadowolony niż kiedykolwiek, a ja nie czułem się ani trochę winny, że biorę dwudniowy urlop.

Victoria czekała na mnie w swoim pokoju.

Moje siniaki i zadrapania po bójce już niemal się zagoiły, więc postanowiłem o niej nie wspominać. Wieści o starciu z robotnikami najwyraźniej nie dotarły do Victorii, ponieważ o nic mnie nie pytała.

Rano opuściłem chatkę Malchuskina i z przyjemnością przemierzałem miasto, korzystając z tego, że wczesnym rankiem jeszcze nie panuje w nim upał.

Z tego samego powodu zaproponowałem Victorii, żebyśmy wybrali się na platformę.

– Wydaje mi się, że jest zamknięta o tej porze – odrzekła. – Ale sprawdzę.

Nie było jej przez kilka sekund, a kiedy wróciła, potwierdziła swoje obawy.

– Sądzę, że otworzą ją około południa – powiedziałem, szacując, że o tej porze słońce już nie będzie widoczne z platformy.

– Rozbierz się – poleciła. – Twoje ubranie znów trzeba uprać.

Zacząłem się rozbierać, ale Victoria nagle podeszła do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję. Pocałowaliśmy się, niespodziewanie odkrywając, że nasze spotkanie sprawiło nam przyjemność.

– Przybierasz na wadze – zauważyła, ściągając mi koszulę z ramion i lekko przesuając dłonią po mojej piersi.

– To przez pracę – odpowiedziałem i zacząłem rozpinać jej ubranie.

Z powodu tej zmiany planów Victoria dopiero później zaniósła moje ubrania do pralni, a ja zostałem w pokoju, ciesząc się wygodnym łóżkiem.

Kiedy zjedliśmy lunch, odkryliśmy, że drzwi prowadzące na platformę są już otwarte, więc tam weszliśmy. Tym razem nie byliśmy sami; uprzedzili nas dwaj mężczyźni z wydziału edukacji. Pamiętali nas oboje z

czasów, gdy przebywaliśmy w ochronce, i wkrótce daliśmy się wciągnąć w nudną rozmowę o tym, co porabialiśmy od osiągnięcia dorosłości. Po minie Victorii widziałem, że jest równie znużona jak ja, ale żadne z nas nie chciało pierwsze zakończyć rozmowy.

W końcu mężczyźni się pożegnali i wrócili do wnętrza miasta.

Victoria mrugnęła do mnie, a następnie zachichotała.

– Boże, cieszę się, że już nie jesteśmy w ochronce – powiedziała.

– Ja też. A myślałem, że to ciekawi ludzie, kiedy byli naszymi nauczycielami.

Usiedliśmy razem na jednej z ławeczek i patrzyliśmy na krajobraz. Z tej części miasta nie dało się zobaczyć, co się dzieje tuż obok murów, więc chociaż wiedziałem, że ekipy robotników wożą szyny z południa na północ, nie mogłem ich dostrzec.

– Helwardzie... dlaczego miasto się przemieszcza?

– Nie wiem. A przynajmniej nie znam szczegółów.

– Nie mam pojęcia, co cechy sądzą o opinii ludzi w tej sprawie. Nikt nigdy o tym nie wspomina, chociaż wystarczy tutaj wejść, żeby zobaczyć, że miasto zmienia położenie. A jeśli kogoś o to zapytasz, odpowiada, że to nie jest zmartwienie kierowników. Czy mamy nie zadawać pytań?

– Nic wam nie mówią?

– Nic a nic. Dwa dni temu wspierałam się tutaj i odkryłam, że miasto się przemieściło. Kilka dni wcześniej platforma była zamknięta przez całe dwie doby, a ludzi ostrzeżono, żeby zabezpieczyli wolno stojące przedmioty. Ale to wszystko.

– No dobrze, powiedz mi jedno – powiedziałem. – Czy w czasie, gdy miasto się przemieszczało, zdawałaś sobie z tego sprawę?

– Nie... a raczej chyba nie. Pamiętaj, że dotarło to do mnie dopiero później. Z perspektywy czasu nie przypominam sobie niczego nietypowego, ale nigdy nie opuszczałam miasta, więc w ciągu całego życia pewnie przyzwyczyłam się do okazjonalnych ruchów. Czy miasto porusza się po drodze?

– Po torach.

– Ale po co?

– Nie powinienem ci tego mówić.

– Obiecałeś, że to zrobisz. W końcu nie rozumiem, co się strasznie stanie, jeśli powiesz mi, jak miasto się porusza... w końcu to oczywiste, że to robi.

Znów ten sam dylemat, ale jej słowa brzmiały rozsądnie, mimo że pozostawały w sprzeczności z przysięgą. Stopniowo zaczynałem się zastanawiać, czy wciąż mnie ona obowiązuje, czując, jak jej wpływ na mnie słabnie.

– Miasto zmierza w kierunku czegoś, co nazywamy optimum i co leży na północy. W tej chwili miasto znajduje się w odległości około trzech i pół mili na południe od optimum.

– Więc wkrótce się zatrzyma?

– Nie... i właśnie tego nie rozumiem. Wygląda na to, że nawet gdyby miasto dogoniło optimum, nie mogłoby się zatrzymać, ponieważ samo optimum stale pozostaje w ruchu.

– Więc po co staramy się je doścignąć?

Nie znałem odpowiedzi.

Victoria zadawała kolejne pytania, zatem w końcu opowiedziałem jej o pracy na torach. Starłem się jak najbardziej ograniczyć opisy, ale trudno mi było ocenić, w jakim stopniu sprzeniewierzam się przysiędze, jeśli nie w praktyce, to przynajmniej w duchu. Wszystko, co mówiłem Victorii, natychmiast analizowałem w odniesieniu do przysięgi.

– Dobrze, nie musisz mówić nic więcej – rzekła w końcu. – Widzę, że nie masz ochoty.

– Po prostu czuję się zagubiony – odparłem. – Nie wolno mi o tym opowiadać, ale ty uświadomiłaś mi, że nie mam prawa niczego przed tobą ukrywać.

Victoria milczała przez kilka minut.

– Nie wiem jak ty – odezwała się wreszcie – ale ja w ciągu ostatnich dwóch dni zdążyłam zniechęcić system cechowy.

– Nie jesteś jedyna. Nie znam zbyt wielu ludzi, którzy go popierają.

– Myślisz, że to możliwe, że przywódcy cechów podtrzymują ten system, mimo że stracił on swoje pierwotne przeznaczenie? Mam wrażenie, że system opiera się na ukrywaniu informacji. Nie rozumiem, co chcą przez to osiągnąć. Bardzo mnie to rozdrażniło i z pewnością nie jestem jedyna.

– Może ja też taki będę, kiedy zostanę pełnoprawnym członkiem cechu.

– Mam nadzieję, że nie – odrzekła ze śmiechem.

– Jest jeszcze coś – dodałem. – Kiedy zadaję te pytania Malchuskinowi – to człowiek, z którym pracuję – odpowiada, że dowiem się we właściwym czasie. Tak jakby istniał jakiś uzasadniony powód istnienia cechów, mający związek z przyczyną, dla której miasto musi się przemieszczać. Jak dotąd dowiedziałem się tylko, że miasto rzeczywiście musi pozostawać w ruchu... ale to wszystko. Poza miastem tylko pracuję i nie mam czasu zadawać pytań. Ale nie ulega wątpliwości, że przemieszczanie miasta stanowi priorytet.

– Powiesz mi prawdę, jeśli kiedyś ją poznasz?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Nie mogę tego obiecać.

Victoria gwałtownie wstała i podeszła do przeciwległego końca platformy. Stała przy balustradzie i popatrzyła ponad dachem budynku na wiejski krajobraz. Nie dołączyłem do niej; znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. I tak powiedziałem za dużo, a żądania Victorii stanowiły dla mnie zbyt duże obciążenie. Mimo wszystko nie potrafiłem jej odmówić.

Po kilku minutach ponownie usiadła obok mnie na ławeczce.

– Dowiedziałam się, w jaki sposób się pobierzemy – powiedziała.

– Czeka nas kolejna uroczystość?

– Nie, to znacznie prostsze. Musimy tylko podpisać formularz i przekazać po jednym egzemplarzu naszym przełożonym. Mam te dokumenty w pokoju... są bardzo proste do wypełnienia.

– Więc możemy to zrobić od razu.

– Tak. – Popatrzyła na mnie poważnie. – Chcesz?

– Oczywiście. A ty?



– Tak.

– Mimo wszystko?

– Co masz na myśli? – zdziwiła się.

– Mimo że najwyraźniej nie potrafimy rozmawiać bez poruszania tematów, o których nie mogę lub nie powinienem ci opowiadać, a ty masz do mnie o to pretensje.

– Czy to cię martwi? – spytała.

– Owszem, bardzo.

– Jeżeli chcesz, możemy odłożyć ślub.

– Czy to coś pomoże?

Nie byłem pewien, co by się stało, gdybyśmy zerwali zaręczyny. Skoro to cechy nas sobie przeznaczyły, czy oznajmienie, że nie zamierzamy się pobrać, stanowiłoby jakieś nowe pogwałcenie zasad systemu? Z drugiej strony po oficjalnym przedstawieniu najwyraźniej nie ciążyła na nas presja szybkiego ślubu. Wyglądało na to, że dylematy dotyczące ograniczeń, jakie nakłada na mnie przysięga, były między nami jedynym źródłem rozdźwięku. Poza tym idealnie do siebie pasowaliśmy.

– Na razie zostawmy ten temat – zaproponowała Victoria.

Kiedy wróciliśmy do jej pokoju, poprawił nam się nastrój. Dużo rozmawialiśmy, starannie unikając problematycznych tematów... a kiedy się położyliśmy, nasze podejście uległo zmianie. Rano podpisaliśmy formularze i zanieśliśmy je naszym cechowym przełożonym. Badacza Clausewitza nie było w mieście, ale znalazłem innego członka swojego cechu, a on przyjął dokumenty w jego imieniu. Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych, a później tego dnia matka Victorii spędziła z nami sporo czasu, opowiadając, jakimi nowymi swobodami i prawami będziemy się cieszyli jako małżeństwo.

Zanim opuściłem miasto, żeby dołączyć do Malchuskina, zabrałem resztę swoich rzeczy z ochronki i oficjalnie zamieszkałem z Victorią.

W wieku sześciuset pięćdziesięciu dwóch mil zostałem mężem.

W ciągu kolejnych kilku mil moje życie biegło w uporządkowany sposób, który przeważnie mi odpowiadał. Podczas moich wizyt w mieście życie z Victorią było wygodne, szczęśliwe i pełne miłości. Opowiadała mi dużo o swojej pracy i dzięki niej dowiedziałem się, w jaki sposób na co dzień zarządza się miastem. Czasami pytała o moją pracę poza murami, ale albo jej pierwotna ciekawość przygasła, albo rozsądek nakazywał jej się powstrzymać, ponieważ już nie była tak zbuntowana jak dawniej.

Moja kariera ucznia stale się rozwijała. Im bardziej angażowałem się w prace na zewnątrz miasta, tym lepiej rozumiałem, że przemieszczanie miasta wymaga wspólnego wysiłku.

Pod koniec ostatniej mili pokonanej razem z Malchuskinem zostałem na rozkaz Clausewitza przeniesiony do Sił Zbrojnych. To była nieprzyjemna niespodzianka, ponieważ spodziewałem się, że po ukończeniu szkolenia na torach rozpocznę pracę w cechu Badaczy. Jednakże okazało się, że co trzy mile będę przenoszony do innego cechu pierwszej kategorii.

Było mi przykro, że rozstaję się z Malchuskinem, ponieważ jego proste oddanie harówce na torach miało niezaprzeczalny urok. Po pokonaniu grzbietu wzniesienia układanie torów stało się łatwiejsze, a jako że nowa grupa robotników pracowała bez narzekania, Malchuskin miał wyraźnie lepszy nastrój.

Zanim zgłosiłem się do Sił Zbrojnych, odszukałem Clausewitza.

Nie chciałem sprawiać problemów, ale spytałem, dlaczego podjął taką decyzję.

– To standardowa procedura, Mann – odpowiedział.

– Ale proszę pana, sądziłem, że jestem już gotowy, żeby wstąpić do swojego cechu.

Siedział swobodnie za biurkiem, nieporuszony moim łagodnym protestem. Zgadywałem, że przywykł do takich pytań.

– Musimy utrzymywać pełny skład Sił Zbrojnych. Czasami bezpieczeństwo miasta wymaga przeprowadzenia poboru wśród członków innych cechów. Kiedy tak się dzieje, nie mamy czasu na ich szkolenie. Dlatego każdy członek cechu pierwszej kategorii musi odbyć służbę w Siłach Zbrojnych, ty również.

Nie mogłem dyskutować z tą logiką i na kolejne trzy mile zostałem Kuznikiem Drugiej Klasy.

To był okropny okres; doprowadzały mnie do szału marnotrawstwo czasu oraz niewrażliwość ludzi, z którymi miałem pracować. Wiedziałem, że sam komplikuję sobie życie, i rzeczywiście, po zaledwie kilku godzinach stałem się najmniej lubianym rekrutem w całych Siłach Zbrojnych. Jedyłą ulgę stanowiła dla mnie obecność dwóch innych uczniów – z cechów Handlowców oraz Torowych – którzy najwyraźniej podzielali mój pogląd. Oni jednak na swoje szczęście posiadali umiejętność przystosowania się do nowego otoczenia, więc cierpieli mniej ode mnie.

Kwatery Sił Zbrojnych znajdowały się obok stajni, przy samej podstawie miasta. Składały się z dwóch dużych budynków sypialnych, a rekruci musieli mieszkać, jeść i spać w nieznośnym tłoku i brudzie.

Za dnia bez końca ćwiczyliśmy, między innymi odbywając długie marszruty w terenie; uczono nas walki wręcz, przepływania rzek, wspinania się na drzewa, żywienia się trawą oraz wielu innych bezużytecznych umiejętności. Pod koniec tych trzech mil umiałem strzelać z kuszy i walczyć bez broni oraz zdobyłem kilku zajadłych wrogów. Wiedziałem, że przez jakiś czas będę musiał trzymać się od nich z daleka. Uznałem to za pouczające doświadczenie.

Następnie przeniesiono mnie do cechu Trakcji, gdzie od razu poczułem się znacznie lepiej. Od tej chwili moje życie jako ucznia było przyjemne i owocne.

Ludzie odpowiedzialni za ruch miasta byli spokojni, pracowici i inteligentni. Działali bez pośpiechu, ale zawsze dbali o to, żeby zadania, za

które odpowiadają, zostały wykonane, i to solidnie.

Podczas wcześniejszego kontaktu z ich pracą – kiedy obserwowałem wciąganie miasta – nie zdawałem sobie sprawy z pełnego zakresu ich działań. Cech Trakcji nie zajmował się jedynie przemieszczaniem miasta, ale także jego wewnętrznymi sprawami.

Odkryłem, że w środku miasta, na jego najniższym poziomie, znajduje się duży reaktor jądrowy. To z niego miasto czerpało moc, a ludzie, którzy go obsługiwali, odpowiadali również za komunikację i kanalizację. Wielu członków cechu Trakcji było inżynierami wodnymi. Od nich dowiedziałem się, że miasto przecina skomplikowany system rurociągów, który gwarantuje, że niemal każda kropla wody jest ponownie wykorzystywana. Ku swojemu przerażeniu odkryłem, że urządzenie do produkcji syntetycznego pożywienia działa na bazie urządzenia filtrującego z kanalizacji, a chociaż obsługują je i programują kierownicy z miasta, to w pompowni Trakcji ustala się ilość (a pod pewnymi względami także jakość) wytwarzanego jedzenia.

Można było odnieść wrażenie, że zasilanie wyciągów jest drugorzędną funkcją reaktora.

Wyciągów było sześć i zbudowano je w ogromnym stalowym pomieszczeniu, które ciągnęło się ze wschodu na zachód w poprzek podstawy miasta. Jednocześnie korzystano tylko z pięciu, a szósty rotacyjnie poddawano przeglądowi. Podstawowy problem stanowiły łożyska, które przez wiele tysięcy mil pracy bardzo się zużyły. Kiedy przebywałem w cechu, byłem świadkiem debat nad tym, czy wciąganie nie powinno się dokonywać za pomocą czterech wyciągów – co zapewniłoby więcej czasu na remonty – bądź sześciu, żeby zmniejszyć zużycie materiału. W końcu cech pozostał przy dotychczasowym systemie, gdyż nie udało się podjąć żadnych wiążących decyzji.

Jednym z zadań, które wykonywałem razem z ludźmi z Trakcji, było sprawdzanie kabli. Tę czynność także należało regularnie powtarzać, ponieważ kable były równie stare jak wyciągi i czasami pękały, co nie powinno się zdarzać. Każdy z sześciu kabli używanych przez miasto już

kilkakrotnie naprawiano, co osłabiało ich wytrzymałość. Ponadto kable w niektórych miejscach zaczynały się przecierać. Z tego powodu przed każdym wciąganiem wszystkie z pięciu używanych kabli dokładnie sprawdzano, czyszczono i smarowano, a także obwiązywano poprzecierane miejsca.

Stale przebywaliśmy w sali z reaktorem albo pracowaliśmy przy kablach, rozmawiając o tym, jak nadrobić stratę do optimum, jak ulepszyć wyciągi i skąd zdobyć nowe kable. Wydawało się, że wszyscy członkowie cechu mają głowy pełne pomysłów, jednak nie byli miłośnikami teorii. Większość ich pracy dotyczyła przyziemnych spraw; przykładowo, kiedy przebywałem pośród nich, zabierali się do budowy dodatkowego zbiornika na wodę dla miasta.

Jednym z przyjemnych aspektów mojej nauki była możliwość spędzania nocy z Victorią. Chociaż wieczorami wracałem do pokoju zgrzany i brudny, przynajmniej przez ten krótki okres mogłem się cieszyć wygodami domowego życia oraz satysfakcjonującą i wartościową pracą.

Pewnego dnia, kiedy pracowałem poza miastem, uczestnicząc w mechanicznym holowaniu kabla do odległego wyciągu, spytałem towarzyszącego mi członka cechu o Gelmana Jase'a.

– To mój dobry przyjaciel, który terminuje w waszym cechu. Znasz go?

– Jest mniej więcej w twoim wieku?

– Nieco starszy.

– Kilka mil temu mieliśmy pod opieką grupkę uczniów. Nie pamiętam, jak się nazywali. Mogę sprawdzić, jeśli chcesz.

Miałem ochotę zobaczyć się z Jase'em. Minęło dużo czasu od naszego ostatniego spotkania, poza tym warto byłoby porównać doświadczenia z kimś, kto przechodził przez ten sam proces.

Później tego samego dnia dowiedziałem się, że Jase był jednym z dwóch uczniów, o których wspominał człowiek z cechu. Spytałem, jak mógłbym się skontaktować z przyjacielem.

– Na razie go z nami nie ma.

– Gdzie jest? – spytałem.

– Opuścił miasto. Udał się do przeszłości.

Mój pobyt w cechu Trakcji zbyt szybko dobiegł końca i na kolejne trzy mile przeniesiono mnie do Handlowców. Powitałem te wieści z mieszanymi uczuciami, gdyż na własne oczy widziałem jednego z członków tego cechu w działaniu. Ku swojemu zaskoczeniu dowiedziałem się, że mam pracować z Handlowcem Collingsem, a jakby tego było mało, odkryłem, że on sam o to wnioskował.

– Usłyszałem, że masz dołączyć do naszego cechu na trzy mile – powiedział. – Postanowiłem pokazać ci, że nasza praca nie polega tylko na kontaktach z awanturującym się tukami.

Podobnie jak inni członkowie cechu, Collings miał pokój w jednej z przednich wież miasta. Kiedy go odwiedziłem, pokazał mi długi zwój papieru, na którym narysowano szczegółową mapę.

– Na większość tego nie musisz zwracać uwagi. To mapa terenu przed nami, sporządzona przez Badaczy Przyszłości. – Pokazał mi symbole oznaczające góry, rzeki, doliny, strome zbocza – istotne informacje dla ludzi planujących trasę, którą miasto będzie kontynuowało powolną podróż ku optimum. – Te czarne kwadraty oznaczają ludzkie osady. One najbardziej nas interesują. Ile znasz języków?

Przyznałem się, że w ochronce nauka języków nigdy nie przychodziła mi z łatwością i znam tylko francuski, do tego niezbyt biegle.

– Dobrze, że nie zamierzasz na stałe wstąpić do naszego cechu – odrzekł. – Zdolności językowe to nasza specjalność.

Powiedział mi, że okoliczni mieszkańcy porozumiewają się po hiszpańsku, Handlowcy zaś nauczyli się tego języka z jednej z książek w miejskiej bibliotece, ponieważ w mieście nie mieszka nikt o hiszpańskich korzeniach. Radzili sobie, chociaż wciąż mieli trudności z dialektami.

Collings powiedział mi, że wśród cechów pierwszej kategorii tylko Torowi regularnie korzystają z najemnych robotników. Budowniczowie Mostów czasami muszą zatrudniać miejscowych na krótkie okresy, jednak Handlowcy zajmują się głównie rekrutacją robotników fizycznych do pracy przy torach... a także czymś, co Collings nazywał „sprowadzaniem”.

– Co to takiego? – spytałem od razu.

– Właśnie to czyni nas tak niepopularnymi – odrzekł Collings. – Miasto szuka osad, w których brakuje jedzenia i szerzy się bieda. Na szczęście dla nas to uboga okolica, więc mamy silną pozycję w negocjacjach. Możemy im zaproponować jedzenie, technologię wspomagającą rolnictwo, lekarstwa oraz prąd, a w zamian wykorzystujemy mężczyzn do pracy i pożyczamy młode kobiety. Na krótki czas przeprowadzają się do miasta i czasami rodzą nowych obywateli.

– Słyszałem o tym. Nie wierzę, że to naprawdę się dzieje.

– Dlaczego?

– Czy to nie jest... niemoralne? – spytałem z wahaniem.

– Niemoralna jest chęć zaludnienia miasta? Bez napływu świeżej krwi wymarlibyśmy w ciągu dwóch pokoleń. Mieszkańcom miasta rodzą się głównie chłopcy.

Przypomniałem sobie bójkę.

– Kobiety, które przenoszą się do miasta, czasami mają mężów, prawda?

– Tak... ale zostają tutaj tylko po to, żeby urodzić jedno dziecko. Później mogą odejść.

– Co się dzieje z dzieckiem?

– Dziewczynki zostają w mieście i dorastają w ochronce. Chłopców matki mogą zabrać ze sobą albo zostawić.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego Victoria rozmawiała na ten temat z taką rezerwą. Moja matka przybyła do miasta z zewnątrz, a później odeszła. Nie zabrała mnie ze sobą; zostałem odrzucony. Jednakże ta świadomość nie sprawiła mi bólu.

Członkowie cechu Handlowców, podobnie jak Badacze, przemierzali okolice miasta na koniach. Nigdy nie uczyłem się jazdy konnej, kiedy więc opuszczaliśmy miasto i wyruszaliśmy na północ, towarzyszyłem Collingsowi pieszo. W końcu nauczył mnie jeździć i uprzedził, że ta umiejętność będzie mi potrzebna, kiedy dołączę do cechu swojego ojca. Uczyłem się powoli; początkowo bałem się wierzchowca i z trudem nad

nim panowałem. Stopniowo, gdy już sobie uświadomiłem, że zwierzak jest uległy i łagodny, nabrałem pewności siebie, a koń – jakby też to rozumiał – reagował na mnie lepiej.

Nie oddalaliśmy się zbyt od miasta. Na północnym wschodzie znajdowały się dwie osady, które odwiedziliśmy. Powitano nas z zaciekawieniem, ale Collings ocenił, że w żadnym z tych miejsc mieszkańcy nie potrzebują towarów, które może zaoferować miasto, więc nie próbował podejmować negocjacji. Powiedział mi, że miasto w obecnej chwili zatrudnia dostatecznie wielu robotników, a także gości wystarczającą liczbę kobiet.

Po zakończeniu pierwszej wyprawy – która trwała dziewięć dni i podczas której żyliśmy i spaliśmy w surowych warunkach – wróciłem z Collingsem do miasta, gdzie dowiedziałem się, że Rada Nawigatorów wydała zgodę na budowę mostu. Według interpretacji, którą przedstawił mi Collings, miasto mogło podążyć dwiema trasami. Jedna odchodziła się ku północnemu zachodowi i chociaż omijała wąską rozpadlinę, prowadziła przez górzysty teren usiany pokruszonymi skałami; druga wiodła przez równiejszy teren, jednakże wymagała wybudowania mostu nad rozpadliną. Wybrano tę drugą drogę, dlatego wszyscy robotnicy mieli tymczasowo zostać przekazani do dyspozycji cechu Budowniczych Mostów.

Jako że most stał się priorytetem, Malchuskin oraz inni Torowi, jak również ich ekipy, zostali zwerbowani do pracy, połowa członków Sił Zbrojnych miała porzucić swoje obowiązki i udzielić wsparcia robotnikom, a kilku ludzi z cechu Trakcji zatrudniono do nadzorowania kładzenia torów na moście. Odpowiedzialność za projekt i konstrukcję mostu spoczywała na cechu Budowniczych Mostów, którzy poprosili cech Handlowców o najęcie pięćdziesięciu dodatkowych robotników.

Collings i jeden z członków jego cechu czym prędzej opuścili miasto i udali się do okolicznych osad; mnie tymczasem zabrano na północ na miejsce budowy mostu, gdzie dołączyłem do cechowego nadzorca, Budowniczego Lerouex, ojca Victorii.



Kiedy zobaczyłem rozpadlinę, zrozumiałem, że budowa mostu będzie stanowiła poważne inżynierskie wyzwanie. Przepaść była szeroka – w miejscu, w którym miał powstać most, rozwierała się na około sześćdziesięciu jardów – a jej ściany kruszyły się i pękały. Na dnie płynął wartki strumień. Jakby tego było mało, północna krawędź rozpadliny była położona jakieś dziesięć stóp niżej od południowej, co oznaczało, że po drugiej stronie przepaści tor przez jakiś czas będzie musiał biec po rampie.

Cech Budowniczych Mostów zdecydował się na most wiszący. Nie mieliśmy czasu na ustawienie przęsła ani wsporników, a druga preferowana metoda – wybudowanie drewnianego rusztowania wewnątrz rozpadliny – zdawała się niepraktyczna ze względu na ukształtowanie przepaści.

Natychmiast rozpoczęliśmy budowę czterech wież, dwóch na północ i dwóch na południe od rozpadliny. Były to pozornie delikatne konstrukcje, wzniesione ze stalowych rur. Podczas budowy jeden z mężczyzn spadł z wieży i zginął. Prace kontynuowano bez opóźnień. Wkrótce potem pozwolono mi spędzić urlop w mieście, a kiedy tam przebywałem, miasto się przemieściło. Po raz pierwszy byłem wewnątrz, świadomy, że właśnie odbywa się proces wciągania. Z zaciekawieniem odnotowałem fakt, że nie wyczuwam żadnego ruchu, chociaż zauważyłem lekkie nasilenie hałasów w tle, zapewne za sprawą silników wyciągów.

Podczas tego urlopu Victoria powiedziała mi, że jest w ciąży. Te wieści sprawiły wielką radość jej matce; ja również byłem zachwycony i – co zdarzyło mi się tylko kilka razy w życiu – wypilem za dużo wina, po czym zrobiłem z siebie idiotę, choć najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało.

Kiedy ponownie opuściłem miasto, zobaczyłem, że praca przy torach i kablach wciąż trwa – pomimo niedoboru siły roboczej – a miasto znajduje się dwie mile od mostu. Podczas rozmowy ze spotkanym członkiem cechu Trakcji dowiedziałem się, że od optimum dzieli nas zaledwie półtorej mili.

Znaczenie tej wiadomości dotarło do mnie dopiero później, kiedy uświadomiłem sobie, że w takim razie sam most znajduje się o pół mili na północ od optimum.

Później nastąpiło długie opóźnienie. Budowa mostu postępowała powoli. Po wypadku wprowadzono bardziej surowe środki bezpieczeństwa, a ludzie Lerouex regularnie sprawdzali wytrzymałość konstrukcji. Podczas pracy dowiedzieliśmy się, że proces układania torów zwolnił. W pewnym sensie nam to odpowiadało, ponieważ most był jeszcze daleki od ukończenia, lecz jednocześnie wywoływało niepokój. Każde opóźnienie w niekończącej się pogoni za optimum to zła wiadomość.

Pewnego dnia po budowie zaczęła krążyć wieść, że most znajduje się dokładnie w punkcie optimum. Zacząłem się bacznie przyglądać swojemu otoczeniu, nie dostrzegłem jednak niczego nietypowego. Zastanawiałem się, jakie szczególne znaczenie ma ten punkt, ale wraz z upływem dni nieuchwytnie optimum przemieściło się na północ, zarazem opuszczając moje myśli.

Jako że miasto skupiło wszystkie siły na budowie mostu, nie miałem okazji czynić postępów w cechowej edukacji. Co dziesięć dni udzielano mi urlopu – tak jak wszystkim członkom cechów – nikt jednak nie przejmował się przekazywaniem mi wiedzy dotyczącej funkcjonowania poszczególnych cechów. Most był priorytetem.

Prowadzono też inne prace. Kilka jardów na południe od mostu ustawiono odciąg i doprowadzono do niego tory.

W końcu podciągnięto miasto do skraju rozpadliny, gdzie czekało na ukończenie mostu.

Najtrudniejszym i najbardziej wymagającym aspektem budowy było przeciągnięcie łańcuchów między wieżami na południu i północy przepaści. Mijał czas, a Lerouex i pozostali członkowie cechów zaczęli się niepokoić. Zdawałem sobie sprawę, że skoro optimum powoli przesuwa się na północ, mostu wkrótce będzie dotyczył ten sam problem, co torów na południu miasta: zacznie się odkształcać. Chociaż most zaprojektowano w taki sposób, żeby częściowo to zrównoważyć, nie mogliśmy zbyt długo zwlekać z przeprawą. Zaczęliśmy pracować także

nocami przy świetle mocnych lamp łukowych zasilanych z wnętrza miasta. Zawieszono urlipy i wprowadzono system zmianowy.

Malchuskin i jego ludzie układali tory, a na północnym skraju rozpadliny wznoszono wyciągi, tuż za misternym układem ramp.

Miasto znajdowało się tak blisko, że mogliśmy nocować w swoich kwaterach. Czułem się zagubiony, zestawiając ekstremalny wysiłek, jaki podejmowaliśmy przy budowie mostu, ze spokojem i atmosferą normalności, które towarzyszyły codziennej pracy w mieście. Moje zachowanie najwyraźniej odzwierciedlało to zagubienie, ponieważ Victoria znów zaczęła mnie wypytywać o pracę na zewnątrz.

Wkrótce jednak most był gotowy. Musieliśmy odczekać jeszcze jeden dzień, podczas którego Lerouex i inni Budowniczości przeprowadzali szczegółowe testy. Mimo że uznali most za bezpieczny, sprawiali wrażenie zatroskanych. W nocy przygotowaliśmy się do procesu wciągania.

O świcie członkowie cechu Trakcji dali sygnał... i miasto ukradkiem zaczęło sunąć naprzód. Zająłem pozycję obserwacyjną na jednej z dwóch wież na południowym skraju rozpadliny, a kiedy przednie koła miasta powoli wjechały na most, poczułem wibracje przenikające wieżę, gdy napięły się łańcuchy podtrzymujące most. W słabym świetle wschodzącego słońca zobaczyłem, jak łańcuchy się obniżają, a cały most wyraźnie osiada pod potężnym brzemieniem. Popatrzyłem na najbliższej stojącego Budowniczego, który przykucnął na wieży kilka jardów ode mnie. Całą uwagę skupiał na liczniku obciążenia podłączonym do łańcuchów. Żadna spośród osób obserwujących tę delikatną operację nie poruszała się ani nie odzywała, zupełnie jakby najdrobniejsze zakłócenie mogło zaburzyć równowagę. Miasto brnęło naprzód i wkrótce oparło się całym ciężarem na moście.

Nagle coś przerwało ciszę. Z głośnym trzaskiem, który odbił się echem od skalistych ścian rozpadliny, jeden z kabli pękł i niczym potężny bicz uderzył w rząd zbrojnych. Konstrukcją mostu targnął wstrząs, a z wnętrza miasta dobiegł przybierający na sile jęk uwolnionego wyciągu, niemal natychmiast uciszony przez członka cechu Trakcji, który kontrolował

mechanizm różnicowy. Miasto przemieszczało się dalej, wyraźnie wolniej, ciągnięte na czterech kablach. Na północnym brzegu przepaści pęknięty kabel wił się po ziemi, przykrywając ciała pięciu zbrojnych.

Mieliśmy za sobą najtrudniejszą część przeprawy: miasto przejechało pomiędzy dwiema północnymi wieżami i zaczęło się powoli zsuwać po rampach ku wyciągom. Wkrótce stanęło, ale nikt się nie odezwał. Nie czuliśmy ulgi ani nie świętowaliśmy. Po przeciwnej stronie rozpadliny układano na noszach ciała zbrojnych, żeby zanieść je do miasta. Miasto na razie było bezpieczne, jednak pozostało wiele pracy. Budowa mostu spowodowała nieuniknione opóźnienie i miasto znajdowało się cztery i pół mili za optimum. Musieliśmy usunąć tory i naprawić zerwany kabel, a także rozebrać wieże i zdjąć łańcuchy, gdyż mogły nam się przydać w przyszłości.

Wkrótce miasto znów ruszy z miejsca... wciąż naprzód, wciąż na północ, kierując się ku optimum, które z jakiegoś powodu zawsze wyprzedzało nas o kilka mil.

## Część druga

Helward Mann jechał konno. Stał w strzemionach z głową opartą o szyję dużej jasnobrązowej klaczy i rozkoszował się wrażeniem pędu: wiatrem odrzucającym mu włosy do tyłu, chrzęstem kopyt na kamienistej ziemi, falowaniem muskularnych lędźwi zwierzęcia, nieodłączną obawą przed potknięciem albo zrzuceniem. Jechali na południe, oddalając się od prymitywnej osady, którą odwiedzili, i przemierzając w drodze do miasta podnóża wzgórz i równinę. Kiedy miasto Ziemia wyłoniło się zza niskiego wzniesienia, Helward zwolnił do galopu i wykonał obszerny skręt, kierując się z powrotem na północ. Wkrótce wyhamował klacz do stępa, a kiedy pogoda zrobiła się bardziej upalna, zsiadł i ruszył pieszo u boku wierzchowca.

Myślał o Victorii, która od wielu mil była w ciąży. Wyglądała zdrowo i pięknie, a kierownik medyczny potwierdził, że ciąża rozwija się bez powikłań. Helward mógł teraz częściej przebywać w mieście, więc spędzali razem wiele dni. Miasto na szczęście ponownie przemieszczało się po równym terenie. Helward wiedział, że gdyby trzeba było zbudować kolejny most albo zaistniałaby inna wyjątkowa sytuacja, mieliby dla siebie znacznie mniej czasu.

Obecnie czekał, aż zakończy się jego terminowanie. Pracował ciężko i długo we wszystkich cechach poza jednym: swoim własnym, cechem Badaczy Przyszłości. Handlowiec Collings zapowiedział mu, że zbliża się kres jego nauki, a później tego samego dnia Helward miał się spotkać z Badaczem Clausewitzem, żeby oficjalnie omówić z nim swoje dotychczasowe postępy. Nie mógł się doczekać końca terminowania. Chociaż pod względem emocjonalnym wciąż był młodzieńcem, zgodnie z regułami miasta stał się dorosły; ciężko pracował i uczył się, żeby osiągnąć ten status. W pełni świadomy zewnętrznych priorytetów miasta, chociaż

nie do końca przekonany co do ich racjonalności, był gotów otrzymać tytuł pełnoprawnego członka cechu. W ciągu ostatnich kilku mil jego ciało stało się smukłe i muskularne, a skórę pokryła zdrowa ciemnozłota opalenizna. Już nie był zeszywniały po całym dniu pracy i odczuwał przyjemną satysfakcję po dobrze wykonanym trudnym zadaniu. Większość członków cechów, z którymi pracował, szanowała go i lubiła za chęć do ciężkiej pracy, a stabilny i oparty na miłości związek z Victorią zapewnił mu powszechną opinię człowieka, któremu wkrótce będzie można powierzyć bezpieczeństwo miasta.

Szczególnie owocną i zgodną współpracę Helward nawiązał z Handlowcem Collingsem. Kiedy już spędził obowiązkowe trzy mile w każdym z pozostałych cechów, pozwolono mu wskazać cech – dowolny poza własnym – w którym chciałby spędzić kolejne pięć mil. Bez wahania zdecydował się na współpracę z Collingsem. Praca Handlowców go pociągała, gdyż pozwalała poznawać życie miejscowej ludności.

Obszar, który obecnie przemierzało miasto, był wysoko położony i jałowy, pokryty mało żyzną glebą. Nieliczne osady zawsze miały postać ciasnego skupiska rozsypujących się budynków. Panowała w nich straszliwa nędza i pleniły się choroby. Wyglądało na to, że nie podlegają żadnej centralnej władzy, gdyż każda z nich była zorganizowana w inny sposób. Mieszkańcy czasami witali ich z wrogością, a czasami z obojętnością.

Praca Handlowców w dużej mierze polegała na właściwej ocenie sytuacji: szacowaniu stanu oraz potrzeb danej społeczności i wybieraniu właściwej taktyki negocjacji. W większości wypadków negocjacje okazywały się bezowocne; wszystkie osady charakteryzowała niezachwiana ospałość. Kiedy Collingsowi udawało się zainteresować tubylców, ich potrzeby natychmiast wychodziły na jaw. Miasto w większości było w stanie je zaspokoić. Dzięki swojemu zorganizowaniu i dostępnej technologii jego mieszkańcy zgromadzili pokaźne zapasy jedzenia, lekarstw i środków chemicznych, a także dzięki zdobytym doświadczeniom dowiedzieli się, które z nich są najpotrzebniejsze.

Proponując tubylcom antybiotyki, nasiona, nawozy, urządzenia do oczyszczania wody – a w niektórych przypadkach nawet pomoc w naprawie istniejącego sprzętu – Handlowcy mogli przygotować grunt pod własne żądania.

Collings próbował nauczyć Helwarda hiszpańskiego, ale ten nie miał zdolności językowych. Przyswoił sobie garść zwrotów, ale bardzo niewiele wnosił do często długotrwałych negocjacji.

Uzgodnili warunki współpracy z osadą, którą właśnie opuścili. Zwerbowali dwudziestu mężczyzn do pracy przy torach; miało do nich dołączyć kolejnych dziesięciu z mniejszej osady położonej nieco dalej. Ponadto pięć kobiet z własnej woli albo pod przymusem – Helward nie był pewien, ale nie wypytywał o to Collingsa – zgodziło się przeprowadzić do miasta. Teraz razem z Collingsem wracali, żeby zabrać obiecane zapasy i przygotować cechy na napływ nowych tymczasowych mieszkańców. Collings postanowił, że wszystkich robotników trzeba przebadać, co dodatkowo obciążało kierowników medycznych.

Helward lubił pracę na północ od miasta. Wkrótce miało to być jego terytorium, ponieważ właśnie tutaj, poza optimum, działał cech Badaczy Przyszłości. Często widywał Badaczy, którzy jechali konno na północ, na dalekie tereny, do których pewnego dnia miało dotrzeć miasto. Kilka razy widział swojego ojca i zamienił z nim parę słów. Helward miał nadzieję, że dzięki doświadczeniu, jakie zdobył jako uczeń, zniknie napięcie, które ciążyło nad ich relacją, jednak ojciec najwyraźniej czuł się w jego obecności równie niezręcznie jak zawsze. Helward podejrzewał, że nie stoi za tym żadna głębsza przyczyna, ponieważ Collings podczas jednej z opowieści o cechu Badaczy wspomniał o jego ojcu: „Trudno się z nim rozmawia. Jest sympatyczny, gdy się go lepiej pozna, jednak zamyka się w sobie”.

Pół godziny później Helward dosiadł klaczy i poprowadził ją z powrotem tym samym szlakiem. Wkrótce natrafił na Collingsa, który odpoczywał w cieniu dużego głazu. Helward do niego dołączył i podzielili się jedzeniem. Przywódca osady w geście dobrej woli podarował im duży



kawał świeżego sera, którego teraz skosztowali, ciesząc się, że mogą odpocząć od typowego syntetycznego jedzenia.

– Jeżeli oni żywią się w ten sposób, to raczej nie będą zainteresowani naszą papką – odezwał się Helward.

– Nie sądzę, by stale jadali takie rzeczy. To był jedyny kawałek, jaki mieli. Zapewne go ukradli. Nie widziałem u nich żadnego bydła.

– Więc dlaczego nam go dali?

– Potrzebują nas.

Po pewnym czasie ruszyli w dalszą drogę ku miastu. Obaj szli, prowadząc wierzchowca. Helward nie mógł się doczekać powrotu, ale jednocześnie żałował, że jego nauka dobiegła końca. Zdawał sobie sprawę, że to zapewne ostatnia wspólna wyprawa z Collingsem, więc poczuł od dawna skrywaną potrzebę porozmawiania z nim o czymś, co wciąż go niepokoiło. Collings był jednym człowiekiem poznanym poza miastem, z którym mógł o tym pomówić. Mimo to długo obracał swój problem w myślach, zanim w końcu zdecydował się o nim wspomnieć.

– Jesteś dziwnie milczący – odezwał się nagle Collings.

– Wiem... przepraszam. Rozmyślałem o zostaniu członkiem cechu. Nie jestem pewien, czy jestem gotowy.

– Dlaczego?

– Trudno powiedzieć. Sam nie wiem, co mnie niepokoi.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Tak. To znaczy... nie wiem, czy mogę.

– Oczywiście.

– Po prostu... niektórzy członkowie cechów nie chcą rozmawiać – powiedział Helward. – Kiedy po raz pierwszy wyszedłem z miasta, byłem bardzo zagubiony i wtedy dowiedziałem się, że nie powinienem zadawać zbyt wielu pytań.

– Zależy, jakie to są pytania – odrzekł Collings.

Helward postanowił, że nie będzie próbował się usprawiedliwiać.

– Chodzi o dwie kwestie. Optimum i przysięgę. Mam wątpliwości co do obu.

– To nic dziwnego. Pracowałem z dziesiątkami uczniów i wszyscy się tym niepokoiли.

– Może mi pan powiedzieć to, co chcę wiedzieć?

Collings pokręcił głową.

– Nie o optimum. To musisz sam odkryć.

– Ale wiem tylko, że przesuwa się na północ. Czy to przypadek?

– To nie jest przypadek... ale nie mogę o tym mówić. Zapewniam cię, że już wkrótce dowiesz się tego, co chcesz wiedzieć. Czego dotyczy problem z przysięgą?

Helward przez chwilę milczał.

– Gdyby pan wiedział, że ją zламаłem... gdyby wiedział pan o tym w tej chwili... musiałby mnie pan zabić. Zgadza się?

– Owszem, w teorii.

– A w praktyce?

– Zamartwiałbym się tym przez wiele dni, a potem zapewne poradził się któregoś z pozostałych członków cechu. Ale tak naprawdę nie zламаłeś przysięgi, prawda?

– Nie jestem pewien.

– Lepiej mi o tym opowiedz.

– W porządku.

Helward zaczął opowiadać o pytaniach, które Victoria zadawała mu na samym początku, starając się ograniczyć do ogólników. Collings milczał, więc Helward podawał coraz więcej szczegółów. W końcu zorientował się, że szczegółowo relacjonuje swoje rozmowy z Victorią. Kiedy skończył, Collings ocenił:

– Myślę, że nie musisz się niczym przejmować.

Helward poczuł ulgę, ale dręczące go myśli nie chciały tak szybko się rozwiązać.

– Dlaczego?

– Nic złego się nie stanie, jeśli będziesz o tym rozmawiał ze swoją żoną.

Ich oczom ukazało się miasto i dostrzegli znajomą krzątanicę wokół torów.

– Ale to nie może być takie proste – zaprotestował Helward. – Przysięga jest sformułowana bardzo stanowczo, a karę trudno uznać za łagodną.

– To prawda... ale cechy ją odziedziczyły. Przysięga została nam przekazana i my również ją przekazujemy. Ty także kiedyś to zrobisz. To nie oznacza, że się z nią zgadzamy, jednak jak dotąd nikt nie wymyślił innego rozwiązania.

– Więc cechy chętnie by się jej pozbyły, gdyby to było możliwe? – zdziwił się Helward.

Collings wyszczerzył zęby.

– Nie powiedziałem tego. Miasto ma długą historię. Jego założycielem był Francis Destaine i powszechnie uważa się, że to on wprowadził przysięgę. Na podstawie zapisków z tamtych czasów możemy wnioskować, że wtedy taki rygor był pożądanym. Ale dzisiaj... cóż, panuje bardziej swobodna atmosfera.

– A jednak przysięga wciąż obowiązuje.

– Owszem. I sędzę, że nadal pełni ważną funkcję. Wielu mieszkańców miasta być może nigdy się nie dowie, co się tutaj dzieje, i bardzo dobrze. Zajmuje ich głównie zarządzanie miastem. Kontaktują się z ludźmi spoza miasta – na przykład sprowadzanymi kobietami – i gdyby otwarcie opowiadali im o mieście, przybysze z zewnątrz poznałyby jego prawdziwą naturę. Już i tak mamy mnóstwo kłopotów z tubylcami, czyli tukami, jak ich nazywają zbrojni. Miasto to delikatny system, który trzeba chronić za wszelką cenę.

– Coś nam grozi?

– Nie w tej chwili, ale gdyby doszło do sabotażu, wszyscy znaleźlibyśmy się w wielkim niebezpieczeństwie. Nie jesteśmy zbyt lubiani... dlatego nie warto dodatkowo informować wszystkich o naszych słabych stronach.

– Więc mogę otwarcie rozmawiać z Victorią?

– Sam musisz to ocenić. To córka Lerouex, prawda? Rozsądna dziewczyna. Jeżeli zachowa dla siebie to, co jej powiesz, nie powinno być żadnych problemów. Ale nie rozmawiaj o tym ze zbyt wieloma osobami.

– Nie będę – zapewnił Helward.

- No i nie mów o tym, że optimum się przesuwa, bo tak nie jest. Helward popatrzył na niego ze zdziwieniem.
- Powiedziano mi, że stale się przemieszcza.
- Wprowadzono cię w błąd. Optimum jest nieruchome.
- Więc dlaczego miasto nigdy do niego nie dociera?
- Dociera od czasu do czasu – odrzekł Collings. – Ale nigdy nie może zbyt długo tam pozostać, gdyż ziemia usuwa się na południe.

Tory sięgały około mili na północ od miasta. Kiedy Helward i Collings podeszli bliżej, zobaczyli, że jeden z kabli jest holowany w stronę wyciągów. W ciągu najbliższego dnia albo dwóch miasto znów miało się przemieścić.

Przeprowadzili konia przez tory i powędrowali w stronę miasta. Po jego północnej stronie znajdował się wlot ciemnego tunelu biegnącego pod miastem, który stanowił jedyne oficjalne wejście.

Helward towarzyszył Collingsowi aż do stajni.

– Żegnaj, Helwardzie.

Helward serdecznie uścisnął wyciągniętą dłoń Collingsa.

– Zabrzmiało jak ostateczne pożegnanie – zauważył.

Collings obojętnie wzruszył ramionami.

– Przez jakiś czas nie będziemy się widywać. Powodzenia, synu.

– Dokąd pan się udaje?

– Nie ja, ale ty. Uważaj na siebie i wykorzystaj swoją szansę.

Zanim Helward zdążył odpowiedzieć, mężczyzna odwrócił się i pośpiesznie wszedł do stajni. Helward przez chwilę miał ochotę pójść za nim, ale intuicja podpowiedziała mu, że to nie ma sensu. Może Collings powiedział mu już więcej, niż powinien.

Z mieszanymi uczuciami Helward ruszył tunelem do windy i zaczął na kabinę. Wjechał prosto na czwarty poziom, żeby odnaleźć Victorię. Nie było jej w ich pokoju, więc zszedł do fabryki syntetyków. Jego żona była w ciąży już od ponad osiemnastu mil, ale zamierzała pracować tak długo, jak to będzie możliwe.

Kiedy go zobaczyła, odeszła od swojego stanowiska i razem wrócili do pokoju. Mieli dwie godziny do spotkania Helwarda z Badaczem

Clausewitzem i spędzili ten czas na błahych rozmowach. Później, kiedy otwarto drzwi prowadzące na platformę, wspięli się na nią na kilka minut.

O wyznaczonej godzinie Helward wszedł na siódmy poziom i dostał się do bloku cechowego. Zdążył poznać tę część miasta, ale rzadko w niej bywał, więc wciąż czuł się nieco onieśmielony w obecności starszych członków cechów oraz Nawigatorów.

Clausewitz czekał w sali cechowej Badaczy Przyszłości. Był sam. Kiedy Helward wszedł, przywitał go serdecznie i poczęstował winem.

W sali Badaczy znajdowało się niewielkie okno wychodzące na północ. Helward widział przez nie wznoszący się teren, na którym pracował w ciągu ostatnich kilku dni.

– Sprawnie się wdrożyłeś, uczniu Mann.

– Dziękuję.

– Jesteś gotowy, żeby zostać Badaczem Przyszłości?

– Tak jest.

– Dobrze... ze strony cechu nie widzę żadnych przeciwwskazań. Cechy wysoko oceniły twoją pracę.

– Oprócz Sił Zbrojnych – odrzekł Helward.

– Tym nie musisz się przejmować. Nie każdy nadaje się do wojskowego życia.

Helward odetchnął z ulgą; obawiał się, że cech dowie się o jego niepowodzeniach w Siłach Zbrojnych.

– Celem tej rozmowy jest poinformowanie cię, co się wydarzy dalej – ciągnął Clausewitz. – Wciąż musisz poświęcić trzy mile na terminowanie w naszym cechu, ale sądzę, że to będzie tylko formalność. Przedtem jednak musisz opuścić miasto. To część twojego szkolenia. Zapewne nie będzie cię przez dłuższy czas.

– Mogę spytać, jak długo?

– Trudno powiedzieć. Z pewnością przez wiele mil. Może tylko dziesięć albo piętnaście, ale niewykluczone, że nawet sto.

– Ale Victoria...

– Tak, wiem, że jest w ciąży. Kiedy ma termin porodu?

– Za około dziewięć mil – odpowiedział Helward.

Clausewitz zmarszczył czoło.

– Obawiam się, że cię wtedy nie będzie. Nie ma innego wyjścia.

– Ale czy nie można tego przełożyć na później?

– Przykro mi, ale nie. Musisz wykonać pewne zadanie. Powinieneś już wiedzieć, że od czasu do czasu musimy negocjować sprowadzenie do miasta kobiet z zewnątrz. Odprawiamy je najszybciej jak się da, ale i tak rzadko przebywają w mieście krócej niż przez trzydzieści mil. Częścią umowy jest zapewnienie im bezpiecznego powrotu do ich osad. Właśnie chcą nas opuścić trzy kobiety. Zgodnie ze zwyczajem odprowadzają je uczniowie. Obecnie uważamy, że to ważna część szkolenia.

Natura pracy Helwarda zmusiła go do nabrania większej pewności siebie.

– Proszę pana, moja żona spodziewa się swojego pierwszego dziecka. Muszę być przy niej.

– To wykluczone.

– A jeśli odmówię opuszczenia miasta?

– Pokażemy ci tekst przysięgi, którą złożyłeś, a ty będziesz musiał przyjąć nakazaną karę.

Helward otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale się zawahał. To z pewnością nie była właściwa chwila na kwestionowanie ważności przysięgi. Badacz Clausewitz wyraźnie się hamował, ponieważ, usłyszawszy sprzeciw Helwarda, aż poczerwieniał na twarzy. Usiadł i położył otwarte dłonie na blacie. Helward postanowił, że nie zdradzi się ze swoimi przemyśleniami.

– Czy mogę się odwołać do pańskiego rozsądku? – spytał.

– Możesz, ale nie wolno mi się kierować rozsądkiem. Przysięgłeś przedkładać bezpieczeństwo miasta nad wszelkie inne sprawy, a szkolenie cechowe to kwestia bezpieczeństwa miasta. Koniec dyskusji.

– Ale z pewnością moją misję można opóźnić. Mógłbym wyruszyć zaraz po przyjściu dziecka na świat.

– Nie. – Clausewitz się obrócił i przyciągnął do siebie duży arkusz, który częściowo pokrywała mapa, a częściowo kilka kolumn liczb. – Te kobiety muszą wrócić do swoich osad. Jeżeli oddalimy się od nich o kolejne dziewięć mil, które pokonamy, zanim twoja żona urodzi dziecko, osady znajdują się w niebezpiecznie dużej odległości. Już w tej chwili są położone o ponad czterdzieści mil na południe. Po prostu jesteś kolejnym uczniem z listy i musisz wykonać zadanie.

– Czy to pańskie ostatnie słowo?

– Tak.

Helward odstawił nietknięty kieliszek wina i ruszył do wyjścia.

– Helwardzie, zaczekaj.

Przystanął przy drzwiach.

– Skoro mam wyruszyć, chciałbym się zobaczyć z żoną.

– Masz jeszcze kilka dni. Wyjedziesz za pół mili.

Pięć dni. To prawie nic.

– O co chodzi? – spytał Helward, który już nie czuł potrzeby okazywania zwyczajowej grzeczności.

– Usiądź, proszę.

Helward niechętnie usłuchał.

– Nie myśl, że jestem potworem, ale tak się składa, że ta wyprawa pokaże ci, dlaczego niektóre ze zwyczajów panujących w mieście mogą się wydawać nieludzkie. To nasze zasady, które są nam narzucane. Rozumiem twoją troskę o... Victorię, ale musisz wyruszyć do przeszłości. Nie ma lepszego sposobu na to, żebyś zrozumiał położenie miasta. To, co znajduje się na południu, stanowi przyczynę, dla której składamy przysięgę i stosujemy się do tych pozornie barbarzyńskich reguł. Jesteś wykształconym człowiekiem, Helwardzie... czy znasz jakąkolwiek cywilizowaną kulturę, która kupowała kobiety tylko po to, żeby uzyskać od nich pojedyncze dziecko? A następnie, po zakończeniu ciąży, odsyłała te kobiety z powrotem?

– Nie, proszę pana. – Helward zamilkł. – Nie licząc...



– Nie licząc prymitywnych dzikich plemion, które praktykowały gwałt i łupiestwo. Cóż, może jesteśmy od nich nieco lepsi, jednak nasze zasady są równie dzikie. To handel jednostronny, chociaż może się wydawać inaczej. Proponujemy transakcję, narzucamy własne warunki, płacimy i odchodzimy w swoją stronę. Musisz zrobić to, co ci nakazuję; opuszczenie żony w czasie, gdy najbardziej cię potrzebuje, to tylko jedno drobne nieludzkie zachowanie, jakie wynika ze stylu życia, który sam w sobie jest nieludzki.

– Jedno nie usprawiedliwia drugiego – odparł Helward.

– Nie... masz rację. Ale wiąże cię złożona przysięga. Bierze ona początek z głównych przyczyn naszych nieludzkich zasad, a kiedy złożysz tę osobistą ofiarę, zrozumiesz wszystko lepiej.

– Proszę pana, miasto powinno zmienić obowiązujące zasady.

– Przekonasz się, że to niemożliwe.

– Udając się ku przeszłości?

– Wiele stanie się dla ciebie jasne. Nie wszystko. – Clausewitz wstał. – Helwardzie, jak dotąd jesteś dobrym uczniem. Przewiduję, że w ciągu kolejnych mil dalej będziesz ciężko pracował dla miasta. Masz dobrą i piękną żonę; masz po co żyć. Przyrzekam, że nie grozi ci śmierć. O ile mi wiadomo, nigdy nie wykonano kary, o której wspomina przysięga, ale proszę, żebyś wykonał zadanie, jakie nakłada na ciebie miasto, i żebyś uczynił to natychmiast. Ja również kiedyś to zrobiłem, tak samo jak twój ojciec... oraz wszyscy inni członkowie cechów. Nawet w tej chwili siedmiu twoich kolegów – sami uczniowie – przebywa w przeszłości. Muszą stawić czoło podobnym osobistym trudnościom i nie wszyscy chętnie na to przystali.

Helward uścisnął dłoń Clausewitza i poszedł poszukać Victorii.

Pięć dni później Helward był gotów ruszyć w drogę. Ani przez chwilę nie wątpił, że to zrobi, ale nie było łatwo wytłumaczyć tego Victorii. Chociaż początkowo była przerażona, błyskawicznie zmieniła zdanie.

– Oczywiście musisz jechać. Nie używaj mnie jako wymówki.

– Ale co z dzieckiem?

– Nic mu nie będzie – odrzekła. – Co mógłbyś zrobić, gdybyś został w mieście? Sterczeć tutaj i działać wszystkim na nerwy? Lekarze się mną zajmą. To nie jest pierwsza ciąża, z jaką mają do czynienia.

– Ale... nie chcesz, żebym był przy tobie? – spytał.

Chwyła go za obie dłonie.

– Oczywiście, że tak. Ale pamiętaj, co mi mówiłeś. Wymogi przysięgi nie są tak surowe, jak ci się wydawało. Teraz wyjeżdżasz, ale kiedy wrócisz, nie będzie już więcej tajemnic. Mam tutaj mnóstwo pracy, a jeśli Handlowiec Collings nie kłamał w sprawie przysięgi, to będziesz mógł mi opowiedzieć o tym, co widziałeś.

Helward nie był pewien, co Victoria ma na myśli. Od pewnego czasu zwykł opowiadać jej o tym, co widział i robił poza miastem, ona zaś słuchała go z wielkim zaciekawieniem. Już nie uważał, że te rozmowy mogą mu zaszkodzić, ale martwiło go, że Victoria wciąż jest tym żywo zainteresowana, chociaż opowiadał jej głównie o rutynowych czynnościach.

Wskutek tego już nie widział powodu unikania podróży w przeszłość; ta perspektywa nawet go podniecała. Tak wiele słyszał o tym miejscu, przeważnie sugestie i pogłoski, a teraz nadszedł czas, by wyruszył tam na własną rękę. Jase przebywał w przeszłości; być może się spotkają. Chciał go znów zobaczyć. Tak wiele się wydarzyło od czasu ich ostatniego spotkania. Czy w ogóle się rozpoznają?

Victoria nie przyszła popatrzeć, jak wyrusza w drogę. Kiedy wychodził z pokoju, wciąż leżała w łóżku. W nocy czule i delikatnie się kochali, żartując, że chcą, by „wystarczyło im na dłużej”. Przywarła do niego kurczowo, gdy pocałował ją na pożegnanie, a kiedy zamknął drzwi i wyszedł na korytarz, miał wrażenie, że słyszy jej szloch. Zatrzymał się, zastanawiając się, czy nie powinien wrócić, ale po chwili wahania odszedł. Nie widział sensu w przedłużaniu tej sytuacji.

Clausewitz czekał na niego w sali Badaczy. W jednym kącie ułożono skromny ekwipunek, a na stole rozpostarto dużą mapę. Clausewitz zachowywał się inaczej niż podczas wcześniejszej rozmowy. Gdy tylko Helward wszedł do pomieszczenia, zaprowadził go do biurka i wytłumaczył, na czym polega zadanie.

– Oto mapa kombinowana terenów położonych na południe od miasta. Jest oparta na skali liniowej. Wiesz, co to znaczy?

Helward pokiwał głową.

– Dobrze. Jeden cal odpowiada mniej więcej jednej mili... ale liniowo. Miasto obecnie znajduje się tutaj, a osada, którą musisz odnaleźć, jest położona tutaj. – Clausewitz wskazał skupisko czarnych kropek po drugiej stronie mapy. – Na tę chwilę to dokładnie czterdzieści dwie mile od nas. Kiedy opuścisz miasto, odkryjesz, że odległości są mylące, podobnie jak kierunki. Najlepsza rada, jakiej mogę ci udzielić i której udzielamy wszystkim naszym uczniom, to podążanie za śladami miasta. Kiedy wyruszysz na południe, to będzie twój jedyny kontakt z miastem i jedyny sposób na odnalezienie drogi powrotnej. Otwory wykopane pod podkłady i fundamenty wciąż będą widoczne. Zrozumiałeś?

– Tak jest.

– Podejmujesz tę podróż z jednego głównego powodu. Musisz się upewnić, że kobiety, które powierzamy twojej opiece, bezpiecznie trafią do swojej wioski. Kiedy tego dopilnujesz, niezwłocznie wracaj.

Helward zaczął liczyć w myślach. Wiedział, ile zajmuje mu pokonanie pieszo jednej mili... zaledwie kilka minut. Przez cały dzień marszu w upale był w stanie przejść co najmniej dwanaście mil; w towarzystwie kobiet,

które będą go spowalniały, połowę tego dystansu. Sześć mil dziennie, zatem dotrze do wioski w ciągu siedmiu dni, a powrót zajmie mu trzy albo cztery. W najlepszym wypadku wróci za dziesięć dni... czyli za jedną milę, gdyż w mieście w ten sposób odmierzano czas. Zaczął się zastanawiać, dlaczego powiedziano mu, że nie zdąży wrócić na narodziny swojego dziecka. Co powiedział Clausewitz? Że wyprawa potrwa dziesięć albo piętnaście mil... może nawet sto? To nie miało sensu.

– Będziesz potrzebował jakiegoś sposobu na odmierzanie odległości, żebyś się zorientował, kiedy znajdziesz się w okolicy osady. Pomiędzy miastem a osadą znajdują się trzydzieści cztery miejsca, w których ustawialiśmy wyciągi. Na mapie oznaczono je jako linie proste przecinające tory. Nie powinieneś mieć problemu z ich odszukaniem; chociaż potem w tych samych miejscach kładziono tory, na ziemi pozostały charakterystyczne ślady. Trzymaj się lewego zewnętrznego toru, czyli, idąc na południe, pierwszego z prawej. Osada znajduje się właśnie po tej stronie.

– Kobiety z pewnością rozpoznają okolicę, w której mieszkały? – odezwał się Helward.

– Zgadza się. A oto ekwipunek, którego będziesz potrzebował. Radzę ci zabrać wszystko. Nie sądź, że coś ci się nie przyda – wiemy, co robimy. Wszystko jasne?

Helward ponownie potwierdził, że rozumie. Potem razem z Clausewitzem zrobił przegląd sprzętu. W jednym z plecaków znajdowały się tylko żywność w proszku i dwie duże manierki z wodą. Drugi plecak zawierał namiot i cztery śpiwory. Poza tym w skład ekwipunku weszły haki oraz wytrzymała lina, para butów podbitych metalowymi ćwiekami... i rozkładana kusza.

– Masz jakieś pytania, Helwardzie?

– Raczej nie, proszę pana.

– Jesteś pewien?

Helward ponownie popatrzył na stertę sprzętu. Spodziewał się, że dźwiganie go będzie piekielnie uciążliwe, chyba że kobiety mu pomogą, a

na widok jedzenia w proszku poczuł skurcz w żołądku...

– Nie mógłbym sam organizować sobie pożywienia? – spytał. – Syntetyczne jedzenie mi nie smakuje.

– Radzę ci, żebyś nie jadł niczego poza tym, co się znajduje w plecakach. Jeśli będziesz musiał, możesz uzupełnić zapas wody, ale tylko z bieżącego źródła. Jeśli zjesz cokolwiek, co rośnie poza miastem, zapewne się rozchorujesz. Jeżeli mi nie wierzysz, możesz spróbować. Ja tak zrobiłem, kiedy wyruszyłem w przeszłość, i chorowałem przez dwa dni. To nie jest niesprawdzona teoria, tylko rada oparta na konkretnych doświadczeniach.

– Przecież w mieście jadały żywność pochodzącą spoza miasta.

– Miasto znajduje się niedaleko optimum, a ty wybierasz się daleko na południe.

– Jedzenie się wtedy zmienia?

– Tak. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Nie.

– Dobrze. Ktoś chciałby się z tobą zobaczyć, zanim wyruszysz.

Wskazał jedno z wewnętrznych drzwi i Helward przez nie przeszedł. Po drugiej stronie znajdowało się mniejsze pomieszczenie, a w nim czekał jego ojciec.

Helward w pierwszej chwili zareagował zaskoczeniem, a potem niedowierzaniem. Ostatnio widział się z ojcem nie więcej niż dziesięć dni temu, gdy ten wybierał się na północ. Helward miał wrażenie, że przez ten krótki okres ojciec gwałtownie i straszliwie się postarzał. Kiedy wszedł do pokoju, ojciec wstał, niepewnie przytrzymując się oparcia krzesła. Odwrócił się z trudem w stronę Helwarda. Całe jego zachowanie było naznaczone starością: stał przygarbiony, ubranie nieładnie na nim zwisało, a dłoń, którą wyciągnął, drżała.

– Helwardzie! Jak się miewasz, synu?

Jego zachowanie również się zmieniło. Nie pozostała w nim ani odrobina rezerwy, do której Helward tak bardzo przywykł.

– Ojciec... co słychać?

– Wszystko w porządku, synu. Lekarz mówi, że muszę się oszczędzać. O jeden raz za dużo wybrałem się na północ. – Ugiął kolana, a Helward odruchowo podszedł i pomógł mu usiąść. – Powiedzieli, że wyruszasz do przeszłości. Czy to prawda?

– Tak, ojcze.

– Bądź ostrożny, synu. Zobacysz tam wiele rzeczy, które dają do myślenia. Inaczej niż w przyszłości... to moje miejsce.

Clausewitz wszedł do pomieszczenia za Helwardem i stanął w progu.

– Helwardzie, powinieneś wiedzieć, że twój ojciec otrzymał zastrzyk.

Helward odwrócił się od ojca.

– O czym pan mówi? – spytał.

– Wrócił do miasta wczoraj wieczorem, uskarżając się na bóle w klatce piersiowej. Zdiagnozowano u niego dusznicę i podano środek przeciwbólowy. Powinien leżeć w łóżku.

– W porządku. Nie zajmę mu dużo czasu.

Helward uklęknął na podłodze obok krzesła.

– Czy teraz czujesz się dobrze, ojcze?

– Już ci mówiłem... nic mi nie jest. Nie martw się o mnie. Co u Victorii?

– Wszystko w porządku.

– To dobra dziewczyna.

– Powiem jej, żeby cię odwiedziła – obiecał Helward.

Strasznie było oglądać ojca w takim stanie. Helward nie miał pojęcia, że tak się zestarzał... przecież nie wyglądał tak jeszcze kilka dni wcześniej. Co się z nim stało w tym czasie? Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, ale wkrótce ojciec zaczął mieć kłopoty ze skupieniem uwagi. W końcu zamknął oczy, a Helward wstał.

– Przyprawdę lekarza – powiedział Clausewitz i pośpiesznie wyszedł.

Kiedy wrócił kilka minut później, towarzyszyło mu dwóch kierowników medycznych. Ostrożnie podnieśli staruszka i wynieśli na korytarz, gdzie czekały nosze na kółkach okryte białym materiałem.

– Nic mu nie będzie? – spytał Helward.

– Ma zapewnioną dobrą opiekę, tylko tyle mogę powiedzieć.

– Wygląda tak staro – rzucił Helward bez namysłu.

Clausewitz także był zaawansowany wiekiem, ale cieszył się znacznie lepszym zdrowiem niż ojciec Helwarda.

– Ryzyko zawodowe – stwierdził Clausewitz.

Helward posłał mu ostre spojrzenie, jednak Clausewitz nie powiedział nic więcej, tylko podniósł podkute buty i podał Helwardowi.

– Proszę... przymierz.

– Mój ojciec... czy przekaże pan Victorii, żeby go odwiedziła?

– Nie przejmuj się. Zajmę się tym.

Helward pojechał windą na drugi poziom, pakując ze sobą do kabiny plecaki i sprzęt. Kiedy winda się zatrzymała, wcisnął guzik blokujący drzwi i poszedł do pokoju, do którego skierował go Clausewitz. Tam zastał cztery kobiety i jednego mężczyznę. Gdy wszedł do pomieszczenia, zdał sobie sprawę, że tylko mężczyzna oraz jedna z kobiet są kierownikami.

Przedstawiono go pozostałym trzem kobietom, ale one tylko na niego zerknęły i zaraz odwróciły wzrok. Z ich twarzy wyczytał skrywaną wrogość, stłumioną przez obojętność, jaką sam do tej pory również odczuwał. Dopóki nie wszedł do tego pomieszczenia, nie zastanawiał się, kim będą te kobiety, ani nawet jak będą wyglądały. Nie rozpoznawał żadnej z nich, ale kiedy wcześniej słuchał, jak Clausewitz o nich opowiada, w myślach kojarzył je z kobietami z osad, które odwiedzał podczas wypraw na północ z Handlowcem Collingsem. Tamte kobiety w większości były chude i blade, miały zapadnięte oczy i wystające kości policzkowe, patykowate ręce i płaskie klatki piersiowe. Żałosne wioskowe biedaczki najczęściej ubierały się w brudne łachmany, a po ich twarzach chodziły muchy.

Te trzy kobiety w niczym ich nie przypominały. Nosiły eleganckie, dopasowane miastowe stroje, miały czyste i zgrabnie ostrzyżone włosy, pełne, zaokrąglone kształty i jasne spojrzenia. Helward ledwie zdołał ukryć zaskoczenie, gdy zobaczył, że są bardzo młode: niewiele starsze od niego. Mieszkańcy miasta mówili o kobietach kupowanych poza miastem tak, jakby były dojrzałe... tymczasem to były dopiero dziewczyny.

Zdawał sobie sprawę, że bacznie się im przypatruje, lecz one nie zwracały na niego uwagi. Najbardziej uderzyło go wzbierające podejrzenie, że te trzy kobiety kiedyś przypominały biedaczki, które widywał w wioskach, a sprowadzenie do miasta pozwoliło im tymczasowo odzyskać



zdrowie i piękno, które mogłyby być ich udziałem, gdyby nie przyszły na świat w ubóstwie.

Kierowniczka pokrótce opowiedziała mu o ich pochodzeniu. Miały na imię Rosario, Caterina i Lucia. Znały odrobinę angielskiego. Każda z nich przebywała w mieście przez ponad czterdzieści mil i urodziła jedno dziecko. Na świecie pojawili się dwaj chłopcy i jedna dziewczynka. Lucia – która urodziła jednego z chłopców – nie chciała zatrzymać dziecka, więc miało ono pozostać w mieście i wychować się w ochronce. Rosario postanowiła zabrać synka do osady. Caterina zaś nie miała wyboru... ale wydawało się, że utratę córeczki przyjęła z obojętnością.

Kierowniczka wyjaśniła Helwardowi, że Rosario ma otrzymywać tyle mleka w proszku, o ile poprosi, ponieważ wciąż karmi niemowlę. Pozostała dwójka miała jeść to samo co on.

Helward starał się uśmiechać przyjaźnie do trzech dziewcząt, ale one nie zwracały na niego uwagi. Kiedy chciał popatrzeć na dziecko Rosario, ta odwróciła się do niego plecami, zaborczo przytulając malca.

Kiedy już wszystko było jasne, dziewczęta zabrały swój skromny dobytek i razem ruszyli korytarzem w stronę windy. Wtłoczyli się do kabiny, a Helward uruchomił kluczem przycisk odpowiadający za zjazd na najniższy poziom.

Dziewczęta wciąż go ignorowały i rozmawiały między sobą we własnym języku. Kiedy drzwi windy otworzyły się, ukazując mroczne przejście pod miastem, Helward z trudem usunął ekwipunek z kabiny. Żadna z dziewcząt mu nie pomogła, tylko patrzyły na niego z rozbawionymi minami. Helward z trudem pozbierał bagaże i chwiejnie ruszył do południowego wyjścia.

Słońce na zewnątrz było oślepiająco jasne. Odstawił bagaże i się rozejrzał.

Od czasu jego ostatniej wizyty poza murami miasto się przemieściło, a ekipy robotników właśnie usuwały tory. Dziewczęta osłoniły oczy i powiodły wkoło wzrokiem. Zapewne po raz pierwszy od dnia przybycia zobaczyły, co znajduje się poza miastem.

Niemowlę na rękach Rosario zaczęło płakać.

– Pomożecie mi z tym? – spytał Helward. Miał na myśli stertę jedzenia i sprzętu. Dziewczęta popatrzyły na niego bez zrozumienia. – Powinniśmy się podzielić bagażami.

Nie odpowiedziały, więc przykucnął i otworzył plecak z prowiantem. Uznał, że nie powinien dodatkowo obciążać Rosario, więc zapakował jedzenie do trzech paczuszek, które rozdzielił między siebie i pozostałe dwie kobiety. Lucia i Caterina niechętnie znalazły miejsce na dodatkowe pakunki w swoich torbach podróżnych. Najbardziej nieporęczną częścią bagażu była lina, dlatego Helward zwinął ją w ciaśniejszy zwój i wepchnął do plecaka. Haki udało mu się zmieścić do torby z namiotem i śpiworami. Teraz mógł łatwiej poradzić sobie ze swoim bagażem, chociaż ten stał się niewiele lżejszy. Pomimo ostrzeżeń Clusewitza Helward miał ochotę pozbyć się większości ekwipunku.

Niemowlę wciąż płakało, a Rosario najwyraźniej się tym nie przejmowała.

– Chodźcie – powiedział z irytacją.

Ruszył na południe wzdłuż torów, a dziewczęta po chwili podążyły za nim. Trzymały się razem, kilka jardów za jego plecami.

\* \* \*

Helward próbował utrzymywać szybkie tempo marszu, ale po godzinie zrozumiał, że jego szacunki dotyczące tego, jak długo potrwa wyprawa, były nadmiernie optymistyczne. Dziewczęta szły powoli, głośno narzekając na upał i nierówny teren. Buty, które otrzymały, rzeczywiście nie nadawały się do wędrówki w tak trudnych warunkach, jednak upał w równej mierze dokuczał Helwardowi. Cechowy mundurek i masywny bagaż sprawiały, że było mu nieprzyjemnie gorąco.

Wciąż widzieli za sobą miasto, skwar południa dopiero się zbliżał, a dziecko nie przestawało płakać. Jediną ulgą dla Helwarda było kilka chwil rozmowy z Malchuskinem. Torowi byli zachwyceni jego widokiem –

choć mieli pełno skarg co do jego najemnych robotników – i życzyli mu powodzenia podczas wyprawy.

Dziewczęta jak zwykle nie czekały na Helwarda, więc po kilku minutach rozmowy z Malchuskinem musiał pośpiesznie udać się ich śladem.

W końcu postanowił zarządzić odpoczynek.

– Nie możesz czegoś zrobić, żeby przestał płakać? – zapytał Rosario.

Dziewczyna posłała mu nieprzychylnie spojrzenie i usiadła na ziemi.

– Dobrze – odpowiedziała. – Nakarmię.

Popatrzyła na niego wyzywająco, a pozostałe dwie dziewczyny stanęły u jej boku. Helward zrozumiał aluzję, odsunął się i odwrócił plecami, gdy Rosario karmiła synka.

Później otworzył jedną z manierek z wodą i podał ją dziewczętom. Panował potworny upał, a Helward był w równie złym nastroju co jego podopieczni. Zdjął bluzę od mundurka i położył ją na jednym z bagaży. Choć przez to paski plecaka mocniej wrzynały mu się w ramiona, zrobiło mu się nieco chłodniej.

Chciał jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Niemowlę zasnęło, a dwie dziewczyny sporządziły prowizoryczną kołyskę, niosąc między sobą jeden ze śpiworów. Helward musiał przejąć od nich bagaże, ale chociaż przytłaczał go ich ciężar, chętnie przyjął na siebie dodatkowe niewygody w zamian za upragnioną ciszę.

Szli pół godziny, po czym Helward zorganizował kolejny postój. Cały spływał potem i wcale nie pocieszała go świadomość, że dziewczętom jest równie gorąco.

Zerknął na słońce. Wisiało niemal dokładnie nad jego głową. Niedaleko miejsca, w którym stali, znajdowała się skalna wychodnia. Helward usiadł w jej cieniu. Dziewczęta do niego dołączyły, cały czas narzekając na coś w swoim języku. Helward żałował, że nie zadał sobie więcej trudu, by nauczyć się ich mowy; potrafił zrozumieć tylko pojedyncze zwroty, jednakże ku swemu zdziwieniu odkrył, że to właśnie jego dotyczy większość ich utyskiwań.

Otworzył paczkę z jedzeniem w proszku i dodał wody z manierki. Otrzymał szarą zupę, która wyglądała i smakowała jak kwaśna owsianka. Czerpał perwersyjną przyjemność z nowej fali narzekań... tym razem były uzasadnione, a on nie miał zamiaru dać im satysfakcji i przyznać, że się z nimi zgadza.

Dziecko wciąż spało, ale było niespokojne z powodu upału. Helward podejrzewał, że obudziłoby się, gdyby ponownie wyruszyli, dlatego, kiedy dziewczęta ułożyły się na ziemi, żeby się zdrzemnąć, nie próbował ich od tego odwieść.

Podczas odpoczynku Helward wpatrywał się w miasto, wciąż wyraźnie widoczne z odległości kilku mil. Uświadomił sobie, że nie zwracał uwagi na ślady po wyciągach. Jak dotąd powinni minąć dopiero jedno takie miejsce, ale Helward już rozumiał, co Clausewitz miał na myśli, gdy powiedział, że miasto zostawiło po sobie charakterystyczne blizny. Przypomnił sobie, że kilka minut przed postojem przechodzili obok takich śladów. Po podkładach zostały płytkie zagłębienia o długości pięciu stóp i szerokości dwunastu cali, lecz w miejscach, w których stały wyciągi, znajdowały się głębokie doły otoczone poruszoną glebą.

Odnotował w myślach pierwsze skupisko śladów. Pozostało ich jeszcze trzydzieści siedem.

Mimo że wędrowali powoli, nie widział powodu, dla którego nie miałby wrócić do miasta na narodziny swojego dziecka. Po odprowadzeniu kobiet do wioski będzie mógł utrzymywać szybkie tempo, niezależnie od nieprzyjaznych warunków.

Postanowił pozwolić dziewczętom na godzinny odpoczynek, a kiedy ocenił, że ten czas minął, podniósł się i stanął nad nimi.

Caterina otworzyła oczy i na niego popatrzyła.

– Chodźcie – powiedział. – Chcę ruszyć dalej.

– Jest za gorąco.

– Macie pecha – odparł. – Idziemy.

Wstała, starannie się przeciągając, a następnie powiedziała coś do swoich towarzyszek. One również wstały z podobnym ociąganiem, a

Rosario poszła do dziecka. Ku rozczarowaniu Helwarda obudziła je i podniosła... ale na szczęście płacz się nie rozległ. Helward wręczył Caterinie i Lucii dwie torby podróżne i podniósł własne dwa bagaże.

Kiedy wyszli z cienia, spadł na nich żar słońca i już po kilku sekundach zapomnieli o odpoczynku. Po zaledwie kilku jardach Rosario podała dziecko Lucii.

Wróciła do skał i za nimi zniknęła. Helward chciał zapytać, dokąd poszła... ale po chwili zrozumiał. Kiedy wróciła, jej śladem poszła Lucia, a następnie Caterina. Helward poczuł, że znów ogarnia go gniew. Rozmyślnie opóźniały wymarsz. On również czuł parcie na pęcherz, tym większe, że widział, co robią dziewczęta, ale złość i duma nie pozwalały mu sobie ulżyć. Postanowił zaczekać.

Szli dalej. Dziewczęta pozbyły się kurtek, które stanowiły typowy miejski strój, i miały na sobie tylko spodnie i koszule. Cienki materiał, wilgotny od potu, przyklejał się do ich ciał. Helward patrzył na to z przygnębieniem, zdając sobie sprawę, że w innych okolicznościach potencjalnie mógłby uznać to zjawisko za ciekawe. Teraz jednak tylko odnotował, że każda z dziewcząt miała pełniejszą figurę od Victorii; zwłaszcza Rosario, z dużymi, rozkołysanymi piersiami o sterczących sutkach. W końcu jedna z dziewcząt zapewne zwróciła uwagę na jego ukradkowe spojrzenia, ponieważ wkrótce wszystkie zakryły się kurtkami. Helwardowi było wszystko jedno... chciał się ich tylko pozbyć.

– Mamy wodę? – spytała Lucia, podchodząc do niego.

Przez chwilę grzebał w plecaku, po czym wręczył jej manierkę. Napiała się, a potem zwilżyła dłonie i ochlapała wodą twarz i szyję. Rosario i Caterina zrobiły to samo. Widok i odgłos wylewanej wody sprawił, że pęcherz Helwarda ponownie dał o sobie znać. Helward się rozejrzał. Nie miał za czym się schować, więc tylko oddalił się o kilka jardów i oddał mocz na piasek. Za sobą usłyszał chichot dziewcząt.

Kiedy wrócił, Caterina oddała mu manierkę. Uniósł ją do ust, a wtedy dziewczyna niespodziewanie popchnęła ją od dołu, tak że woda zalała

Helwardowi nos i oczy. Dziewczęta zanosły się śmiechem, kiedy zaczął się krztusić i parskać. Niemowlę znów się rozplakało.

Przed wieczorem minęli jeszcze dwa ślady po wyciągach, aż w końcu Helward postanowił rozbić obóz na noc. Wybrał miejsce niedaleko kępy drzew, dwieście albo trzysta jardów od szram, które pozostawiły tory. W pobliżu płynął niewielki potok, a po sprawdzeniu czystości wody – mógł polegać tylko na swoim podniebieniu – Helward oznajmił, że można ją pić. Postanowił oszczędzać zapas wody w manierkach.

Rozstawienie namiotu było względnie proste i chociaż zabrał się do tego sam, dziewczęta pomogły mu skończyć. Ułożył w środku śpiwory, a Rosario poszła nakarmić dziecko.

Kiedy niemowlę zasnęło, Lucia pomogła Helwardowi przyrządzić syntetyczne jedzenie. Tym razem otrzymali pomarańczową zupę, która smakowała nie lepiej niż poprzednia. Podczas gdy jedli, zaszło słońce. Helward rozpałił niewielkie ognisko, ale wkrótce zerwał się zimny wiatr ze wschodu. W końcu musieli skryć się w namiocie i położyć w śpiworach, żeby się rozgrzać.

Helward próbował nawiązać rozmowę z dziewczętami, ale albo nie odpowiadały, albo chichotały, albo żartowały między sobą po hiszpańsku, więc wkrótce zarzucił ten pomysł. W plecaku znalazł kilka świeczek i leżał przy ich świetle przez godzinę bądź dwie, zastanawiając się, jaki zysk przyniesie miastu jego bezcelowa wyprawa.

W końcu zasnął, ale w nocy dwukrotnie budził go płacz dziecka. Raz dostrzegł na tle słabego światła docierającego z zewnątrz sylwetkę Rosario, która siedziała w śpiworze i karmiła malca.

Wstali wcześniej i niebawem wyruszyli. Helward nie był pewien, co się wydarzyło, ale nastrój dziewcząt wyraźnie uległ zmianie. Caterina i Lucia podśpiewywały podczas marszu, a na pierwszym postoju ponownie próbowały go oblać wodą. Odsunął się, żeby uniknąć zmoczenia, ale

potknął się o jakąś nierówność... i ku ich uciesze znów zaczął się krztusić oraz parskać. Tylko Rosario trzymała się na dystans, rozmyślnie ignorując Helwarda, podczas gdy Lucia i Caterina się z nim drażniły. Nie podobało mu się ich zachowanie – nie wiedział, jak na nie zareagować – ale wołał je od ponurego nastroju, jaki panował poprzedniego dnia.

Wraz z upływem czasu temperatura rosła, a dziewczęta stawały się coraz bardziej bez troskie. Żadna z nich nie miała już na sobie kurtki. Na kolejnym postoju Lucia rozpięła dwa górne guziki koszuli, Caterina zaś całkowicie rozpięła koszulę i związała jej poły w duży supeł, obnażając brzuch.

Helward już nie miał wątpliwości, w jaki sposób dziewczęta na niego działają. Im lepiej się poznawali, tym swobodniejsza stawała się atmosfera. Nawet Rosario przestała odwracać się do niego plecami, kiedy karmiła dziecko.

Ulgę od upału przyniósł zadrzewiony teren, przez który Helward kiedyś pomagał się przedostać ekipie układającej tory. Usiedli w cieniu, czekając, aż minie najgorszy skwar.

Minęli już pięć śladów po wyciągach: pozostały im trzydzieści trzy. Helwarda przestało frustrować powolne tempo ich wędrówki; zrozumiał, że szybszy marsz byłby niemożliwy, nawet gdyby podróżował samotnie. Teren był zbyt trudny, a słońce zbyt mocno prażyło.

Postanowił zaczekać dwie godziny w cieniu drzew. Rosario odsunęła się od reszty grupy i bawiła z dzieckiem. Caterina i Lucia siedziały razem pod drzewem. Zdjęły buty i cicho rozmawiały. Helward zamknął oczy na kilka minut, ale po chwili ogarnął go niepokój. Samotnie wyszedł z lasu i zbliżył się do śladów po czterech torach. Popatrzył w lewo i prawo, na północ i południe: szlak biegł prosto, lekko falując na wzniesieniach i w zagłębieniach, ale utrzymując stały kierunek.

Ciesząc się samotnością, stał tak przez dłuższą chwilę i marzył o tym, żeby pogoda się zmieniła i niebo chociaż na jakiś czas zasnuły chmury. Bił się z myślami, próbując zdecydować, czy nie byłoby lepiej odpoczywać w



ciągu dnia i podróżować nocą... ale w końcu doszedł do wniosku, że byłoby to zbyt ryzykowne.

Już miał wrócić między drzewa, gdy nagle zauważył jakiś ruch na południu, w odległości mniej więcej mili. Od razu czujnie przypadł do ziemi i ukrył się za pniakiem. Czekał.

Po chwili znów to zobaczył: ktoś szedł w jego stronę torami.

Helward przypomniał sobie o kuszy, która leżała złożona w jego plecaku... ale było za późno, żeby po nią wrócić. Kilka jardów od niego rósł krzew, więc się za niego wczołgał. Miał nadzieję, że w tej kryjówce pozostanie niezauważony.

Postać wciąż się zbliżała i po kilku minutach Helward ze zdumieniem zauważył, że mężczyzna ma na sobie mundurek ucznia cechu. Odruchowo chciał wyjść z ukrycia, ale zwalczył ten impuls i pozostał na miejscu.

Kiedy mężczyzna znajdował się w odległości niecałych pięćdziesięciu jardów, Helward go rozpoznał. To był Torrold Pelham, chłopak starszy od niego o kilka mil, który już dawno opuścił ochronkę.

Helward wyszedł z ukrycia.

– Torroldzie!

Pelham natychmiast uniósł kuszę i wycelował w Helwarda... po czym powoli opuścił broń.

– Torroldzie... to ja. Helward Mann.

– Boże, co ty tutaj robisz?

Obaj się roześmiali, uświadamiając sobie, że są tutaj z tego samego powodu.

– Ale wyrosłeś – powiedział Pelham. – Kiedy ostatnio cię widziałem, byłeś jeszcze dzieckiem.

– Byłeś w przeszłości? – spytał Helward.

– Tak. – Pelham popatrzył ponad jego ramieniem na północ.

– I co?

– Jest tam inaczej, niż myślałem.

– Co tam jest? – dopytywał Helward.

– Już jesteś w przeszłości. Czujesz to?

– Niby co?

Pelham przez chwilę mu się przyglądał.

– Tutaj nie jest tak źle. Ale to się czuje. Może jeszcze nie zauważyłeś.

Dalej na południu to szybko przybiera na sile.

– Co takiego? Mówisz zagadkami.

– Nie... po prostu nie sposób tego wyjaśnić. – Pelham ponownie zerknął na północ. – Blisko stąd do miasta?

– Kilka mil. Niedaleko.

– Co się z nim stało? Znaleźli jakiś sposób, żeby szybciej je przemieszczać? Nie było mnie tylko chwilę, a miasto pokonało znacznie większą odległość, niż się spodziewałem.

– Nie porusza się szybciej niż dotychczas.

– Tam jest strumień, nad którym zbudowano most. Kiedy to się stało?

– Jakies dziewięć mil temu.

Pelham pokręcił głową.

– To nie ma sensu.

– Straciłeś poczucie czasu, to wszystko.

Pelham nagle wyszczerzył zęby.

– Pewnie tak. Jesteś sam?

– Nie, mam ze sobą trzy dziewczyny.

– Jakie są?

– W porządku. Na początku trudno było nam się dogadać, ale coraz lepiej się poznajemy.

– Ładne?

– Niezłe. Chodź zobaczyć.

Helward wprowadził go między drzewa, aż dostrzegli dziewczęta.

Pelham zagwizdał.

– Hej... rzeczywiście niezłe. Czy... no wiesz?

– Nie.

Wrócili do szlaku.

– A zamierzasz? – spytał Pelham.

– Nie jestem pewien.

– Coś ci poradzę, Helwardzie... Jeśli zamierzasz to zrobić, zrób szybko. W przeciwnym razie będzie za późno.

– Co masz na myśli?

– Przekonasz się.

Pelham uśmiechnął się do niego wesoło, a następnie ruszył w dalszą drogę na północ.

\* \* \*

Helward od razu zapomniał o myślach i zamiarach, do których odnosił się Pelham. Rosario nakarmiła niemowlę przed wyruszeniem, a zaledwie kilka minut później dziecko obficie zwymiotowało.

Rosario przytuliła malca, łagodnie mu śpiewając. Lucia stała obok koleżanki i przemawiała do niej ze współczuciem. Helward się zmartwił, ponieważ gdyby dziecko poważnie zachorowało, musieliby wrócić do miasta. Jednakże torsje wkrótce minęły i malec się uspokoił.

– Chcesz iść dalej? – spytał Helward Rosario.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Si.

Szli teraz wolniej. Upał niewiele złagodniał i Helward kilkakrotnie pytał dziewczęta, czy chcą się zatrzymać. Za każdym razem zaprzeczały, ale dało się wyczuć, że między nimi coś się zmieniło. Zupełnie jakby zbliżyła ich do siebie jakaś drobna tragedia.

– Dzisiaj rozbijemy obóz – zapowiedział Helward. – Jutro cały dzień będziemy wypoczywać.

Dziewczęta się zgodziły, a kiedy Rosario ponownie nakarmiła synka, dziecko nie zwymiotowało.

Tuż przed zapadnięciem zmroku weszli na bardziej pagórkowaty i skalisty teren, aż w końcu stanęli przed rozpadliną, która sprawiła tyle kłopotów Budowniczym Mostów. Po moście nie było już prawie żadnego śladu, nie licząc dwóch dużych dziur obok krawędzi, w których znajdowały się fundamenty wież.

Helward pamiętał, że na północnym brzegu strumienia na dnie przepaści znajduje się obszar płaskiego gruntu, i poprowadził dziewczęta w dół.

Rosario i Lucia zajęły się dzieckiem, a Caterina pomogła Helwardowi rozstawić namiot. Kiedy rozkładali śpiwory w środku, nagle położyła dłoń na karku Helwarda i lekko pocałowała go w policzek.

Uśmiechnął się do niej.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Jesteś dobry dla Rosario.

Helward nie ruszał się z miejsca, mając nadzieję, że dziewczyna powtórzy pocałunek, ale Caterina wyczołgała się z namiotu i zawołała swoje towarzyszki.

Dziecko wyglądało lepiej i szybko zasnęło, gdy ułożono je w prowizorycznej kołysce wewnątrz namiotu. Rosario nic nie mówiła o dziecku, ale Helward wyczuwał, że jest mniej zmartwiona. Może to było zwykłe wzdęcie.

Wieczór był znacznie cieplejszy niż poprzednia noc i po posiłku wszyscy jeszcze przez pewien czas siedzieli przed namiotem. Lucia martwiła się o swoje stopy i stale je masowała, a pozostałe dziewczęta najwyraźniej traktowały jej problem poważnie. Pokazała Helwardowi duże odciski, które pojawiły się na zewnątrz dużych palców. Pozostałe kobiety również długo oglądały swoje stopy, skarżąc się, że są obolałe.

– Jutro bez butów – zarządziła Lucia.

Na tym rozmowa się skończyła.

Helward czekał przed namiotem, aż dziewczęta wczołgają się do środka. Poprzednia noc była chłodna, więc pomimo śpiworów wszystkie spały w ubraniach, ale dzisiaj zrobiło się tak ciepło i wilgotno, że nie mogło być o tym mowy. Helward, kierowany skromnością, postanowił się nie rozbierać i spać na śpiworze, ale gwałtownie rosnące zainteresowanie dziewczętami sprawiło, że fantazjował o tym, co one robią. Po kilku minutach wpełzł do namiotu. Paliły się świece.

Wszystkie trzy dziewczęta leżały w swoich śpiworach, ale sterta ubrań świadczyła o tym, że się rozebrały. Helward nic do nich nie powiedział, tylko zdmuchnął świece i niezdarnie rozebrał się po ciemku, upadając przy tym na podłogę. W końcu się położył, wyraźnie wyczuwając bliskość ciała Cateriny, która leżała w sąsiednim śpiworze. Długo nie mógł zasnąć, walcząc z gwałtownym objawem podniecenia. Victoria była bardzo daleko.

Kiedy się obudził, było już jasno. Przez chwilę bez powodzenia usiłował się ubrać bez wygrzebywania się ze śpiwora, aż w końcu nago wyszedł z namiotu i pośpiesznie włożył ubranie. Rozpalił ognisko i zaczął podgrzewać wodę na syntetyczną herbatę.

Na dnie rozpadliny było już ciepło i Helward ponownie się zastanowił, czy powinni ruszyć dalej, czy raczej zrobić dzień odpoczynku, tak jak obiecał.

Zagotował wodę i zaczął sączyć herbatę. Usłyszał ruch w namiocie. Po chwili na zewnątrz wyszła Caterina i ominęła Helwarda, kierując się do strumienia. Powiódł za nią wzrokiem: miała na sobie tylko koszulę, rozpiętą i rozchyloną, oraz spodnie. Kiedy dotarła do wody, odwróciła się i pomachała do niego.

– Chodź! – zawołała.

Helward nie potrzebował dodatkowej zachęty. Dołączył do niej, czując się niezręcznie w swoim mundurku i podkutych butach.

– Pływamy? – spytała i, nie czekając na odpowiedź, zdjęła spodnie, po czym weszła do wody.

Helward obejrzał się w stronę namiotu: nikt się w nim nie poruszał.

Po kilku sekundach rozebrał się i ruszył ku niej, rozchlapując wodę. Caterina odwróciła się w jego stronę i szeroko się uśmiechnęła, widząc, jaką reakcję w nim wzbudziła. Ochlapała go wodą i odwróciła się tyłem. Helward skoczył na nią, objął ją rękami... i razem runęli do wody.

Caterina wyrwała się z jego objęć i wstała. Odbiegła poprzez pływającą, rozchlapując wodę na wszystkie strony. Helward podążył za nią i dogonił ją przy brzegu. Miała poważną minę. Otoczyła rękami jego szyję i przyciągnęła twarz Helwarda do swojej. Przez kilka chwil się całowali, a

potem wyszli na brzeg i położyli się w wysokiej trawie. Ponownie zaczęli się całować, tym razem bardziej namiętnie.

Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, ubrali i wrócili do namiotu, Rosario i Lucia akurat jadły żółty kleik. Nic nie powiedziały, ale Helward zobaczył, że Lucia uśmiechnęła się do Cateriny.

Po półgodzinie niemowlę znów zwymiotowało... a Rosario, która z troską trzymała je w ramionach, nagle wepchnęła dziecko w objęcia Lucii i pośpiesznie się oddaliła. Kilka chwil później usłyszeli, jak wymiotuje nad strumieniem.

– Dobrze się czujesz? – spytał Helward Caterinę.

– Tak.

Powąchał jedzenie, które jadły dziewczęta. Pachniało normalnie... mało apetycznie, ale nie sprawiało wrażenia zepsutego. Kilka minut później Lucia zaczęła narzekać na silne bóle brzucha i gwałtownie pobladła.

Caterina oddaliła się od grupy.

Helward był zrozpaczony. Jediną możliwością, jaka im pozostała, był powrót do miasta. Jeżeli ich jedzenie się popsuło, to jak mają przetrwać resztę podróży?

Po chwili Rosario wróciła do obozowiska. Błada i osłabiona usiadła w cieniu. Lucia dała jej trochę wody z manierki. Ona także była blada i trzymała się za brzuch, a dziecko nie przestawało wrzeszczeć. Helward nie był przygotowany na taką sytuację i nie miał pojęcia, co na to poradzić.

Poszedł poszukać Cateriny, która najwyraźniej nie odczuwała żadnych dolegliwości.

Znalazł ją po mniej więcej stu jardach. Szła dnem rozpadliny w stronę obozu z naręczem czerwonych jablek, które, jak powiedziała, zerwała z drzewa. Wyglądały na dojrzałe i Helward skosztował jednego. Było słodkie i soczyste... ale po chwili przypomniał sobie ostrzeżenie Clausewitza. Rozsądek podpowiadał mu, że Clausewitz się mylił, ale niechętnie oddał jabłko Caterinie, która je dokończyła.

Upiekli jeden z owoców w żarze ogniska, a następnie rozgnietli na papkę, którą powoli nakarmili niemowlę. Tym razem malec nie

zwymiotował i zaczął wydawać wesołe dźwięki. Rosario wciąż była zbyt słaba, żeby się nim zająć, więc Caterina położyła go w kołysce, gdzie po kilku minutach zasnął.

Lucia nie miała mdłości, ale przez większą część poranka bolał ją brzuch. Rosario szybciej wróciła do zdrowia i zjadła jedno z jabłek.

Helward dokończył żółte syntetyczne jedzenie... ale się po nim nie pochorował.

\* \* \*

Później tego samego dnia wspiał się na szczyt rozpadliny i przez pewien czas szedł wzdłuż jej północnej krawędzi. Tutaj, kilka mil w stronę przeszłości, ludzie oddali życie, żeby umożliwić miastu przeprawienie się ponad przepaścią. Rozpoznawał to miejsce, a chociaż zabrano większość sprzętu używanego przez robotników, długie dni i noce spędzone na pośpiesznej budowie mostu wciąż pozostawały żywe w jego pamięci. Popatrzył na południową stronę, w miejsce, w którym zbudowano przeprawę.

Rozpadlina wydawała się węższa niż poprzednio, a także płytsza. Może wtedy emocje spowodowały, że przeszkoda sprawiała poważniejsze wrażenie.

Ale nie... rozpadlina z pewnością była wówczas szersza.

Pamiętał, że kiedy miasto pokonywało most, ułożone na nim tory miały co najmniej sześćdziesiąt jardów długości. Teraz wydawało się, że przepaść w tym miejscu rozwiera się na zaledwie dziesięć jardów.

Długo wpatrywał się w drugą krawędź, nie rozumiejąc, jak to możliwe. Wreszcie coś mu przyszło do głowy.

Przeprawę zbudowano zgodnie ze szczegółowymi wymaganiami technicznymi; przez wiele dni pracował nad wieżami do podwieszenia mostu i wiedział, że po obu stronach stały one w dokładnie określonej odległości od siebie, żeby miasto mogło się między nimi zmieścić.



Ta odległość wynosiła około stu trzydziestu stóp, czyli czterdziestu kroków.

Podszedł do miejsca, w którym stała jedna z północnych wież, i ruszył w stronę jej bliźniaczki. Naliczył pięćdziesiąt osiem kroków.

Wrócił, powtarzając pomiar: tym razem odległość wyniosła sześćdziesiąt kroków.

Spróbował ponownie, stawiając dłuższe kroki: pięćdziesiąt pięć kroków.

Stojąc na skraju rozpadliny, popatrzył na strumień w dole. Dokładnie pamiętał, jak głęboka była przepaść, gdy budowano most. Kiedy wtedy stał w tym miejscu, jej dno znajdowało się przerażająco daleko; teraz mógł bez trudu zejść do obozowiska.

Uderzyła go kolejna myśl i powędrował na północ do miejsca, w którym stała rampa pozwalająca miastu zrównać się z poziomem gruntu. Ślady po czterech równoległych torach prowadzących na północ wciąż pozostawały wyraźnie widoczne.

Jeżeli dwie wieże znajdowały się dalej od siebie, to co z torami?

Dzięki długim godzinom pracy z Malchuskinem znał wszystkie szczegóły techniczne dotyczące torów oraz podkładów. Wiedział, że rozstaw toru wynosi trzy i pół stopy, a podkłady mają długość pięciu stóp, ale kiedy teraz patrzył na ślady po podkładach, widział, że są one znacznie większe. Dokonał pobieżnych pomiarów i oszacował, że ślady mają co najmniej siedem stóp długości i są płytsze niż powinny. Wiedział, że to niemożliwe: miasto korzystało ze standardowych podkładów, które zawsze umieszczano w otworach tej samej wielkości.

Dla pewności sprawdził jeszcze kilka śladów i odkrył, że wszystkie są o mniej więcej dwie stopy za długie.

Poza tym znajdowały się za blisko siebie. Ekipy układały podkłady w odległości czterech stóp... a nie osiemnastu cali, jak teraz było tutaj.

Spędził jeszcze kilka minut na podobnych pomiarach, a następnie niezdarnie zszedł na dno rozpadliny, przekroczył strumień (który obecnie

wydawał się węższy i płytszy niż wcześniej) i wspiał się na południową ścianę.

Także tutaj odległości między pozostałościami mostu wyraźnie nie zgadzały się ze stanem faktycznym.

Zaskoczony i poważnie zmartwiony wrócił do obozu.

Jego podopieczne wyglądały na zdrowsze, ale dziecko znów wymiotowało. Dziewczęta powiedziały mu, że jadły jabłka, które znalazła Caterina. Przeciął jedno z nich na pół i dokładnie mu się przyjrzał. Wyglądało tak samo jak inne jabłka, które dotychczas jadał. Znów nabrał ochoty, żeby je zjeść, ale oddał owoc Lucii.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

Clausewitz przestrzegał go przed spożywaniem miejscowego jedzenia; zapewne dlatego, że Helward pochodził z miasta. Clausewitz powiedział, że można jeść miejscowe pokarmy, kiedy miasto znajduje się w pobliżu optimum, ale tutaj, kilka mil na południe, to niemożliwe. Jeśli będzie jadł zapasy z miasta, nie zachoruje.

Ale dziewczęta... one nie pochodziły z miasta. Może to jego jedzenie im zaszkodziło. Mogły się nim żywić, kiedy przebywały niedaleko optimum, ale nie tutaj.

To miało sens, gdyby nie jeden wyjątek: niemowlę. Nie licząc kilku malutkich porcji jabłka, chłopiec nie jadł niczego poza mlekiem matki. Z pewnością ono nie mogło mu zaszkodzić?

Helward poszedł razem z Rosario, żeby obejrzeć dziecko. Leżało w kołysce, miało czerwoną buzię pokrytą śladami łez. W tej chwili nie płakało, ale było niespokojne. Helwardowi było żal tego drobnego stworzenia i zastanawiał się, jak może mu pomóc.

Lucia i Caterina czekały przed namiotem w dobrych nastrojach. Odezwały się do Helwarda, kiedy wyszedł, ale on je ominął i usiadł na brzegu strumienia. Wciąż rozmyślał o swoim nowym pomysle.

Dziecko żywiło się tylko mlekiem matki... Może ona też się zmieniła, gdy oddaliła się od optimum? Nie pochodziła z miasta, ale malec tam się urodził. Czy to może mieć znaczenie? Wydawało się, że to nie ma sensu –

przecież dziecko pochodzi z ciała matki – ale nie mógł wykluczyć takiej możliwości.

Wrócił do obozu i przyrządził trochę syntetycznego jedzenia i mleka w proszku, używając tylko wody, którą zabrał z miasta. Dał miksturę Rosario i poprosił, żeby spróbowała nakarmić nią synka.

Początkowo się sprzeciwiała, ale w końcu uległa. Dziecko zjadło i po dwóch godzinach spokojnie zasnęło.

Dzień mijał powoli. W rozpadlinie powietrze było nieruchome i ciepłe, a Helwarda znów ogarnęła frustracja. Zrozumiał, że jeśli jego podejrzenia są słuszne, to nie będzie mógł dawać dziewczętom swojego jedzenia. Jednakże pozostało im do pokonania co najmniej trzydzieści mil, a jego podopieczne nie mogły żywić się samymi jabłkami.

Później powiedział im o swoich przemyśleniach i zaproponował, żeby od tej chwili jadły tylko niewielkie porcje jego zapasów, uzupełniając posiłki o pokarmy, które uda im się znaleźć w okolicy. Sprawiały wrażenie zaskoczonych, ale się zgodziły.

Skwarne popołudnie trwało... a pobudzenie Helwarda udzieliło się dziewczętom. Stały się niefrasobliwe i śmiałe, żartowały z jego obszernego stroju. Caterina zapowiedziała, że znów idzie popływać, a Lucia postanowiła, że do niej dołączy. Rozebrały się na jego oczach, a następnie podeszły do niego z uśmiechem i kazały mu zdjąć ubranie. Długo pluskali się we trójkę w strumieniu, a później dołączyła do nich także Rosario, która najwyraźniej przestała traktować Helwarda podejrzliwie.

Przez resztę dnia opalali się obok namiotu.

Tej nocy, kiedy Helward zamierzał wejść do namiotu, Lucia ujęła go za rękę i wyprowadziła z obozowiska. Kochała się z nim namiętnie, przywierając do niego z całych sił, jakby był jedyną prawdziwą częścią jej świata.

\* \* \*

Rano Helward wyczuł przybierającą na sile zazdrość między Lucią i Cateriną, więc jak najszybciej zwinął obóz.

Przeprowadził dziewczęta przez strumień, a następnie na wyżej położony teren na południu. Kontynuowali podróż, podążając za lewym zewnętrznym torem. Helward rozpoznawał okolicę, gdyż miasto przejeżdżało przez te tereny, kiedy pracował na zewnątrz. W odległości około dwóch mil w kierunku południowym widział grzbiet wzniesienia, na które miasto musiało się wspinać podczas pierwszego wciągania, którego był świadkiem.

W połowie poranka zatrzymali się, żeby odpocząć, a wtedy Helward przypomniał sobie, że w odległości zaledwie dwóch mil na zachód znajduje się niewielka osada. Doszedł do wniosku, że gdyby zdołał zdobyć tam prowiant, problemy z jedzeniem dla dziewcząt zostałyby rozwiązane. Wspomniał im o tym.

Nie potrafili zdecydować, kto ma pójść. Helward czuł, że sam powinien się wybrać do osady, bo to był jego obowiązek, potrzebował jednak towarzystwa którejś z kobiet, ponieważ nie znał miejscowego języka. Nie chciał zostawiać tylko jednej dziewczyny z dzieckiem, ale miał wrażenie, że jeśli zabierze ze sobą Caterinę albo Lucię, to ta, która pozostanie, zacznie wyraźniej okazywać zazdrość. Ostatecznie stwierdził, że powinna mu towarzyszyć Rosario, a po reakcji, z jaką spotkała się jego decyzja, widział, że była słuszna.

Wyruszyli w kierunku, w którym znajdowała się wioska, i znaleźli ją bez trudu. Po długiej rozmowie Rosario z trzema mężczyznami z osady, otrzymali nieco suszonego mięsa i surowych zielonych warzyw. Poszło im zaskakująco łatwo – Helward zastanawiał się, jakich argumentów użyła Rosario – i wkrótce dołączyli do pozostałych dziewcząt.

Idąc kilka jardów za Rosario, Helward zauważył w niej coś, co wcześniej nie rzuciło mu się w oczy.

Miała masywniejszą budowę ciała niż pozostałe dwie dziewczyny, a jej ręce i twarz były zaokrąglone i mięsiste. Dziewczyna miała lekkie skłonności do tycia, ale Helward nagle odniósł wrażenie, że stało się to

bardziej zauważalne niż dotychczas. Początkowo z przelotnym zainteresowaniem, a potem z większą uwagą przyjrzał się jej koszuli, ciasno opinającej plecy. Jej ubrania wcześniej nie były tak obcisłe... Otrzymała je w mieście, gdzie dobrze na nią pasowały. Następnie Helward zwrócił uwagę na jej spodnie: mocno opinały siedzenie, ale nogawki ciągnęły się po ziemi. Co prawda Rosario szła bez butów, ale mimo wszystko nie pamiętał, żeby jej spodnie były tak długie.

Dogonił ją i przez chwilę szedł u jej boku.

Ciasna koszula opinała piersi... ale rękawy były za długie. Poza tym dziewczyna była znacznie niższa niż jeszcze poprzedniego dnia...

Kiedy dołączyli do pozostałych dziewcząt, Helward zauważył, że również na nich źle leżą ubrania. Caterina tak jak poprzednio miała koszulę związaną na brzuchu, ale Lucia się zapięła, a naprężony materiał rozłaził się między guzikami.

Helward usiłował nie myśleć o tym zjawisku, ale gdy wędrowali dalej na południe, stawało się ono coraz bardziej widoczne... i dawało komiczne efekty. Kiedy Rosario schyliła się do dziecka, jej spodnie pękły na pośladkach. Jeden z guzików Lucii odskoczył od koszuli, kiedy podniosła manierkę z wodą do ust, a koszula Cateriny pękła na obu szwach pod pachami.

Mniej więcej milę dalej Lucia straciła kolejne dwa guziki. Jej koszula była teraz niemal całkowicie rozpięta, więc związała ją w supeł tak samo jak Caterina. Wszystkie trzy dziewczęta podwinęły nogawki spodni i było wyraźnie widać, że jest im niewygodnie.

Helward zarządził postój w cieniu wzgórza i rozbili obóz. Kiedy zjedli posiłek, dziewczęta zdjęły podarte ubrania i weszły do namiotu. Wcześniej podrażniły się trochę z Helwardem: czy jego strój się nie podrze? Usiadł sam przed namiotem; jeszcze nie był śpiący, a poza tym nie miał ochoty siedzieć w środku z dziewczętami.

Dziecko zaczęło płakać i Rosario wyszła z namiotu, żeby przynieść mu coś do jedzenia. Helward się do niej odezwał, ale nie odpowiedziała. Patrzył, jak dodaje wodę do mleka w proszku, i bez cienia pożądania

obserwował jej nagie ciało. Widział ją nago ledwie poprzedniego dnia i był pewien, że wtedy tak nie wyglądała. Niemal dorównywała mu wzrostem, a teraz sprawiała wrażenie bardziej krępej i pulchnej.

– Rosario, czy Caterina jeszcze nie śpi?

Bez słowa pokiwała głową, po czym wróciła do namiotu. Kilka chwil później na zewnątrz wyszła Caterina, a Helward wstał.

Stanęli naprzeciwko siebie w blasku ogniska. Caterina się nie odzywała, a Helward nie wiedział, co powiedzieć.

Ona również się zmieniła... Po chwili dołączyła do nich Lucia i stanęła u boku Cateriny.

Teraz zyskał pewność. W ciągu dnia ich wygląd uległ zmianie.

Popatrzył na dziewczyny. Wczoraj, kiedy stały nagie nad strumieniem, były wysokie i smukłe, miały krągłe i pełne piersi.

Teraz obie miały krótsze i grubsze ręce oraz nogi. Ich barki i biodra stały się szersze, a piersi mniej krągłe i szerzej rozstawione. Twarze zaokrągliły się, a szyje skróciły.

Zbliżyły się i stanęły przed nim. Lucia chwyciła obiema rękami sprzączkę jego spodni. Miała wilgotne usta. Rosario patrzyła na to, stojąc w wejściu do namiotu.

Rano Helward zobaczył, że przez noc dziewczęta zmieniły się jeszcze bardziej.

Szacował, że obecnie żadna z nich nie przekracza pięciu stóp wzrostu. Mówiły szybciej niż dotychczas, a ich głosy brzmiały bardziej piskliwie.

Nie mogły włożyć ubrań. Lucia próbowała, ale nie udało się jej wcisnąć nóg w nogawki, a rękawy koszuli popękały.

Dziewczęta zostawiły ubrania w obozowisku i w dalszą drogę ruszyły nago.

Helward nie potrafił oderwać od nich wzroku. Z każdą godziną zmiany były coraz bardziej widoczne. Dziewczęta miały teraz tak krótkie nogi, że musiały stawiać drobne kroczyki, przez co Helward ledwie się włókł, nie chcąc zostawić ich w tyle. Poza tym zauważył, że, idąc, zaczęły coraz mocniej odchyłać się do tyłu.

One również go obserwowały, a kiedy zatrzymali się, żeby zaspokoić pragnienie, manierka krążyła między członkami ich dziwacznej grupy w niesamowitej ciszy.

Wokół siebie dostrzegali niewytłumaczalne zmiany scenerii. Pozostałości lewego zewnętrznego toru, za którym wciąż podążali, stały się niewyraźne. Ostatni wyraźny ślad po podkładzie, który widział Helward, miał ponad czterdzieści stóp długości i niecały cal głębokości. Sąsiedniego, lewego wewnętrznego toru, już nie było widać; odstęp między oboma torami stopniowo się zwiększał i obecnie wynosił ponad pół mili.

Ślady po wyciągach pojawiały się coraz częściej. Tego ranka minęli ich już dwanaście, więc według obliczeń Helwarda pozostało zaledwie dziewięć.

Ale jak ma rozpoznać osadę dziewcząt? Krajobraz był płaski i jednostajny. Miejsce, w którym odpoczywali, wypełniała jakby zastygła

lawa: nigdzie nie było cienia ani żadnej osłony. Helward uważniej przyjrzał się ziemi. Kiedy mocno naciskał na nią palcami, mógł robić w niej płytkie zagłębienia, ale sypka piaszczysta gleba była gęsta i lepka w dotyku.

Dziewczęta miały teraz nie więcej niż trzy stopy wzrostu i znacznie bardziej zniekształcone ciała. Miały płaskie i szerokie stopy, szerokie i krótkie nogi oraz krągłe i zbite tułowia. Stały się groteskowo brzydkie, a Helward odkrył, że pomimo fascynacji zmianami, jakie dotykały ich ciał, nie może znieść ich świergoczących głosów.

Tylko niemowlę się nie zmieniło. Wydawało się, że wciąż pozostaje takie samo. Jednakże w porównaniu ze swoją matką było teraz nieproporcjonalnie duże, a przysadzista Rosario patrzyła na nie z niewysłowionym przerażeniem.

Dziecko przynależało do miasta.

Tak jak Helward, którego urodziła kobieta z zewnątrz, dziecko Rosario pochodziło z miasta. Zarówno on, jak i niemowlę nie podlegali zmianom, które dotykały trzech dziewcząt i okolicy, z której pochodziły.

Helward nie miał pojęcia, co powinien zrobić ani jak ma rozumieć to, co widzi.

Czuł wzbierający w nim lęk, gdyż to wszystko wykraczało poza naturalny porządek rzeczy. Widział na własne oczy coś, co wymykało się racjonalnemu uzasadnieniu.

Popatrzył na południe i niedaleko dostrzegł linię wzgórz. Po ich kształcie i wysokości wnioskował, że to pogórze jakiegoś większego łańcucha... ale po chwili z niepokojem zauważył, że wierzchołki wzgórz pokrywa śnieg. Słońce wciąż przygrzewało, a powietrze było ciepłe; zgodnie z logiką śnieg w takim klimacie mógł się znajdować tylko na szczytach bardzo wysokich gór. A jednak wzgórza znajdowały się na tyle blisko – zapewne w odległości mili albo dwóch – że Helward oceniał ich wysokość na najwyżej pięćset stóp.

Wstał i... przewrócił się.

Kiedy upadł, zauważył, że toczy się na południe, jakby w dół stromego zbocza. Zdołał się zatrzymać i niepewnie wstać, walcząc z siłą, która



ciągnęła go na południe. To nie było nowe doznanie; czuł taki napór przez cały ranek, ale upadek go zaskoczył, a siła wydawała się potężniejsza niż dotychczas. Dlaczego do tej pory nie miała na niego wpływu? Cofnął się myślą. Tego ranka, pomimo innych spraw zaprzatających mu głowę, rzeczywiście zdawał sobie z niej sprawę i miał wrażenie, że cały czas idą z górki. To jednak był nonsens: teren jak okiem sięgnąć był całkowicie płaski. Przystanął obok dziewcząt, badając to doznanie.

Nie przypominało naporu powietrza czy nawet siły grawitacji na zboczu. Było czymś pośrednim: na płaskim terenie i bez widocznych ruchów powietrza czuł się tak, jakby coś popychało albo ciągnęło go na południe.

Zrobił kilka kroków na północ i zauważył, że musi się trudzić, jak podczas wspinaczki na wzgórzu. Zwrócił się na południe i wbrew temu, co podpowiadał mu wzrok, poczuł, że znajduje się na stromym zboczu.

Dziewczęta przyglądały mu się z zaciekawieniem, więc do nich wrócił.

W ciągu ostatnich kilku minut ich ciała uległy jeszcze większym zniekształceniom.

Wkrótce przed ponownym wyruszeniem w drogę Rosario próbowała z nim porozmawiać. Miał trudności ze zrozumieniem jej. Zawsze mówiła z silnym akcentem, ale teraz miała piskliwy głos i zbyt szybko wyrzucała z siebie słowa.

Po wielu próbach zdołał uchwycić sens jej wypowiedzi.

Ona i pozostałe dziewczęta obawiały się powrotu do wioski. Teraz przynależały do miasta, więc ich lud mógł je odrzucić.

Helward odparł, że muszą iść dalej, gdyż dokonały takiego wyboru, ale Rosario stwierdziła, że nie ruszą się z miejsca. W wiosce zostawiła męża, i chociaż pierwotnie chciała do niego wrócić, teraz sądziła, że ten ją zabije. Lucia również była zameżna i obawiała się tego samego. Mieszkańcy wiosek nienawidzili miasta, więc dziewczęta czekała kara za to, że w nim przebywały.

Helward zrezygnował z prób dalszej dyskusji. Miał trudności nie tylko ze zrozumieniem Rosario, ale także ze sprawieniem, żeby jego słowa do niej dotarły. Uznał, że dziewczyna zbyt długo zwlekała; w końcu wszystkie trzy z własnej woli weszły do miasta zgodnie z ustalonymi warunkami. Próbował to powiedzieć, ale go nie rozumiała.

Nawet podczas ich rozmowy proces zmian postępował. Rosario miała teraz niewiele ponad dwanaście cali wzrostu, a jej ciało – tak samo jak ciała jej towarzyszek – rozszerzyło się na niemal pięć stóp. Nie sposób było rozpoznać w nich ludzkich istot, mimo że Helward wiedział, że kiedyś nimi były.

– Zaczekajcie tutaj! – polecił.

Wstał i ponownie się przewrócił, turlając się po ziemi. Siła oddziałująca na jego ciało znacznie się wzmogła, tak że z trudem się zatrzymał. Walcząc

z jej oporem, doczołgał się do swojego plecaka i go założył. Znalazł linę i zarzucił ją sobie na ramię.

Opierając się ciągnącej go sile, ruszył na południe. Nie był już w stanie dostrzec żadnych elementów krajobrazu poza linią wznoszącego się gruntu przed sobą. Powierzchnia, po której szedł, była rozmazana i chociaż od czasu do czasu przystawał, żeby się jej przyjrzeć, nie widział na niej niczego, co kiedyś mogło być trawą, skałami czy glebą.

Naturalny krajobraz ulegał zniekształceniu: rozciągał się na wschód i zachód, tracąc wysokość i głębie.

Głaz mógł mieć postać ciemnoszarego paska o szerokości jednej setnej cala i długości dwustu jardów. Niskie, ośnieżone grzbiety mogły być górami, a długi pas zieleni drzewem.

Z kolei tamten wąski białawy pasek to naga kobieta.

\* \* \*

Dotarł na wyżej położony teren szybciej, niż się spodziewał. Czuł, że coś coraz silniej ciągnie go na południe, a w odległości niecałych pięćdziesięciu jardów od najbliższego wzgórza potknął się... i zaczął coraz szybciej toczyć się w jego stronę.

Północne zbocze było niemal pionowe, jak zawietrzna strona wydmy. Uderzył o nie z dużą mocą. Niemal natychmiast siła gnająca Helwarda na południe zaczęła ciągnąć go w górę zbocza, zaprzeczając grawitacji. Rozpaczliwie starał się przytrzymać twardej jak skała ściany, gdyż wiedział, że jeśli dotrze na szczyt, to już nie przeciwstawi się sile. W końcu natrafił na sterczącą skalną półkę. Chwycił się jej obiema rękami, z całych sił walcząc z nieustępliwym przyciąganiem. Jego ciało się obróciło, tak że leżał pionowo na zboczu z nogami nad głową, wiedząc, że jeśli się ześlizgnie, zostanie poniesiony w górę ściany i dalej na południe.

Sięgnął do plecaka i znalazł hak. Zaczepił go mocno pod półkę, przymocował do niego linę, a jej drugim końcem owinął sobie nadgarstek.

Przyciąganie było teraz tak silne, że całkowicie niwelowało siłę grawitacji.

\* \* \*

Materia góry zmieniała się pod jego ciałem. Twarda, niemal pionowa ściana powoli rozszerzała się na wschód i zachód oraz spłaszczyła, tak że Helward miał wrażenie, że szczyt górskiego grzbietu sunie w jego stronę. Zobaczył obok siebie powoli zaciskającą się szczelinę w skale, więc odczepił hak od półki i wcisnął go do wnętrza szczeliny. Po chwili hak był mocno przytwierdzony.

\* \* \*

Szczyt rozciągnął się i znalazł pod jego ciałem. Siła praca na południe porwała Helwarda i przeciągnęła ponad grzbietem wzniesienia. Lina wytrzymała, więc zawisł w poziomie.

To, co niegdyś było górą, zmieniło się w twardą wypukłość pod jego klatką piersiową, brzuch spoczywał w dawnej dolinie, a stopy szukały zaczepienia na zmniejszającym się grzbiecie czegoś, co kiedyś było inną górą.

Leżał rozpłaszczony na powierzchni świata, gigant na niegdyśniejszym górzystym terenie.

\* \* \*

Uniósł się, próbując zająć swobodniejszą pozycję. Kiedy dźwignął głowę, nagle odkrył, że brakuje mu powietrza. Z północy wiał mocny, lodowaty wiatr, ale w rozrzedzonej atmosferze było niewiele tlenu. Opuścił głowę i oparł podbródek na ziemi. Na tym poziomie mógł wciągać nosem wystarczającą ilość powietrza.

Panował lodowaty ziąb.

Wiatr niósł chmury, które przemykały kilka cali nad ziemią jak biała bezkresna kołdra. Owiewały mu twarz i opływały nos jak piana, którą rozcina dziób statku.

Jego usta znajdowały się poniżej, a oczy powyżej obłoków.

Helward patrzył przed siebie przez rozrzedzoną atmosferę ponad chmurami. Kierował wzrok na północ.

Znajdował się na skraju świata; rozpościerała się przed nim jego bryła.

Widział cały świat.

Na północ od niego teren był równy i płaski jak blat stołu. Jednak na środku, dokładnie na północy, grunt wznosił się, tworząc idealnie symetryczną, zakrzywioną iglicę. Zwężała się ona ku górze i wznosiła, coraz bardziej smukła, tak wysoko, że nie sposób było dostrzec jej czubka.

Widział ją w mnogości barw. Dostrzegał rozległe obszary brązu i żółcieni upstrzone zielenią. Dalej na północ rozciągał się błękit: czysty szafirowy błękit, który raził oczy. Nad nim unosiły się długie, delikatne spirale białych obłoków tworzące jaskrawe roje, wielowarstwowe wzory.

Zachodziło słońce. Lśniło czerwienią na północnym wschodzie, na tle niemożliwego horyzontu.

Miało taki sam kształt. Szeroki płaski dysk, który mógł być równikiem, a na jego środku oraz na północy i południu wygięte iglice biegunów.

Helward widywał słońce tak często, że nie kwestionował jego wyglądu. Ale teraz już wiedział, że świat również ma taki kształt.

Słońce zaszło i świat pogrążył się w ciemności.

Siła ciągnąca Helwarda na południe była tak wielka, że jego ciało już niemal nie dotykało tego, co kiedyś było górami. Wisiał na linie w mroku, mając wrażenie, że zwisa pionowo wzdłuż urwiska; rozsądek podpowiadał mu, że wciąż znajduje się w poziomie, ale z rozsądkiem klóciły się jego doznania.

Już nie ufał sile liny. Wyciągnął rękę przed siebie, zaczepił zgiętymi palcami o dwie niewielkie wypukłości (czy kiedyś były górami?) i podciągnął się.

Dalej powierzchnia była gładka i Helward nie mógł znaleźć oparcia dla dłoni. Odkrył, że z trudem może wbić palce w grunt i chociaż na chwilę się go przytrzymać. Ponownie się podciągnął: zaledwie o kilka cali... ale zarazem jakby o wiele mil. Przyciąganie nie słabło.

Porzucił linę i czołgał się dalej. Po pokonaniu kolejnych kilku cali natrafił na niski grzbiet, który kiedyś był górą. Wytężył siły i znów przesunął się do przodu.

Stopniowo siła pchająca go na południe zaczęła słabnąć i już nie musiał rozpaczliwie trzymać się gruntu. Odprężył się na chwilę, próbując złapać oddech. Od razu poczuł, że przyciąganie znów przybiera na sile, więc ruszył naprzód. Wkrótce dotarł na tyle daleko, że mógł się oprzeć na dłoniach i kolanach.

Nie patrzył na południe. Co znajdowało się za nim?

\* \* \*

Długo się czołgał, aż w końcu poczuł, że może stanąć. Tak też zrobił i przechylił się w kierunku północnym, żeby zrównoważyć odczuwane

przyciąganie. Ruszył naprzód, czując, że niewytłumaczalna siła stopniowo słabnie. Wkrótce znalazł się na tyle daleko od obszaru jej najmocniejszego oddziaływania, że mógł usiąść na ziemi i solidnie odpocząć.

Popatrzył na południe. Zobaczył tylko ciemność. Chmury, wcześniej owiewające mu twarz, teraz znajdowały się wyżej. Przesłaniały księżyc, którego natury Helward, w swej naiwności, nigdy nie kwestionował. On również miał podobnie dziwaczny kształt; Helward widział go wiele razy i zawsze akceptował.

Wciąż szedł na północ, czując, że potężne przyciąganie stopniowo słabnie. Otaczał go mroczny monotonny krajobraz, na który nie zwracał uwagi.

Jego umysł zdominowała jedna myśl: zanim będzie mógł odpocząć, musi pokonać jak największy dystans, żeby ponownie nie zostać wciągniętym. Poznał podstawową prawdę dotyczącą tego świata; grunt rzeczywiście się porusza, tak jak mówił Collings. Na północy, gdzie znajduje się miasto, grunt przemieszcza się niemal niezauważalnie: mniej więcej o jedną milę w ciągu dziesięciu dni. Jednakże im dalej na południe, tym ten ruch jest szybszy. Dostrzegał to w zmianach, jakie dotknęły ciała dziewcząt: w ciągu jednej nocy grunt przemieścił się na tyle, że ich ciała uległy poprzecznym zniekształceniom, które jego ominęły.

Miasto nie może się zatrzymać. Jego przeznaczeniem jest ciągły ruch, ponieważ gdyby stanęło, rozpoczęłoby powolny ruch ku przeszłości, aż w końcu dotarłoby do strefy, w której góry zmieniają się w kilkucalowe wypukłości i gdzie niepowstrzymana siła poniosłaby je ku zagładzie.

Helward powoli szedł na północ przez dziwny mroczny teren; nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć tego, czego doświadczył.

To wszystko przeczyło logice: grunt jest stabilny i nie może się poruszać. Góry nie zniekształcają się, gdy ktoś się po nich wspina. Ludzie nie kurczą się do dwunastu cali wzrostu; rozpadliny się nie zwężają; niemowlęta nie wymiotują mlekiem matki.

Chociaż było już późno w nocy, Helward nie czuł zmęczenia, nie licząc pozostałości po wysiłku, jaki musiał podjąć na zboczu góry. Miał wrażenie, że dzień minął szybko; szybciej, niż można by się spodziewać.

Znajdował się już poza strefą, w której czuł najsilniejsze przyciąganie, wciąż jednak było ono na tyle wyraźne, że nie mógł się zatrzymać. Nie podobała mu się perspektywa spania na ziemi, która się porusza i nieuchronnie niesie go na południe.

Stanowił miniaturę miasta: tak samo jak ono nie mógł zaznać spoczynku.

\* \* \*

W końcu ogarnęło go zmęczenie, więc rozciągnął się na ziemi i zasnął.

Obudził go wschód słońca, a jego pierwsza myśl dotyczyła siły pchającej go na południe. Zaniepokojony, zerwał się na nogi i sprawdził, czy mocno się na nich trzyma. Czuł przyciąganie, ale nie było ono silniejsze niż przed zaśnięciem.

Popatrzył na południe.

O dziwo, zobaczył tam góry.

To niemożliwe. Widział i czuł, jak zmieniają się w twardą wypukłość o wysokości kilku cali. A jednak tam były: strome, nieregularnie ukształtowane, przykryte czapami śniegu.

Znalazł swój plecak i sprawdził jego zawartość. Stracił linę i hak, a dużą część sprzętu zostawił dziewczętom, ale nadal miał manierkę z wodą, śpiwór i kilka opakowań jedzenia w proszku. To wystarczy na jakiś czas.

Zjadł nieco prowiantu, a następnie założył plecak.

Zerknął na słońce zdeterminowany, by tym razem nie stracić orientacji.

Ruszył na południe ku góróm.

Przyciąganie powoli rosło, popędzając go naprzód. Góry na jego oczach jakby się skurczyły. Ziemia, po której stąpał, stała się twardsza, a krajobraz



ponownie przyjął postać zespolonych poprzecznych smug.

Słońce poruszało się po niebie szybciej, niż powinno.

Walcząc z przyciąganiem, Helward zatrzymał się, gdy zobaczył, że góry znów zmieniły się w niskie pofalowane wzgórza.

Nie miał odpowiedniego sprzętu, żeby iść dalej. Zawrócił na północ. Godzinę później zapadła noc.

\* \* \*

Szedł w ciemności, dopóki nie poczuł, że przyciąganie jest wystarczająco słabe, by mógł sobie pozwolić na odpoczynek.

Kiedy zrobiło się jasno, góry znów były wyraźnie widoczne... i przypominały góry.

Nie próbował ruszać z miejsca, tylko czekał. Wraz z upływem dnia przyciąganie przybierało na sile. Ruch ziemi na południe niósł go ku górom... a te powoli rozciągały się na boki.

Zwinął obóz i przed zapadnięciem nocy ruszył na północ. Widział już wystarczająco dużo; najwyższy czas wrócić do miasta.

Ta myśl z niewiadomych względów go niepokoiła. Czy będzie musiał złożyć raport dotyczący tego, co się wydarzyło?

Nie czuł się na siłach ogarnąć myślą swoich doświadczeń, a co dopiero poskładać je w uporządkowaną całość, którą mógłby przekazać komuś innemu.

W samym centrum znajdował się oszałamiający widok świata, który się przed nim rozpostarł. Czy jakikolwiek człowiek przed nim tego doświadczył? W jaki sposób umysł może zrozumieć coś, czego nie da się objąć wzrokiem? Po jego lewej i prawej stronie – a także, z tego, co wiedział, na południu – powierzchnia świata nie miała żadnych granic. Tylko na północy znajdowała się jakaś zdefiniowana forma: zakrzywiony szczyt wznoszący się bez końca.

Podobnie na słońcu i na księżycu. A możliwe, że także na wszystkich pozostałych ciałach niebieskich w widzialnym wszechświecie.

Trójka dziewcząt: jak może poinformować o ich bezpiecznym powrocie do wioski, skoro osiągnęły stan, w którym nie mógł się z nimi porozumiewać, a nawet ich widzieć? Przeszły do własnego świata, który był mu całkowicie obcy.

Niemowlę: co się z nim stało? Było związane z miastem, ponieważ tak samo jak on nie ulegało zniekształceniom, które ich otaczały. Zapewne zostało porzucone przez Rosario... i zapewne zmarło. Nawet jeśli jeszcze żyje, ruch gruntu poniósł je na południe do strefy przyciągania, w której nie miało szansy przetrwać.

Zatopiony w takich myślach Helward szedł przed siebie, nie zwracając większej uwagi na otoczenie. Dopiero kiedy się zatrzymał, żeby napić się wody, rozejrzał się i z zaskoczeniem stwierdził, że rozpoznaje tę okolicę.

Znajdował się na skalistym terenie na północ od rozpadliny, nad którą zbudowano most.

Wypił kilka łyków wody, a następnie wrócił po swoich śladach. Skoro ma dojść do miasta, to musi odnaleźć ślady po torach, a także miejsce, w którym stał most, gdyż jest ono znakomitym punktem orientacyjnym.

Natrafiał na strumień, którego przekroczenia nie pamiętał; zapewne był zbyt zamysłony. Podążył za jego biegiem, zastanawiając się, czy to może być ten sam strumyk, gdyż miał on postać cieniutkiej strużki. Z czasem brzegi stały się bardziej strome i nierówne, jednak nie było śladu rozpadliny.

Helward wgramolił się na brzeg i cofnął w górę strumienia. Chociaż okolica wydawała mu się nieznośnie znajoma, koryto sprawiało wrażenie rozszerzonego i zniekształconego. A może był to zupełnie inny strumień?

Po chwili zauważył długi czarny owal blisko krawędzi wody i zszedł, żeby go obejrzeć. Poczł słabą woń spalenizny... a kiedy przyjrzał się dokładniej, zrozumiał, że to ślad po ognisku. Obozował tutaj.

Strumień miał w tym miejscu nieco ponad jard szerokości, ale kiedy Helward był tutaj razem z dziewczętami, drugi brzeg znajdował się w odległości co najmniej dwunastu stóp. Wrócił na górę i po długich

poszukiwaniach znalazł na ziemi ślady, które mogły stanowić pozostałości po jednej z wież.

Na tej wysokości oba brzegi dzieliło nie więcej niż pięć albo sześć jardów. Powierzchnia wody znajdowała się na głębokości zaledwie kilku stóp.

W tym miejscu miasto przekroczyło rozpadlinę.

Ruszył na północ i wkrótce natrafił na ślad po jednym z podkładów. Miał długość około siedemnastu stóp. Kolejny znajdował się w odległości trzech cali.

\* \* \*

Przed wieczorem krajobraz odzyskał bardziej znajome proporcje. Drzewa znów wyglądały jak drzewa, a nie jak rozłożyste krzewy. Kamyki były okrągłe, w miejsce zielonych smug pojawiły się kępy traw. Ślady torów, wzdłuż których szedł, wciąż były zbyt szeroko rozstawione, ale Helward podejrzewał, że jego podróż niedługo dobiegnie końca.

Stracił rachubę dni, ale okolica stawała się coraz bardziej znajoma i wiedział, że opuścił miasto na krócej, niż przewidywał Clausewitz. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że dwa albo trzy dni minęły nienaturalnie szybko, gdy znajdował się w strefie przyciągania, pod jego nieobecność miasto zapewne przemieściło się na północ nie więcej niż o milę albo dwie.

Ta myśl go pocieszała, kończyły mu się bowiem zapasy jedzenia i wody.

Szedł dalej, a kolejne dni mijały. Wciąż nie widział miasta, a ślady po torach nadal się nie zwężały. Był już tak przyzwyczajony do poprzecznego zniekształcenia tego świata na południu, że przyjmował je za oczywistość.

Pewnego ranka zaniepokoiła go nowa myśl: skoro od kilku dni rozstaw torów nie ulegał zmianie, to czy jest możliwe, że dotarł do regionu, w którym grunt porusza się z identyczną prędkością, z jaką on maszeruje? Czy stał się myszą biegająca w kołowrotku?

Na kilka godzin przyśpieszył kroku, ale wkrótce zwyciężył w nim rozsądek. Przecież zdołał oddalić się od strefy przyciągania, w której siła

unosząca go na południe była znacznie mocniejsza. Mijały jednak kolejne dni, a miasto wcale się nie przybliżyło. W końcu zostały mu ostatnie dwa opakowania prowiantu i dwukrotnie musiał czerpać wodę z miejscowych źródeł.

W dniu, w którym skończyły mu się zapasy, ogarnął go nagły entuzjazm. Perspektywa śmierci głodowej się rozviała... Helward rozpoznał okolicę, w której się znalazł! Przez ten region podróżował razem z Handlowcem Collingsem: wtedy znajdowali się o dwie albo trzy mile na północ od optimum!

Szacował, że nie było go przez najwyżej trzy mile... zatem miasto powinno być w zasięgu wzroku.

Przed nim ślady po torach ciągnęły się aż do niskiego wzniesienia... ale nigdzie nie było miasta. Podkłady wciąż były zniekształcone, a ślady po sąsiednim torze – lewym wewnętrznym – znajdowały się w sporej odległości.

Helward doszedł do wniosku, że podczas jego nieobecności miasto mogło przyspieszyć. Może wyprzedziło optimum i znajduje się w regionie, w którym grunt porusza się wolniej. Helward zaczynał rozumieć, dlaczego miasto brnie naprzód: może przed optimum leżą tereny, na których grunt w ogóle się nie przemieszcza.

W takim wypadku miasto mogłoby się zatrzymać... wielki kołowrotek przestałby się kręcić.

Helward spędził bezsenną noc o pustym żołądku. Rano wypił kilka łyków wody i zaraz ruszył w dalszą drogę. Miasto z pewnością wkrótce pojawi się na horyzoncie...

Podczas najgorętszej pory dnia musiał odpocząć. Teren był jałowy i płaski, niemal pozbawiony cienia. Helward usiadł obok toru.

Wpatrując się tępo w dal, dostrzegł coś, co dało mu nową nadzieję: wzdłuż toru szły w jego stronę trzy osoby. Z pewnością wysłano je z miasta, by go odnalazły. Pozbawiony sił, czekał, aż do niego dotrą. Kiedy się zbliżyły, spróbował wstać, ale się zachwiał. Ponownie położył się nieruchomo na ziemi.

– Jesteś z miasta?

Otworzył oczy i popatrzył na człowieka, który się odezwał. Był to młodzieniec ubrany w mundurek cechowego ucznia. Helward pokiwał głową, czując, że ma bezwładną szczękę.

– Jesteś chory... co się stało?

– Nic mi nie jest. Macie coś do jedzenia?

– Wypij to.

Podali mu manierkę z wodą i Helward wypił łyk. Woda smakowała inaczej: była stęchła i mdła, jak to w mieście.

– Możesz wstać?

Helward z ich pomocą dźwignął się na nogi i razem oddalili się od torów w stronę kilku wątłych krzewów. Usiadł na ziemi, a młodzieniec otworzył swój plecak. Helward zauważył, że obaj mają identyczne bagaże.

– Czy my się znamy? – spytał.

– Jestem uczeń Kellen Li-Chen.

Li-Chen! Pamiętał go z ochronki.

– Jestem Helward Mann.

Kellen Li-Chen otworzył opakowanie z jedzeniem w proszku i dodał nieco wody. Wkrótce otrzymał znajomą porcję szarej owsianki, którą Helward zaczął pochłaniać z niespotykanym entuzjazmem.

Nieco dalej czekały dwie dziewczyny.

– Idziecie ku przeszłości – odezwał się między kęsami.

– Tak.

– Właśnie stamtąd wracam.

– Co tam jest?

Nagle Helward przypomniał sobie, że spotkał Torrolda Pelhama w niemal identycznych okolicznościach.

– Już jesteś w przeszłości. Nie czujesz?

Kellen pokręcił głową.

– Co masz na myśli? – spytał.

Helward miał na myśli siłę pchającą go na południe, subtelne przyciąganie, które wciąż odczuwał podczas marszu. Zrozumiał jednak, że Kellen zapewne jeszcze go nie zauważył. Dopóki człowiek nie doświadczy tej siły w ekstremalnej formie, nie zdaje sobie sprawy z jej działania.

– Nie da się o tym opowiedzieć – odrzekł Helward. – Musisz zobaczyć na własne oczy.

Zerknął na dziewczęta. Siedziały na ziemi, rozmyślnie odwrócone do mężczyzn plecami. Uśmiechnął się pod nosem.

– Kellenie... jak daleko stąd do miasta?

– Kilka mil. Około pięciu.

Pięć mil! Zapewne już dawno wyprzedzili optimum.

– Możesz mi dać trochę prowiantu? Choćby odrobinę... żebyśmy zdołali dotrzeć do miasta.

– Oczywiście.

Kellen podał mu cztery pakunki. Helward przez chwilę się im przyglądał, a następnie oddał trzy z nich.

– Jeden wystarczy. Przyda ci się reszta.

– Nie muszę iść daleko – odrzekł Kellen.

– Wiem... ale i tak ci się przydadzą. – Ponownie popatrzył na ucznia. – Jak dawno opuściłeś ochronkę, Kellenie?

– Mniej więcej piętnaście mil temu.

Przecież Kellen był sporo młodszy od niego. Pamiętał to dokładnie: w ochronce był o dwie klasy niżej. Zapewne obecnie znacznie wcześniej rekrutowano uczniów. Ale Kellen wyglądał na dojrzałego i wyrosniętego. Nie miał ciała nastolatka.

– A ile ty masz mil? – spytał Helward.

– Sześćset sześćdziesiąt pięć.

To niemożliwe... był o co najmniej pięćdziesiąt mil młodszy od Helwarda, który według własnej oceny miał sześćset siedemdziesiąt mil.

– Pracowałeś na torach?

– Tak. Piekielnie ciężka robota.

– Wiem. Jak to możliwe, że miasto tak szybko się przemieściło?

– Szybko? Mamy trudny okres. Musieliśmy przekroczyć rzekę, a w tej chwili miasto utknęło na pagórkowatym terenie. Straciliśmy dużo czasu. Kiedy wyruszałem, byliśmy sześć mil za optimum.

– Sześć mil! Zatem optimum przyspieszyło?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Kellen oglądał się przez ramię na dziewczęta. – Lepiej już pójdę. Wszystko w porządku?

– Tak. Jak się z nimi dogadujesz?

Kellen wyszczerzył zęby.

– Nieźle. Dzieli nas bariera językowa, ale myślę, że uda nam się znaleźć nic porozumienia.

Helward się roześmiał i znów przypomniał sobie słowa Pelhama.

– Zrób to niedługo. Później będzie trudniej.

Kellen Li-Chen przez chwilę się mu przypatrywał, po czym wstał.

– Myślę, że im szybciej, tym lepiej – orzekł.

Następnie wrócił do dziewcząt, które zaczęły głośno narzekać, gdy okazało się, że postój będzie tak krótki. Kiedy go minęli, Helward zauważył, że jedna z dziewcząt rozpięła koszulę i zawiązała jej poły w supeł.

\* \* \*

Helward był pewien, że dzięki zapasom, które otrzymał od Kellena, bez trudu dotrze do miasta. W porównaniu z odległością, którą dotychczas pokonał, kolejne pięć mil stanowiło drobiazg i spodziewał się, że będzie na miejscu przed zmrokiem. Szedł teraz przez całkowicie nieznaną okolicę: mimo tego, co mówił Kellen, miasto znacznie się przemieściło podczas jego nieobecności.

Nadszedł wieczór, lecz miasta nadal nie było widać.

Nadzieję budził jedynie fakt, że ślady po podkładach miały teraz normalniejsze wymiary; podczas kolejnego postoju w celu nabrania wody Helward zmierzył najbliższy dołek i oszacował jego długość na sześć stóp.

Przed nim piętrzyło się wzniesienie, którego grzbiet znaczyły ślady po torach. Helward był pewien, że miasto znajduje się w zagłębieniu za szczytem, dlatego nie przerywał marszu, w nadziei, że zobaczy je przed zmrokiem.

Słońce już dotykało horyzontu, kiedy dotarł na szczyt i popatrzył w głąb doliny.

Jej dnem płynęła szeroka rzeka. Ślady docierały do południowego brzegu... a następnie ciągnęły się dalej po drugiej stronie. Przecinały całą dolinę i znikaly wśród drzew. Nigdzie nie było ani śladu miasta.

Wściekły i zagubiony Helward wbijał wzrok w dolinę, aż w końcu zapadła ciemność i musiał rozbić obóz.

Wyruszył wkrótce po świcie i po kilku minutach dotarł do brzegu rzeki. Po tej stronie znajdowało się mnóstwo śladów ludzkiej działalności: wydeptany grunt nad wodą zmienił się w błoto, a wokół walały się porzucone kawałki drewna i popękane fundamenty. W wodzie również leżało kilka stert drewna: jedyne pozostałości po moście, który musieli wybudować mieszkańcy miasta.

Helward wszedł do wody, przytrzymując się najbliższej sterty drewna. Kiedy zrobiło się głębiej, zaczął płynąć, ale nurt porwał go i zniósł daleko w



dół rzeki, zanim Helward zdołał wydostać się na północny brzeg.

Przemoczony, ruszył pieszo w górę rzeki, i w końcu dotarł z powrotem do śladów po torach. Plecak i ubranie bardzo mu ciążyły, dlatego się rozebrał i ułożył swój strój na słońcu, a następnie rozłożył na ziemi także śpiwór i plecak. Po godzinie ubranie było suche, więc je włożył i przygotował się do drogi. Śpiwór jeszcze nie wysechł, ale postanowił go wywietrzyć podczas kolejnego postoju.

Kiedy zakładał plecak, nagle usłyszał jakieś grzechotanie i coś stuknęło go w ramię. Helward obejrzał się i zobaczył belt od kuszy upadający na ziemię.

Błyskawicznie wskoczył do jednego z dołów po fundamentach.

– Zostań tam, gdzie jesteś!

Popatrzył w kierunku, z którego dobiegał głos; nie widział wołającej osoby, ale w odległości około pięćdziesięciu jardów rosła kępa zarośli.

Obejrzał swoje ramię: belt rozdarł mu rękaw, ale nie przeciął skóry. Helward był bezbronny, gdyż stracił kuszę razem z pozostałym sprzętem.

– Wychodzę... nie ruszaj się.

Po chwili zza krzewu wyłonił się mężczyzna w mundurku ucznia cechowego i wycelował w Helwarda.

– Nie strzelaj! – zawołał Helward. – Jestem uczniem z miasta.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko cały czas się zbliżał. Zatrzymał się w odległości około pięciu jardów.

– No dobrze... wstań.

Helward usłuchał, cały czas oczekując, że zostanie rozpoznany.

– Kim jesteś?

– Pochodzę z miasta – odrzekł Helward.

– Z którego cechu?

– Badaczy Przyszłości.

– Jak brzmi ostatnia linijka przysięgi?

Zaskoczony Helward pokręcił głową.

– Posłuchaj, co to...?

– No dalej... przysięga.

– „Niniejszą przysięgę składałem z pełną świadomością, że niedotrzymanie któregośkolwiek...”.

Mężczyzna opuścił kuszę.

– W porządku, musiałem się upewnić. Jak się nazywasz?

– Helward Mann.

Drugi uczeń uważnie mu się przyjrzał.

– Mój Boże, nie rozpoznałem cię! Zapuściłeś brodę!

– Jase!

Mężczyźni jeszcze przez kilka sekund patrzyli na siebie nawzajem, po czym wylewnie się przywitali. Helward uświadomił sobie, że od ostatniego spotkania zapewne znacznie się zmienili. Wtedy obaj byli gładkolicymi chłopcami, którzy narzekali na życie w ochronce; teraz zmianie uległ nie tylko ich wygląd, ale i poglądy. W ochronce Gelmana Jase’a charakteryzowały zamiłowanie do doczesnych przyjemności oraz sprzeciw wobec zastanych zasad; uchodził za beztroskiego i nieodpowiedzialnego przywódcę chłopców, którzy wolniej „dojrzewali”. Teraz Helward nie dostrzegał w nim tych cech, gdy stali nad brzegiem rzeki i odnawiali dawną przyjaźń. Doświadczenia poza miastem zahartowały Jase’a, nie tylko fizycznie. Obaj mężczyźni już nie przypominali tamtych bladych, słabo rozwiniętych i naiwnych chłopców. Byli opaleni, brodaci, muskularni i twardzi – szybko osiągnęli dojrzałość.

– Dlaczego do mnie strzeliłeś? – spytał Helward.

– Myślałem, że jesteś tukiem.

– Nie widziałeś mojego mundurka?

– To już nic nie znaczy.

– Ale...

– Posłuchaj, Helwardzie, czasy się zmieniły. Ilu uczniów spotkałeś podczas wyprawy do przeszłości?

– Dwóch. Trzech, jeśli liczyć ciebie.

– Właśnie. Wiedziałeś, że miasto wysyła kolejnych uczniów w odstępach mniej więcej mili? Powinno ich być tutaj znacznie więcej... A skoro wszyscy podążamy tą samą trasą, to powinniśmy się spotykać niemal każdego dnia.

Jednak tukowie nie dają nam spokoju. Zabijają uczniów i zabierają ich ubiór. Zaatakowali cię?

– Nie – odrzekł Helward.

– Mnie tak.

– Mogłeś spróbować mnie zidentyfikować, zanim do mnie strzełeś.

– Chciałem spudłować.

Helward wskazał rozdarty rękaw.

– Więc fatalnie strzelasz.

Jase się odsunął i podniósł bełt. Sprawdził, czy nie jest uszkodzony, po czym schował go do kołczanu.

– Powinniśmy spróbować dotrzeć do miasta – powiedział.

– Wiesz, gdzie ono jest?

Jase sprawiał wrażenie zmartwionego.

– Nie mogę tego rozgryźć – przyznał. – Wędruję już od wielu mil. Czyżby nagle przyśpieszyło?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Spotkałem dzisiaj innego ucznia. Powiedział, że miasto ma opóźnienie.

– Więc gdzie ono jest, do diabła? – obruszył się Jase.

– Gdzieś tam. – Helward wskazał ślady po torach prowadzące na północ.

– Zatem ruszajmy.

\* \* \*

Do wieczora wciąż nie zobaczyli miasta – chociaż ślady po torach miały już normalne wymiary – zatem rozbili obóz w lasku, przez który przepływał czysty strumień.

Jase był znacznie lepiej wyposażony od Helwarda. Oprócz kuszy miał zapasowy śpiwór (mokry śpiwór Helwarda zaczął cuchnąć, więc musiał go wyrzucić), namiot i mnóstwo jedzenia.

– Co o tym sądzisz? – spytał Jase.

– O przeszłości?

– Tak.

– Wciąż próbuję to zrozumieć – odrzekł Helward. – A ty?

– Sam nie wiem. Chyba myślę to samo. Nie pojmuję tego, co widziałem, a jednak wiem, że tego doświadczyłem, więc to musi być prawda.

– Jak to możliwe, że grunt się porusza?

– Też to zauważyłeś? – spytał Jase.

– Chyba tak. Właśnie to się stało, prawda?

Później obaj opowiedzieli sobie o swoim życiu od chwili opuszczenia ochronki. Doświadczenia Jase'a wyraźnie różniły się od przypadków Helwarda.

Opuścił ochronkę kilka mil wcześniej niż Helward i również pracował poza miastem. Ale nie ożenił się, więc umożliwiono mu poznanie kilku sprowadzonych kobiet. Dzięki temu znał obie dziewczyny, z którymi wyruszył ku przeszłości.

Poznał wiele historii, które tubylcy opowiadają o ludziach z miasta. Mówią, że w mieście mieszkają olbrzymy, które plądrują i zabijają oraz gwałcą kobiety.

Podczas wędrówki na południe Jase zauważył, że dziewczęta są coraz bardziej wystraszone, a kiedy spytał o powód, odpowiedziały, że ich lud z pewnością je zabije, gdy wrócą do wioski. Chciały się cofnąć do miasta. Wtedy Jase zaczął dostrzegać pierwsze skutki poprzecznych zniekształceń, co rozbudziło jego ciekawość. Zawrócił dziewczęta i kazał im na własną rękę wrócić do miasta. Zamierzał spędzić samotnie jeszcze jeden dzień, a potem również ruszyć na północ.

Podróżował na południe, ale nie zobaczył tam niczego ciekawego, więc spróbował odnaleźć dziewczęta. Dogonił je trzy dni później. Miały poderżnięte gardła i wisały do góry nogami na drzewie. Zanim Jase otrząsnął się z szoku, sam został zaatakowany przez tłum tubylców, z których część nosiła mundurki uczniów. Udało mu się uciec, ale napastnicy ruszyli w pościg. Rozpoczął się trzydniowy koszmar. Podczas ucieczki Jase upadł i paskudnie skrzywdził stopę, a w tym stanie mógł się jedynie ukryć. Znacznie oddalił się od torów i przemieścił na południe o

wiele mil. W końcu polowanie dobiegło końca, a Jase został sam. Przez jakiś czas się ukrywał... ale stopniowo zaczął odczuwać coraz silniejsze przyciąganie z południa. Zdał sobie sprawę, że znajduje się w nieznannej okolicy. Opisał Helwardowi płaski, monotony krajobraz, potężne przyciąganie oraz fizyczne zniekształcenia.

Próbował iść w stronę torów, ale skręcona noga utrudniała mu wędrówkę. W końcu był zmuszony zakotwiczyć się w ziemi za pomocą haka i liny, aż do czasu, gdy będzie mógł ponownie chodzić. Przyciąganie stale przybierało na sile, więc, bojąc się, że lina go nie utrzyma, Jase zaczął się czołgać na północ. Po długotrwałym wysiłku zdołał uciec ze strefy najsilniejszego przyciągania i ruszył w drogę powrotną do miasta.

Długo krążył, nie mogąc odnaleźć śladów po torach. Dzięki temu znacznie lepiej niż Helward poznał dalszą okolicę.

– Wiedziałeś, że tam jest inne miasto? – spytał, wskazując tereny na zachód od torów.

– Inne miasto? – spytał z niedowierzaniem Helward.

– Zupełnie inne niż Ziemia. Zbudowane na twardym gruncie.

– Ale jak...?

– Jest ogromne. Dziesięć albo dwadzieścia razy większe od Ziemi. Początkowo nie zorientowałem się, czym jest... Myślałem, że to kolejna osada, tylko znacznie większa. Helwardzie, posłuchaj, to takie miasto, o jakich uczyliśmy się w ochronce... jak na planecie Ziemi. Setki, tysiące budynków... wszystkie postawione na twardym gruncie.

– Są tam jacyś ludzie?

– Tylko garstka. Widziałem potężne zniszczenia. Nie wiem, co tam się wydarzyło, ale wygląda na to, że większa część miasta jest opuszczona. Nie zostałem długo, bo nie chciałem, żeby mnie zauważyli. Ale to piękny widok... te wszystkie budynki.

– Możemy tam pójść?

– Nie... lepiej trzymajmy się z daleka. Zbyt wielu tuków. Coś tam się dzieje, sytuacja się zmienia. Zaczynają się lepiej organizować i sprawniej komunikować. Dawniej, kiedy mieszkańcy miasta udawali się do wioski,

często byli pierwszymi ludźmi z zewnątrz, którzy się tam pojawiali. Ale z opowieści dziewcząt wywnioskowałem, że już tak nie jest. Coraz więcej ludzi wie o mieście... a tukowie nas nie lubią. Nigdy za nami nie przepadali, ale w niewielkich grupach byli niegroźni. Teraz obawiam się, że chcą zniszczyć miasto.

– Dlatego przebijają się za uczniów – rzekł Helward, wciąż nie rozumiejąc, dlaczego Jase mówi o tym z taką powagą.

– To tylko niewielka część planu. Zabierają ubrania uczniów, których zabijają, żeby móc łatwiej zabijać kolejnych. Jeśli jednak postanowią zaatakować miasto, będą wtedy doskonale zorganizowani i zdeterminowani.

– Nie wierzę, że kiedykolwiek mogliby nam zagrozić.

– Może nie... ale ty miałeś szczęście.

\* \* \*

Wyruszyli wczesnym rankiem i nie zwalniali kroku. Wędrowali przez cały dzień, robiąc tylko kilkuminutowe postoje. Ślady po torach, które mijali, stopniowo odzyskały normalne rozmiary, więc przynagłała ich myśl, że miasto jest oddalone najwyżej o kilka godzin marszu.

Kręty szlak poprowadził ich w górę zbocza, a kiedy po południu dotarli na szczyt wzgórza, ujrzeli przed sobą miasto, które stało nieruchomo w szerokiej dolinie.

Zatrzymali się i wbili w nie wzrok.

Miasto się zmieniło.

Coś w jego wyglądzie sprawiło, że Helward ruszył biegiem w dół zbocza.

Z tej wysokości widzieli oznaki zwyczajnego życia: za miastem cztery ekipy rozbierały tory, a przed nim większa grupa robotników wbijała pale w dno rzeki, która obecnie zagradszała miastu drogę. Jednakże kształt miasta uległ zmianie. Jego tylna część była zniekształcona i poczerniała...

Wzmocniono strażę i wkrótce zbrojni zatrzymali Jase'a i Helwarda, żeby sprawdzić ich tożsamość. Obaj mężczyźni byli rozdrażnieni tym opóźnieniem, gdyż wyraźnie widzieli, że miasto spotkała jakaś katastrofa. Czekać na pozwolenie wejścia do miasta, Jase dowiedział się od dowodzących zbrojnych, że tukowie przypuścili dwa ataki. Zginęło dwudziestu trzech członków sił zbrojnych; wciąż liczono ofiary wewnątrz miasta.

Podeksytowanie powrotem szybko osłabło, gdy zobaczyli, co się stało. Kiedy otrzymali pozwolenie na wejście, ruszyli w milczeniu.

Ochronka została zrównana z ziemią: ofiarami śmiertelnymi okazały się dzieci. Wewnątrz miasta zobaczyli kolejne zmiany. Wywarły na nich duże wrażenie, jednak Helward nie miał czasu analizować swoich reakcji. Odkładał to na później, do chwili, gdy zmniejszy się zewnętrzna presja. Teraz nie mógł sobie pozwolić na refleksję.

Dowiedział się, że jego ojciec nie żyje. Dusznica zatrzymała jego serce zaledwie kilka godzin po tym, jak Helward opuścił miasto. Wieść przekazał mu Clausewitz, który oznajmił mu również, że jego terminowanie dobiegło końca.

Poza tym: Victoria urodziła dziecko – chłopca – ale ono także padło ofiarą ataku.

Poza tym: Victoria podpisała formularz kończący ich małżeństwo. Teraz mieszka z innym mężczyzną i znów jest w ciąży.

A także, co pozostawało w związku z tymi wszystkimi wydarzeniami, lecz było równie trudne do uwierzenia: Helward dowiedział się z centralnego kalendarza, że podczas jego nieobecności miasto pokonało siedemdziesiąt trzy mile, a mimo to znajdowało się osiem mil za optimum. Zgodnie z subiektywnym odczuciem czasu Helward przebywał poza miastem przez niecałe trzy mile.

Zaakceptował wszystkie te fakty. Później przyjdzie czas na szok; na razie zbliżał się kolejny atak.

## Część trzecia



W dolinie było ciemno i cicho. Na północnym brzegu rzeki zobaczyłem dwa czerwone rozbłyski, po których znów zapanował spokój.

Kilka chwil później z wnętrza miasta dobiegł zgrzyt wyciągów i miasto zaczęło powoli sunąć naprzód. Hałas odbijał się echem w całej dolinie.

Leżałem razem z trzydziestką mężczyzn w splątanych zaroślach, które porastały zbocze wzgórza. Na czas tej najważniejszej ze wszystkich przepraw miasta zostałem tymczasowo powołany do Sił Zbrojnych. W każdej chwili mógł nastąpić trzeci atak, a szacowano, że kiedy miasto dotrze na północny brzeg rzeki, dzięki ukształtowaniu terenu będzie mogło bronić się na tyle długo, by ekipy zdążyły ułożyć tory sięgające co najmniej do najwyższej położonego punktu przełęczy na północnych wzgórzach. Tam miasto mogło się bronić do końca kolejnej fazy układania torów.

Wiedzieliśmy, że gdzieś w dolinie kryje się około stu pięćdziesięciu tuków uzbrojonych w karabiny. Byli groźnym wrogiem. Miasto posiadało tylko dwadzieścia karabinów, które odebraliśmy tukom, a całą amunicję zużyliśmy podczas odpierania drugiego ataku. Naszą jedyną poważną bronią pozostawały kusze – śmiertelne na krótki dystans – a także świadomość wagi działań wywiadowczych. To właśnie one pozwoliły nam przygotować kontratak, w którym teraz uczestniczyłem.

Kilka godzin temu, gdy zapadł zmrok, zajęliśmy pozycję, z której mieliśmy widok na całą dolinę. Główną siłę obronną stanowiły trzy szeregi kuszników rozstawionych wokół miasta. Kiedy miasto zaczęło przekraczać most, wycofują się i tworzą obronną formację wokół torów. Tukowie skupią na nich ogień, a wtedy my wyskoczmy z zasadzki.

Jeśli fortuna będzie nam sprzyjała, unikniemy kontrataku. Choć wiad ustalili, że kolejny atak jest wielce prawdopodobny, ekipy

ukończyły budowę mostu szybciej, niż przewidywano, dlatego mieliśmy nadzieję, że miasto zdoła przeprowić się na drugą stronę pod osłoną ciemności, zanim tukowie się zorientują.

Jednakże w cichej dolinie odgłosu wyciągów nie da się pomylić z niczym innym.

Przednia krawędź miasta właśnie dotarła do mostu, gdy rozległy się pierwsze strzały. Umieściłem bełt na kuszy i przykryłem dłonią bezpiecznik.

To był pochmurny wieczór, więc widoczność była słaba. Widziałem błyski wystrzałów i oceniłem, że tukowie ustawili się w półokręgu, w odległości mniej więcej stu jardów od naszych ludzi. Nie wiedziałem, czy kogokolwiek trafili, jednak jak dotąd nasi kusznicy nie odpowiedzieli na atak.

Wystrzeliły kolejne karabiny i zobaczyliśmy, że tukowie się zbliżają. Miasto już w połowie znalazło się na moście... i wciąż powoli sunęło naprzód.

W głębi doliny rozległ się krzyk:

– Światła!

Natychmiast rozbłysło osiem lamp łukowych ustawionych na tyłach miasta, zalewając światłem teren przed kusznikami. Zobaczyliśmy tuków, którzy nie byli w żaden sposób osłonięci.

Pierwszy szereg kuszników wypuścił bełty, a następnie przykucnął i zaczął przeładowywać broń. Wtedy wystrzelił drugi szereg, który następnie również przykucnął, żeby przeładować kusze. Potem trzeci szereg strzelił i przeładował.

Zaskoczeni tukowie ponieśli liczne straty, ale szybko przypadli do ziemi i zaczęli strzelać w kierunku obrońców, mierząc do czarnych sylwetek widocznych na tle lamp.

– Zgasić światła!

Błyskawicznie zapadła ciemność, a kusznicy się rozproszyli. Kilka sekund później światła ponownie się zapaliły i kusznicy wystrzelili z nowych pozycji.

Tukowie znów dali się zaskoczyć i ponieśli kolejne straty. Światła zgasły, a w ciemności kusznicy wrócili na poprzednie pozycje. Manewr został powtórzony.

Z głębi doliny dobiegł okrzyk i gdy rozbłysły lampy łukowe, zobaczyliśmy, że tukowie szarżują.

Miasto znajdowało się na moście.

Nagle rozległ się głośny wybuch i z boku miasta buchnęły płomienie. Po chwili druga eksplozja wstrząsnęła mostem i suche drewno torów zajęło się ogniem.

– Siły rezerwowe, przygotować się! – Wstałem, czekając na rozkaz. Już się nie bałem, a napięcie wywołane kilkugodzinnym oczekiwaniem zniknęło. – Naprzód!

Lampy łukowe na mieście wciąż świeciły, więc wyraźnie widzieliśmy tuków. Większość z nich walczyła wręcz z głównym oddziałem obrońców, ale kolejni kucali na ziemi, dokładnie celując w bryłę miasta. Dwie lampy zostały trafione i zgasły.

Ogień rozprzestrzenił się po moście i murze miasta.

Zauważyłem tuka, który stał nad brzegiem rzeki i brał zamach, żeby rzucić jakimś metalowym walcem. Dzielilo mnie od niego nie więcej niż dwadzieścia jardów. Wycelowałem, zwolniłem bełt... i trafiłem mężczyznę w pierś. Bomba zapalająca upadła kilka jardów od niego i wybuchła, plując ogniem i gorącem.

Tak jak się spodziewaliśmy, nasz kontratak zaskoczył wroga. Udało nam się trafić kolejnych trzech tuków... ale napastnicy nagle puścili się biegiem ku wschodowi, znikając pośród cieni wypełniających dolinę.

Przez kilka minut panował chaos. Miasto stało w płomieniach, a most, po którym sunęło, płonął w dwóch różnych miejscach. Jedno ze skupisk płomieni znajdowało się bezpośrednio pod miastem, a drugie kilka jardów za nim. Oczywiście opanowanie pożarów było pilną sprawą, nikt jednak nie był pewien, czy wszyscy tukowie się wycofali.

Miasto dalej sunęło naprzód, ale w miejscu, w którym most płonął, duże fragmenty drewnianej budowli spadały do rzeki.

Szybko przywrócono spokój. Jeden z oficerów Sił Zbrojnych wykrzykiwał rozkazy, a mężczyźni utworzyli dwie grupy. Jedna ponownie zajęła pozycje obronne wokół torów; ja dołączyłem do drugiej, która ruszyła na most, żeby gasić pożar.

Po drugim ataku – podczas którego po raz pierwszy użyto bomb zapalających – na murach miasta umieszczono stanowiska gaśnicze. Wybuch uszkodził najbliższe, z którego teraz bezużytecznie tryskała woda. Znaleźliśmy kolejne i rozwinęliśmy krótki wąż.

Pożar na torach był zbyt potężny i walka z nim nie miała sensu. Chociaż miasto już pokonało najbardziej zniszczoną część mostu, po płonącym drewnie musiały jeszcze przejechać trzy z głównych kół... a kiedy zmagaliśmy się z gęstym dymem i huczącymi płomieniami, zobaczyłem, że szyna zaczyna się wyginać pod wpływem gorąca i ciężaru.

Rozległ się ryk i odpadła kolejna część drewnianej konstrukcji. Dym był zbyt gęsty. Krztusząc się, musieliśmy się wycofać spod miasta.

Ogień na murach wciąż płonął, ale oddział strażaków wewnątrz miasta już z nim walczył. Wyciągi pracowały... miasto powoli sunęło ku względnie bezpiecznemu północnemu brzegowi.

W porannym świetle oszacowano skalę zniszczeń. Pod względem ofiar w ludziach miasto miało sporo szczęścia. Zaledwie trzech zbrojni zginęli w strzelaninie, a piętnastu odniosło obrażenia. Wewnątrz miasta jeden mężczyzna został poważnie ranny podczas wybuchu bomby zapalającej, a kilkanaścioro kobiet i mężczyzn zatrulo się dymem podczas pożarów.

Miasto doznało rozległych uszkodzeń. Ogień strawił cały segment, w którym mieściły się biura kierowników, a część segmentu mieszkalnego stała się bezużyteczna za sprawą ognia lub zalania wodą.

Kolejne zniszczenia odkryto pod miastem. Chociaż jego podstawa była zbudowana ze stali, dużą część konstrukcji wzniesiono z drewna, które w wielu miejscach całkowicie spłonęło. Tylne koła poruszające się po prawym zewnętrznym torze uległy pęknięciu. Nie dało się ich wymienić, dlatego musiały zostać odrzucone.

Kiedy miasto dotarło na północny brzeg, most dalej płonął, tak że teraz był już nie do odratowania. Razem z nim stracono kilkaset jardów niezastąpionych szyn, które poodkształcały się i poskręcały od gorąca.

\* \* \*

Po dwóch dniach spędzonych poza miastem, gdzie pracowałem razem z ekipami Torowych, którzy starali się uratować jak najwięcej szyn z południowego brzegu rzeki, zostałem wezwany przez Clausewitza.

Nie licząc godziny albo dwóch, spędzonych wewnątrz miasta zaraz po powrocie, nie zgłosiłem się oficjalnie do żadnego ze swoich przełożonych. Z tego, co wiedziałem, zrezygnowano ze zwyczajowego cechowego protokołu na czas sytuacji wyjątkowej, a skoro ta wydawała się niezakończona – ataki spowodowały nieuniknione opóźnienia, optimum

zaś coraz bardziej się oddalało – nie spodziewałem się, że ktokolwiek mnie oderwie od pracy na zewnątrz.

Wśród ludzi przebywających poza miastem dominował niepokojący nastrój – mieszanka rozpacz i desperacji. Dalej układaliśmy tory, kierując się ku przełęczy, ale beztroska atmosfera, jaką pamiętałem ze swoich pierwszych dni pracy, dawno odeszła w zapomnienie. Teraz kładliśmy tory, żeby bronić się przed zagrożeniem ze strony tuków, a nie z wewnętrznej potrzeby przetrwania w obcym środowisku, która dotychczas stanowiła motywację mieszkańców miasta.

Wszystkie rozmowy między ekipami układającymi tory, zbrojnymi oraz członkami cechu Trakcji dotyczyły ataków. Już nie dyskutowaliśmy o dośnięciu optimum ani o niebezpieczeństwach, które kryją się w przeszłości. Miasto znajdowało się w kryzysie, co odbijało się na nastawieniu wszystkich mieszkańców.

Kiedy wszedłem do miasta, również dostrzegłem wyraźną zmianę.

Korytarze już nie były jasne i sterylne, a życiem ludzi nie rządziła zawodowa rutyna.

Winda nie działała. Wiele drzwi w korytarzach zamknięto na klucz, a w jednym miejscu została wyrwana cała ściana – zapewne na skutek pożaru – tak że każdy, kto przechodził tą częścią miasta, mógł zobaczyć, co się znajduje na zewnątrz. Przypomniałem sobie dawne frustracje Victorii i zrozumiałem, że cechy już nie są w stanie utrzymać systemu opartego na tajemnicy.

Myśli o Victorii sprawiały mi ból; wciąż nie w pełni pojmowałem, co się stało. Miałem wrażenie, że minęło zaledwie kilka dni, lecz ona w tym czasie porzuciła wszystkie ciche porozumienia dotyczące naszego małżeństwa i rozpoczęła nowe życie beze mnie.

Nie widziałem się z nią od czasu powrotu, ale zadbałem o to, żeby wiedziała, że jestem w mieście. W sytuacji zewnętrznego zagrożenia nasze spotkanie i tak nie byłoby możliwe, ale najpierw musiałem przemyśleć ten aspekt swojego życia. Wieść o tym, że zaszła w ciążę z innym mężczyzną – dowiedziałem się, że to kierownik do spraw edukacji nazwiskiem Yung –

początkowo nie zrobiła na mnie dużego wrażenia, ponieważ w nią nie uwierzyłem. Coś takiego nie mogło się wydarzyć w czasie, który spędziłem poza miastem.

Z pewnymi trudnościami znalazłem drogę do siedziby cechów pierwszej kategorii. Wnętrze miasta zmieniło się pod wieloma względami.

Miałem wrażenie, że wszędzie jest pełno ludzi, hałasu i brudu. Każdy kawałek przestrzeni przeznaczono na awaryjne miejsca noclegowe, a rannych spoza miasta układano nawet na niektórych korytarzach. Zburzono kilka ścian i przepierzeń, a tuż obok kwatery cechów pierwszej kategorii – gdzie znajdowało się wiele bogato wyposażonych sal rekreacyjnych dla członków cechów – zorganizowano awaryjną kuchnię.

Wszędzie unosiła się woń spalonego drewna.

Wiedziałem, że miasto czeka fundamentalna zmiana. Czułem, że dawna struktura cechowa chwieje się w posadach. Role wielu ludzi już się zmieniły; pracując przy torach, poznałem mężczyzn pierwszy raz przebywających poza miastem, którzy przed atakami pracowali przy produkcji syntetycznej żywności, jako nauczyciele albo kierownicy zajmujący się wewnętrznymi sprawami miasta. Z oczywistych względów nie mogliśmy skorzystać z najemnych tuków, dlatego powołano do pracy wszystkich mieszkańców. Nie miałem pojęcia, dlaczego w takiej chwili Clausewitz mnie wzywa.

Nie było go w sali Badaczy Przyszłości, postanowiłem więc chwilę zaczekać. Minęło pół godziny, lecz Clausewitz wciąż się nie pojawiał, dlatego – wiedząc, że bardziej się przydam na zewnątrz – ruszyłem w drogę powrotną.

Na korytarzu natknąłem się na Badacza Dentona.

– Badacz Mann, prawda?

– Tak.

– Wychodzimy z miasta. Jesteś gotowy?

– Miałem się spotkać z Badaczem Clausewitzem.

– Zgadza się. Nie mógł przyjść, więc wysłał mnie. Potrafisz jeździć konno?

Zapomniałem o koniach, kiedy przebywałem poza miastem.

– Tak.

– To dobrze. Spotkamy się za godzinę przy stajniach.

Odszedł w stronę sali Badaczy.

Miałem godzinę dla siebie i uświadomiłem sobie, że nie mam nic do roboty ani nikogo, z kim mógłbym się spotkać. Wszystkie moje więzi z miastem zostały zerwane; nawet wspomnienia dotyczące jego kształtu i wyglądu straciły aktualność za sprawą zniszczeń.

Poszedłem do tylnej części miasta, żeby na własne oczy zobaczyć, co zostało z ochronki, ale nie było wiele do oglądania. Niemal cały budynek spłonął lub został zburzony, a w miejscu, w którym znajdowały się kwatery dzieci, pozostała tylko goła stal głównej konstrukcji miasta. Miałem stamtąd widok na drugą stronę rzeki, gdzie doszło do ataku. Zastanawiałem się, czy tukowie spróbują ponownie na nas napaść. Odniosłem wrażenie, że zostali dotkliwie pokonani, jeśli jednak nienawidzą miasta tak bardzo, jak się zdaje, zapewne w końcu przegrupują się i przeprowadzą kolejny atak.

Zrozumiałem, jak słabe jest miasto. Nie zostało zaprojektowane do odparcia jakiegokolwiek ataku, przemieszcza się powoli i niezgrabnie, zostało zbudowane z łatwopalnych materiałów. Wszystkie jego najsłabsze punkty, tory, kable i drewniane budynki, są łatwo dostępne.

Zastanawiałem się, czy tukowie zdają sobie sprawę z tego, jak łatwo byłoby je zniszczyć: wystarczy trwale uniemożliwić mu poruszanie się i spokojnie patrzeć, jak ruch gruntu powoli unosi je na południe.

Przez pewien czas to rozważałem. Miałem wrażenie, że tubylcy nie rozumieją kruchości miasta i jego mieszkańców, ponieważ nie dysponują dostateczną wiedzą. Z tego, co się zorientowałem, dziewczęta, z którymi wędrowałem w przeszłość, subiektywnie nie dostrzegały dziwacznej przemiany, jaka ich dotknęła.

Tutaj, niedaleko optimum, tukowie nie podlegali zniekształceniom – a przynajmniej nie w zauważalny sposób – dlatego nie widzieli żadnych zmian.



Gdyby tukom udało się, niekoniecznie rozmyślnie, opóźnić miasto i sprawić, że znalazłoby się tak daleko na południu, że nie mogłoby ruszyć naprzód, zobaczyliby, jak to podziało na miasto i ludzi.

Nawet w normalnych okolicznościach miasto czekałaby ciężka przeprawa; wzgórze na północy zapewne nie było jedyne w tej okolicy. Jak możemy liczyć na to, że jeszcze kiedykolwiek dogonimy optimum?

Na razie jednak byliśmy względnie bezpieczni. Z jednej strony osłonięci przez rzekę, a z drugiej przez wzniesienie, na którym nadciągający wróg byłby doskonale widoczny; znajdowaliśmy się w doskonałym miejscu na czas układania torów.

Zastanawiałem się, czy zdążę się przebrać, gdyż od wielu dni pracowałem i spałem w tym samym ubraniu. Ta myśl w nieunikniony sposób przypomniała mi o Victorii i o tym, jak zareagowała na mój mundurek, gdy wróciłem po dziesięciu dniach spędzonych na zewnątrz.

Miałem nadzieję, że nie spotkam się z nią przed opuszczeniem miasta.

Wróciłem do sali Badaczy i spytałem o czyste ubranie. Okazało się, że jako członek cechu jestem uprawniony do nowego stroju... ale obecnie nie ma żadnego na składzie. Obiecano mi, że mundurek znajdzie się, kiedy będę przebywał poza miastem.

Badacz Denton czekał na mnie przed stajniami. Otrzymałem wierzchowca i bez dalszej zwłoki wyjechaliśmy spod miasta, kierując się na północ.

Denton nie należał do ludzi odzywających się bez zachęty. Odpowiadał na pytania, które zadawałem, ale poza tym tylko milczał. Nie miałem nic przeciwko temu, ponieważ zapewniał mi czas do namysłu.

Wczesne cechowe szkolenie wciąż pozostawało aktualne: akceptowałem fakt, że muszę samodzielnie analizować to, co widzę, nie polegając na interpretacjach innych.

Podążyliśmy za proponowaną linią torów, wspięliśmy się na zbocze wzgórza i przekroczyliśmy przełęcz. Dalej teren stopniowo opadał wzdłuż wąskiego cieką wodnego. Na końcu doliny rósł niewielki las, a za nim wznosił się kolejny łańcuch wzgórz.

– Po co w takiej chwili opuszczamy miasto? – spytałem. – Z pewnością potrzebują tam każdej pary rąk.

– Nasza praca zawsze jest ważna.

– Ważniejsza od obrony miasta?

– Tak.

Podczas dalszej drogi wytłumaczył mi, że przez ostatnie kilka mil zaniedbywano badanie przyszłości. Częściowo za sprawą kłopotów z tubylcami, a częściowo ze względu na braki kadrowe w cechu.

– Zbadaliśmy teren do tych wzgórz – wyjaśnił. – Tamte drzewa... utrudnią pracę Torowym i mogą zapewnić schronienie tukom, ale potrzebujemy drewna. Wzgórza zostały zbadane na odcinku mniej więcej kolejnej mili, ale dalej znajduje się dziewiczy teren.

Pokazał mi mapę narysowaną na długiej rolce papieru i objaśnił poszczególne symbole. Nasza praca polegała na rozszerzaniu mapy na północ. Denton dysponował przyrządem mierniczym osadzonym na dużym drewnianym trójnogu; co jakiś czas odczytywał z niego wynik pomiaru i nanosił go na mapę.

Wierzchowce były obładowane sprzętem. Oprócz dużych zapasów jedzenia oraz pościeli obaj zabraliśmy kusze ze znacznym zapasem bełtów; wieźliśmy także sprzęt do kopania, zestaw do pobierania próbek chemicznych, a także miniaturową kamerę i sprzęt nagrywający. Denton wręczył mi kamerę i pokazał, jak ją obsługiwać.

Wy tłumaczył mi, że podstawowa metoda działania Badaczy Przyszłości polega na tym, że przez pewien czas różni badacze, samotnie bądź w grupach, podróżują na północ od miasta różnymi trasami. Efektem takich wypraw jest szczegółowa mapa przebytych terenów oraz nagrania wideo przedstawiające ich wygląd. Materiały te przekazuje się Radzie Nawigatorów, którzy z pomocą raportów innych badaczy podejmują decyzję co do przyszłej trasy miasta.

Późnym popołudniem Denton zatrzymał się chyba po raz szósty i rozstawił trójnog. Po wykonaniu kątowych pomiarów wysokości okolicznych wzgórz, oraz wyznaczeniu północy za pomocą żyrokompasu, przymocował do podstawy przyrządu wahadełko o spiczastym ciężarku. Kiedy znieruchomiało, wyjął wyskalowaną podziałkę oznaczoną koncentrycznie rozchodzącymi się okręgami i umieścił ją pomiędzy nogami trójnoga.

Czubek ciężarka znajdował się niemal dokładnie nad środkiem podziałki.

– Znajdujemy się w optimum – oznajmił Denton. – Wiesz, co to oznacza.

– Niezupełnie.

– Byłeś w przeszłości, prawda? – spytał, a ja potwierdziłem. – W tym świecie ciągle trzeba się zmagać z siłą odśrodkową. Im dalej zawędrujemy na południe, tym jest ona silniejsza. Jest obecna wszędzie na południe od optimum, ale na przestrzeni około dwunastu mil nie wpływa w wyraźnym stopniu na nasze działania. Dalej miasto miałoby poważne problemy. Zresztą na pewno to rozumiesz, jeśli poczułeś na własnej skórze wpływ siły odśrodkowej.

Znów odczytał dane z przyrządu.

– Osiem i pół mili – powiedział. – Taka odległość dzieli nas od miasta... i taki dystans miasto musi nadrobić.

– Jak się wyznacza położenie optimum?

– Odnajdując punkt o zerowych zaburzeniach grawitacyjnych. To standard, na którego podstawie mierzymy postępy miasta. Możesz to sobie wyobrazić jako linię nakreśloną wokół świata.

– Optimum stale się porusza?

– Nie. Optimum jest nieruchome... ale grunt się od niego odsuwa.

– No tak.

Spakowaliśmy sprzęt i ruszyliśmy na północ. Tuż przed zachodem słońca rozbiliśmy obóz.

Praca badawcza była niewymagająca umysłowo, a kiedy powoli przesuwaaliśmy się na północ, odkryłem, że nie mam żadnych obowiązków poza wypatrywaniem śladów wrogich tubylców. Denton zapewnił mnie, że atak jest mało prawdopodobny, ale mimo wszystko mieliśmy się na baczności.

Wciąż rozmyślałem o niesamowitym doświadczeniu ujrzenia przed sobą całego świata. Było to bardzo satysfakcjonujące wydarzenie, jednakże znacznie trudniej było zrozumieć to, co zobaczyłem.

Trzeciego dnia naszej wyprawy poza miasto nagle zacząłem myśleć o edukacji, jaką odebrałem jako dziecko. Nie jestem pewien, co skierowało mój umysł na te tory; zapewne wiele rzeczy, chociażby szok, jaki przeżyłem, widząc całkowicie zniszczoną ochronkę.

Nie zastanawiałem się nad swoim wykształceniem od czasu opuszczenia ochronki. Gdy w niej przebywałem, miałem wrażenie, podobnie jak większość dzieci, że nauki, które tam odbieramy, stanowią konieczną karę. Jednakże z perspektywy czasu duża część wiedzy wciskanej do naszych opornych głów nabrała nowego wymiaru w kontekście miasta.

Jednym z przedmiotów, które najbardziej nas nudziły, była tak zwana „geografia”. Większość tych lekcji dotyczyła technik kartograficznych i mierniczych; w zamkniętym środowisku ochronki takie ćwiczenia były niemal wyłącznie teoretyczne. Jednak teraz tamte żmudne godziny wreszcie nabrały znaczenia. Wystarczyło, że nieco się skupilem i pogrzebałem w swojej często zawodnej pamięci, a szybko zrozumiałem tajniki pracy, które pokazywał mi Denton.

Przekazywano nam wiedzę teoretyczną także z wielu innych przedmiotów, ja zaś dopiero teraz dostrzegałem jej praktyczne

zastosowanie. Każdy nowy uczeń posiadał podstawy wiedzy dotyczącej pracy, jakiej wymagał od niego jego cech, jak również wielu innych dziedzin funkcjonowania miasta.

Nic nie mogło mnie przygotować na ciężką fizyczną pracę przy torach, ale w niemal instynktowny sposób rozumiałem działanie maszynerii, która ciągnęła miasto.

Nie interesowało mnie obowiązkowe szkolenie, które odbyłem w Siłach Zbrojnych, jednakże zastanawiający – przynajmniej wtedy – nacisk, jaki kładziono na wojskową strategię, z pewnością pomógł tym, którzy później chwycili za broń, żeby walczyć o bezpieczeństwo miasta.

Podążając za tym tokiem rozumowania, zacząłem się zastanawiać, czy jakikolwiek aspekt mojej edukacji mógł mnie przygotować na widok świata o takim kształcie.

Podczas lekcji astrofizyki i astronomii zawsze opisywano nam planety jako kule. Ziemia – planeta, a nie nasze miasto – była przedstawiana jako spłaszczona sferoida; pokazywano nam mapy części jej powierzchni. Nie poświęcano dużo uwagi naukom fizycznym; dorastałem w przeświadczeniu, że świat, na którym znajduje się miasto, jest kulą, tak samo jak Ziemia, i żadne z przekazywanych nam nauk nie przeczyły temu założeniu. Tak naprawdę nigdy otwarcie nie omawiano natury naszego świata.

Wiedziałem, że Ziemia jest częścią układu planet, które krążą wokół kulistego słońca. Samą Ziemię okrąża zaś kulisty satelita. Te informacje zawsze pozostawały w sferze teorii... ale brak ich praktycznego zastosowania nie martwił mnie nawet wtedy, gdy opuściłem miasto, ponieważ wówczas stało się jasne, że stan faktyczny wygląda inaczej. Słońce i księżyc nie były kulami, podobnie jak świat, na którym żyliśmy.

Pozostawało pytanie: gdzie jesteśmy?

Odpowiedź być może leżała w przeszłości.

Ona również wymagała wyczerpującego omówienia, chociaż historie, których nas nauczano, dotyczyły wyłącznie planety Ziemi. Uczyliśmy się wiele o wojskowych manewrach oraz przejmowaniu władzy przez kolejne

państwa. Wiedzieliśmy, że na Ziemi mierzono czas za pomocą lat i wieków, a dostępne zapiski historyczne obejmują okres około dwudziestu stuleci. Doszedłem do wniosku – być może niesprawiedliwego – że nie chciałbym mieszkać na Ziemi, skoro życie na niej najwyraźniej stanowiło serię konfliktów, wojen, terytorialnych roszczeń i gospodarczych nacisków. Tamtejsza cywilizacja była wysoko rozwinięta, o czym miał świadczyć fakt, że ludzkość gromadziła się w miastach. Dlatego mieszkańcy naszego miasta z definicji byli cywilizowani, chociaż nasza egzystencja w ogóle nie przypominała życia ludzi na Ziemi. Ziemską cywilizację cechowały egoizm i chciwość; mieszkańcy cywilizowanych obszarów wyzyskiwali pozostałą część populacji. Na planecie brakowało podstawowych dóbr, a członkowie cywilizowanych narodów zdołali zmonopolizować te dobra dla wzmocnienia własnej pozycji ekonomicznej. Ta nierównowaga stanowiła źródło wszelkich konfliktów.

Nagle dostrzegłem analogie między naszymi cywilizacjami. Miasto z pewnością znalazło się w stanie wojny z tukami na skutek problemów, za które odpowiadał nasz system handlu. Nie wyzyskiwaliśmy tubylców za sprawą naszego bogactwa, posiadaliśmy jednak nadwyżkę dóbr, których brakowało na planecie Ziemi: jedzenia, paliwa i surowców. Brakowało nam siły roboczej, za którą płaciliśmy tym, czego nam zbywało.

Proces został odwrócony, jednakże skutek był taki sam.

Idąc tym tokiem rozumowania, dostrzegłem, że badanie historii planety Ziemi przygotowało do pracy tych, którzy mieli zostać Handlowcami, ale nie pomogło mi to w moim własnym poszukiwaniu zrozumienia. Wszystkie opowieści zaczynały się i kończyły na Ziemi; nigdzie nie wspomniano, w jaki sposób miasto znalazło się na tym świecie, jak je zbudowano ani kim byli jego założyciele i skąd przybyli.

Świadome przemilczenie? Czy zapomniana wiedza?

Podejrzewałem, że wielu członków cechów usiłowało samodzielnie zmierzyć się z tym zagadnieniem. Albo odpowiedź znajdowała się gdzieś w mieście, albo istniała jakaś powszechnie uznawana hipoteza, na którą jeszcze nie natrafiłem. Instynktownie skłaniałem się ku cechowym

metodom działania. Przetrwanie w tym świecie wymagało aktywności: jako wspólnota musieliśmy stale ciągnąć miasto na północ, z dala od strefy niezwyklej zniekształceń, a jako jednostki znaleźć dla siebie styl życia, który zapewniał nam niezbędną determinację. Badacz Denton był samowystarczalny, podobnie jak większość członków cechów, których poznałem. Chciałem być taki jak oni i samodzielnie osiągnąć zrozumienie. Zapewne mógłbym podzielić się swoimi przemyśleniami z Dentonem, ale postanowiłem tego nie robić.

Podróż była powolna i zawiła. Nie wędrowaliśmy prosto na północ, tylko często zbaczaliśmy na wschód i zachód. Denton co jakiś czas mierzył nasze położenie w odniesieniu do optimum i nigdy nie oddalaliśmy się od niego na więcej niż piętnaście mil.

Spytałem go, czy jest jakiś powód, dla którego nie możemy powędrować jeszcze dalej na północ.

– W normalnych okolicznościach powędrowalibyśmy tak daleko na północ, jak to możliwe – odpowiedział. – Ale miasto jest w szczególnej sytuacji. Oprócz najłatwiejszej trasy szukamy terenu, który pozwoli nam się skutecznie bronić.

Mapa, którą tworzyliśmy, z każdym dniem stawała się coraz pełniejsza i bardziej szczegółowa. Denton pozwalał mi obsługiwać sprzęt, kiedy tylko chciałem, i wkrótce radziłem sobie z tym równie dobrze jak on. Nauczyłem się triangulować teren za pomocą przyrządu mierniczego, szacować wysokość wzgórz oraz ustalać odległość od optimum. Coraz bardziej podobało mi się obsługiwanie kamery, mimo że musiałem hamować swój entuzjazm, by oszczędzać baterie.

Z dala od napięć panujących w mieście cieszyliśmy się spokojną i przyjemną atmosferą. Odkryłem, że Denton, pomimo długich okresów milczenia, jest sympatycznym i inteligentnym człowiekiem.

Straciłem rachubę czasu, ale z pewnością przebywaliśmy poza miastem od co najmniej dwudziestu dni. Denton nie przejawiał chęci do powrotu.

Natrafiliśmy na niewielką osadę wtuloną w płytką dolinę. Nie próbowaliśmy się do niej zbliżyć. Denton jedynie zaznaczył ją na mapie i



zapisał szacunkową liczbę mieszkańców.

Okolice była bardziej zielona niż ta, do której przywykłem, chociaż słońce przypiekało tutaj równie mocno. Częściej padało, zazwyczaj nocą, a teren przecinały liczne strumienie i rzeki różnych rozmiarów.

Denton zaznaczał na mapie wszystkie cechy ukształtowania terenu, które mogły utrudnić miastu podróż bądź posłużyć nam do jakichś konkretnych celów, ale nie opatrywał ich komentarzami. Do Badaczy Przyszłości nie należało podejmowanie decyzji co do trasy, którą powinno podążyć miasto. Naszym zadaniem było jedynie odwzorowanie wyglądu terenu rozciągającego się w przyszłości.

Popadliśmy w leniwy i senny nastrój; uwiodło nas naturalne piękno otoczenia. Wiedziałem, że miasto kiedyś minie te tereny, nie doceniwszy ich wartości. Według estetyki miasta ta zielona, łagodna kraina nie różniła się od chłostanej wiatrem pustyni.

Kiedy nie byłem zajęty naszymi rutynowymi zadaniami, oddawałem się rozmyśleniom. Nie potrafiłem wyrzucić z głowy oszałamiającej wizji świata, w którym istniejemy. Z pewnością podczas mojej wieloletniej żmudnej edukacji coś podświadomie przygotowało mnie na ten widok. Żyjemy na podstawie swoich założeń; gdybyśmy brali za pewnik, że świat, który przemierzamy, jest taki sam jak inne, czy jakakolwiek edukacja byłaby w stanie przygotować nas na całkowite odwrócenie tego założenia?

Moje przygotowania do tego widoku rozpoczęły się, gdy Badacz Denton po raz pierwszy zabrał mnie poza miasto, żebym na własne oczy zobaczył, że słońce w żadnym wypadku nie ma kształtu kuli.

Czułem jednak, że już wcześniej musiałem otrzymać jakąś wskazówkę.

Odczekałem jeszcze kilka dni, w każdej wolnej chwili martwiąc się tym zagadnieniem, aż w końcu wpadłem na pewien pomysł. Pewnego wieczoru razem z Dentonem obozowaliśmy na otwartej przestrzeni nad brzegiem szerokiej, płytkiej rzeki. Kiedy zbliżał się zachód słońca, zabrałem kamerę i wspiąłem się samotnie po zboczu niskiego wzgórza oddalonego o około pół mili. Ze szczytu rozpościerał się wyraźny widok na północny horyzont.

Kiedy słońce zbliżyło się do horyzontu, mgiełka osłabiła jego blask, tak że mogłem zobaczyć jego kształt: jak zwykle był to szeroki dysk z iglicami na szczycie i na spodzie. Włączyłem kamerę i wykonałem długie ujęcie. Później odtworzyłem taśmę, żeby sprawdzić, czy obraz jest wyraźny i stabilny.

Nigdy nie nudził mi się ten spektakl. Niebo poczerwieniało, a kiedy dysk schował się za horyzontem, w ślad za nim szybko zsunął się pionowy świetlny szpikulec. Przez kilka minut po jego zniknięciu wydawało mi się, że na środku czerwonej plamy blasku widzę jaskrawy pomarańczowo-biały kształt... ale to wrażenie szybko minęło i zapadła noc.

Ponownie odtworzyłem nagranie, oglądając słońce na malutkim ekranie rejestratora. Zatrzymałem obraz, a następnie zmniejszyłem jego jasność, tak że pozostał tylko biały kształt.

Oto miniaturowy wizerunek świata. Mojego świata. Widziałem go już wcześniej... na długo przed opuszczeniem ochronki. Te dziwaczne symetryczne łuki tworzyły wzór, który ktoś kiedyś mi pokazywał.

Długo wpatrywałem się w ekran, aż w końcu poczułem wyrzuty sumienia i wyłączyłem urządzenie, żeby oszczędzać baterie. Nie od razu wróciłem do Dentona: wysilałem pamięć, próbując przywołać niewyraźne wspomnienie chwili, gdy ktoś nakreślił cztery linie na kartce i pokazał wszystkim miejsce, w którym miasto Ziemia walczy o przetrwanie.

\* \* \*

Mapa, którą tworzyliśmy z Dentonem, nabierała konkretnego kształtu.

Rysował ją na długiej rolce sztywnego papieru, którą ze sobą zabrał. Plan przypominał wąski lejek, a jego najwęższym punktem był las położony o mniej więcej milę na północ od miejsca, w którym znajdowało się miasto, gdy z niego wyruszyliśmy. Wszystkie wędrówki odbyliśmy wewnątrz tego lejka, dzięki czemu zdołaliśmy wymierzyć ze wszystkich stron najważniejsze elementy krajobrazu i w ten sposób zebrać jak najdokładniejsze informacje.

Wkrótce zakończyliśmy pracę, a Denton oznajmił, że czym prędzej wracamy do miasta.

W rejestratorze znajdował się kompletny zapis wyglądu terenów, które przebyliśmy. W mieście Rada Nawigatorów miała zbadać taką porcję materiałów, jaka będzie im się wydawała konieczna do zaplanowania dalszej trasy miasta. Denton powiedział mi, że inni Badacze wkrótce wyruszą na północ, żeby stworzyć kolejną mapę w kształcie lejka. Możliwe, że ona również weźmie początek z tego samego lasu i ukaze tereny położone o pięć albo dziesięć stopni na wschód bądź zachód, albo, jeśli Nawigatorzy uznają, że można wyznaczyć bezpieczną trasę przez tereny, które zbadaliśmy, nową mapę zacznie się tworzyć dalej w głębi znanego terytorium, przesuając do przodu granicę zbadanej przyszłości.

Ruszyliśmy z powrotem ku miastu. Miałem romantyczne przekonanie, że skoro zdobyliśmy informacje, których tak rozpaczliwie pożądaliśmy, to będziemy jechali dniem i nocą, nie bacząc na niebezpieczeństwa i niewygody, jednak podróż powrotna okazała się równie leniwa.

– Nie powinniśmy się pośpieszyć? – spytałem w końcu. Pomyślałem, że Denton może zwlekać z mojego powodu, więc chciałem mu pokazać, że chcę jechać szybko.

– W przyszłości nigdy nie trzeba się śpieszyć – odpowiedział.

Nie dyskutowałem z nim, ale dotarło do mnie, że spędziliśmy poza miastem co najmniej trzydzieści dni. W tym czasie ruch gruntu oddalił miasto o kolejne trzy mile od optimum, więc musiało ono pokonać przynajmniej taką samą odległość, żeby pozostać w bezpiecznym obszarze.

Wiedziałem, że niezbadany teren zaczynał się zaledwie milę od ostatniego położenia miasta.

Mówiąc w skrócie, miasto potrzebowało informacji, które posiadaliśmy.

\* \* \*

Podróż powrotna trwała trzy dni. Trzeciego dnia, kiedy załadowaliśmy bagaże na grzbiety koni i ruszyliśmy na południe, powróciło do mnie wspomnienie, którego szukałem. Przyszło nieproszone, jak to często bywa, gdy staramy się wydobyć coś zagrzebanego w podświadomości.

Miałem wrażenie, że przeanalizowałem już wszystkie świadome wspomnienia dotyczące odebranych nauk, a segregowanie wiadomości zapamiętanych podczas długich akademickich kursów okazało się równie bezowocne jak żmudne były wspomniane zajęcia.

I wtedy pojawiła się odpowiedź, a jej źródłem był przedmiot, którego w ogóle nie brałem pod uwagę.

Przypomniałem sobie swoje pierwsze kilka mil w ochronce, kiedy nauczyciel zapoznawał nas ze światem analizy matematycznej. Wszystkie aspekty matematyki wzbudzały we mnie taką samą reakcję – nie okazywałem zainteresowania nimi ani nie odnosiłem w nich sukcesów – i dotyczyło to także rozwijania abstrakcyjnych koncepcji.

Lekcje dotyczyły tak zwanych funkcji, a my uczyliśmy się rysować wykresy, które je ilustrowały. To właśnie one przywołały tamto wspomnienie: zawsze miałem talent do rysowania, więc wykresy na kilka dni rozbudziły moje zainteresowanie, dopóki nie odkryłem, że nie stanowią one celu samego w sobie, tylko mają umożliwić lepsze poznanie funkcji... a ja nie wiedziałem, czym one są.

Zwłaszcza jeden wykres był omawiany w nieznośnie szczegółowy sposób.

Pokazywał on krzywą równania, w którym jedną wartość przedstawiono jako odwrotność drugiej. Jego graficznym przedstawieniem była hiperbola. Jedną część wykresu narysowano w kwadrancie dodatnim, a drugą w ujemnym. Oba końce zmierzały do nieskończoności, odpowiednio po stronie dodatniej i ujemnej.

Nauczyciel tłumaczył, co by się stało, gdyby ten wykres obrócić względem jednej z osi. Nie rozumiałem, po co rysuje się wykresy ani w jaki sposób można je obracać, więc oddałem się śnieniu na jawie. Zauważyłem

jednak, że nauczyciel narysował na dużym kawałku kartonu, jaka bryła powstałaby, gdyby dokonano takiego obrócenia.

Skutkiem był niemożliwy obiekt: dysk o nieskończonym promieniu i dwóch hiperbolicznych szczytach na górze i na dole, które zwały się ku nieskończeniu odległemu punktowi.

To była matematyczna abstrakcja, więc zgodnie z oczekiwaniami niezbyt mnie zainteresowała.

Jednak nie bez powodu pokazano nam tę matematyczną niemożliwość, a nauczyciel nie bez powodu spróbował ją dla nas narysować. Tamtego dnia w niebezpośredni sposób charakteryzujący całą naszą edukację zobaczyłem kształt świata, na którym żyję.

Denton i ja właśnie jechaliśmy przez las u podnóża łańcucha wzgórz... gdy przed sobą zobaczyliśmy przełęcz.

Odruchowo ściągnąłem wodze i wstrzymałem wierzchowca.

– Miasto! – zawołałem. – Gdzie ono jest?

– Powinno nadal być nad rzeką.

– Więc pewnie zostało zniszczone!

Nie mogło być innego wytłumaczenia. Tylko kolejny atak mógłby sprawić, żeby miasto nie ruszyło się z miejsca przez ostatnie trzydzieści dni. Jednak w takim wypadku i tak powinno znajdować się w przełęczy.

Denton patrzył na mnie z rozbawioną miną.

– Nigdy wcześniej nie byłeś tak daleko na północ od optimum? – spytał.

– Nie.

– Ale byłeś w przeszłości. Co się stało, kiedy wróciłeś do miasta?

– Zostało zaatakowane.

– Tak... ale ile czasu upłynęło?

– Ponad siedemdziesiąt mil.

– To więcej, niż się spodziewałeś?

– Owszem, sądziłem... że nie było mnie tylko kilka dni, przez milę albo dwie.

– No dobrze. – Denton ponownie ruszył naprzód, a ja podążyłem za nim. – Dzieje się odwrotnie, jeśli wędrujesz na północ od optimum.

– Jak to?

– Nikt ci nie mówił o subiektywnych wartościach czasowych? – Moje tępe spojrzenie wystarczyło za odpowiedź. – Jeżeli udajesz się na południe od optimum, subiektywny upływ czasu ulega spowolnieniu. Im dalej na południe, tym jest to wyraźniejsze. W mieście, gdy znajduje się ono niedaleko optimum, czas płynie mniej więcej normalnie, dlatego, kiedy

wracasz z przeszłości, masz wrażenie, że miasto przemieściło się znacznie dalej, niż to było możliwe.

– Ale my byliśmy na północy.

– Właśnie, więc skutek jest odwrotny. Kiedy jedziemy na północ, subiektywny upływ czasu ulega przyspieszeniu, dlatego wydaje nam się, że miasto w ogóle się nie przemieściło. Na podstawie swoich doświadczeń przewiduję, że podczas naszej nieobecności w mieście minęło około czterech dni. Teraz nieco trudniej to oszacować, ponieważ miasto znajduje się dalej na południe od optimum niż zazwyczaj.

Przez kilka minut nic nie mówiłem, starając się zrozumieć to zjawisko. Wreszcie przerwałem milczenie:

– Więc gdyby miasto zdołało przemieścić się na północ od optimum, nie miałyby do pokonania tak wielu mil. Mogłoby się zatrzymać.

– Nie, stale musi pozostawać w ruchu.

– Ale jeśli w miejscu, w którym byliśmy, czas zwalnia, miasto mogłoby na tym zyskać.

– Nie – powtórzył Denton. – Różnica w subiektywnym upływie czasu jest względna.

– Nie rozumiem – przyznałem szczerze.

Wspinaliśmy się po zboczu doliny ku przełęczy. Za kilka minut mieliśmy ujrzeć miasto, jeśli rzeczywiście znajdowało się tam, gdzie je umiejscawiał Denton.

– Trzeba wziąć pod uwagę dwa czynniki. Jednym jest ruch gruntu, a drugim subiektywna zmiana wartości czasu. One są bezwzględne, lecz, z tego co wiemy, niekoniecznie powiązane.

– Więc dlaczego...?

– Posłuchaj. Grunt się przesuwają. Na północy przemieszcza się powoli – im dalej na północ się udamy, tym ten ruch staje się wolniejszy – a na południu szybciej. Gdyby udało się dotrzeć do punktu najdalej wysuniętego na północ, grunt zapewne przestałby się poruszać. Z drugiej strony wierzymy, że na południu jego prędkość stale rośnie, aż do nieskończoności na najdalszym krańcu świata.

– Byłem tam... – powiedziałem. – Na najdalszym krańcu.

– Jak wiele przeszedłeś? Czterdzieści mil? Może przez przypadek nieco więcej? To wystarczy, żeby poczuć skutki... ale tylko ich początek. Mówimy o milionach mil. Dosłownie... milionach. Niektórzy nawet powiadają, że to znacznie dalej. Założyciel miasta, Destaine, uważał, że świat nie ma końca.

– Przecież wystarczy, żeby miasto przemieściło się zaledwie o kilka mil, a znajdzie się na północ od optimum.

– Zgadza się... i to by nam bardzo ułatwiło życie. Nadal musielibyśmy przemieszczać miasto, ale nie tak często i nie tak daleko. Jednak problem polega na tym, że z trudem dotrzymujemy tempa optimum.

– Co jest w nim takiego wyjątkowego?

– To miejsce, w którym warunki najbardziej przypominają te na planecie Ziemi. W punkcie optimum nasze subiektywne postrzeganie czasu jest normalne. Poza tym dzień trwa dwadzieścia cztery godziny. Wszędzie indziej na tym świecie subiektywny upływ czasu skutkuje nieco dłuższymi albo krótszymi dniami. Prędkość gruntu w punkcie optimum wynosi mniej więcej jedną milę na dziesięć dni. Optimum jest ważne, ponieważ w świecie takim jak ten, gdzie jest tak wiele zmiennych, potrzebujemy jakiegoś standardu. Nie myl mil jako odległości z milami jako czasem. Mówimy, że miasto pokonało pewną liczbę mil, jednak ta liczba tak naprawdę oznacza, ile dziesiątek dni upłynęło. Dlatego tak naprawdę niczego byśmy nie zyskali, gdybyśmy znaleźli się na północ od optimum.

Znaleźliśmy się w najwyższym punkcie przełęczy. Zobaczyliśmy wyciągi i miasto, które akurat było wciągane. Liczni zbrojni stali na straży nie tylko wokół samego miasta, ale także po obu stronach torów. Postanowiliśmy nie zjeżdżać do miasta, tylko zaczekać przy wyciągach, dopóki wciąganie nie dobiegnie końca.

– Czytałeś Dyrektywę Destaine'a? – spytał niespodziewanie Denton.

– Nie. Tylko o niej słyszałem. Podczas składania przysięgi.

– Zgadza się. Clausewitz ma egzemplarz. Powinieneś ją przeczytać, skoro należysz do cechu. Destaine wyłożył zasady przetrwania w tym



świecie i nikt nigdy nie znalazł powodu, żeby je zmienić. Myślę, że nieco lepiej zrozumiałbyś nasz świat.

– Destaine go rozumiał?

– Tak sędzę.

Wciąganie trwało jeszcze godzinę. Tukowie nie próbowali przeszkadzać; nigdzie nie było po nich ani śladu. Zobaczyłem, że część strażników jest uzbrojona w karabiny, które zapewne zabrali tukom zabitym podczas ostatniej potyczki.

Kiedy weszliśmy do miasta, udałem się od razu do centralnego kalendarza i odkryłem, że podczas naszej wyprawy na północ minęło trzy i pół dnia.

\* \* \*

Odbyliśmy krótką rozmowę z Clausewitzem, a następnie zabrano nas przed oblicze Nawigatora McMahona. Razem z Dentonem szczegółowo opisaliśmy tereny, przez które podróżowaliśmy, wskazując na mapie najważniejsze elementy krajobrazu. Denton przedstawił nasze propozycje trasy, którą powinno obrać miasto, wspominając o miejscach mogących stwarzać problemy oraz sposobach na ich ominięcie. Teren ogólnie sprawiał wrażenie przyjaznego dla miasta. Wzgórza wymagały lekkiego zбочenia z północnego kursu, jednak niewiele z nich miało strome zбочa, a tereny na północnym krańcu mapy znajdowały się około stu stóp niżej od obecnego położenia miasta.

– Natychmiast wyślemy dwie kolejne ekipy – oznajmił Nawigator Clausewitzowi. – Jedną o pięć stopni na wschód, a drugą o pięć stopni na zachód. Ma pan dostępnych ludzi?

– Tak jest.

– Dzisiaj zwołam posiedzenie Rady i wyznaczymy tymczasową trasę. Jeżeli nowe pomiary pozwolą odnaleźć przystępniejsze tereny, później dokonamy poprawek. Kiedy będzie pan mógł wrócić do normalnego schematu pomiarów?

– Kiedy tylko zwolnimy naszych ludzi ze służby w Siłach Zbrojnych i pracy przy torach – odrzekł Clausewitz.

– To nadal nasze priorytety. Zatem na razie będą nam musiały wystarczyć te pomiary. Jeżeli sytuacja się polepszy, proszę zgłosić się ponownie.

– Tak jest.

McMahon zabrał naszą mapę i moją taśmę wideo, a my opuściliśmy salę Nawigatorów.

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, zagadnąłem Clausewitza:

– Chciałbym zgłosić się na ochotnika do jednej z nowych ekip badawczych.

Pokręcił głową.

– Nie. Otrzymasz trzydniowy urlop, a potem wrócisz do cechu Torowych.

– Ale...

– Takie są zasady cechowe.

Clausewitz się odwrócił i razem z Dentonem odeszli w stronę sali Badaczy. Technicznie była to też moja strefa, lecz nagle poczułem się wykluczony. Całkiem dosłownie nie miałem się gdzie podziać. Kiedy pracowałem poza miastem, nocowałem w jednej z sal sypialnych należących do Sił Zbrojnych; teraz, skoro oficjalnie przebywałem na urlopie, nie byłem pewien, gdzie jest mój dom. W sali Badaczy znajdowały się pośłania i na razie mógłbym się tam zatrzymać, ale wiedziałem, że powinienem się jak najszybciej spotkać z Victorią. Odkładałem to na później, a wyprawa poza miasto zapewniła mi wygodną wymówkę. Wciąż zastanawiałem się, jak mam sobie poradzić z nową sytuacją, w której się znaleźliśmy, a rozmowa z nią mogła mi dać odpowiedź. Przebrałem się i wziąłem prysznic.

Nic nie zmieniło się w mieście, kiedy byłem na północy, a kierownicy odpowiadający za sprawy wewnętrzne oraz służbę zdrowia byli całkowicie pochłonięci opieką nad rannymi i przygotowywaniem miejsc noclegowych. Na twarzach ludzi już nie królowała desperacja i podjęto kroki w celu oczyszczenia korytarzy, zdawałem sobie jednak sprawę, że to nie jest najlepszy moment na załatwianie sprawy rodzinnej.

Victorię trudno było namierzyć. Spytałem o nią kilku kierowników do spraw wewnętrznych, którzy wysłali mnie do prowizorycznej sali sypialnej na najniższym poziomie, ale tam jej nie zastałem. Porozmawiałem z kobietą zarządzającą noclegownią.

– Jest pan jej byłym mężem, czy tak?

– Zgadza się. Gdzie ona jest?

– Nie chce się z panem widzieć. Jest bardzo zajęta. Skontaktuje się z panem później.

– Chcę się z nią zobaczyć – odparłem.

– Nie może pan. A teraz przepraszam, jesteśmy bardzo zapracowani.

Odwróciła się do mnie plecami i podążyła do swoich zajęć. Rozejrzałem się po zatłoczonej sali: w jednym jej końcu nocowali robotnicy, w drugim na prymitywnych posłaniach leżało kilkoro rannych. Chociaż między łózkami chodziło kilka osób, Victorii nie było wśród nich.

Wróciłem do sali Badaczy. Kiedy szukałem Victorii, podjąłem decyzję. Nie było sensu kręcić się bez celu po mieście; równie dobrze mogłem wrócić do pracy przy torach. Przedtem jednak postanowiłem przeczytać należący do Clusewitza egzemplarz Dyrektywy Destaine'a.

W sali Badaczy był tylko jeden człowiek. Przedstawił mi się jako Badacz Blayne.

– Jesteś synem Manna, prawda?

– Tak.

– Miło cię poznać. Byłeś już w przyszłości?

– Tak.

Blayne mi się spodobał. Był niewiele starszy ode mnie i miał świeże, bezpośrednie oblicze. Miałem wrażenie, że jest zadowolony z okazji do rozmowy; powiedział, że później tego samego dnia wybiera się na północ i kilka kolejnych mil spędzi samotnie.

– Zazwyczaj podróżujemy na północ samotnie? – spytałem.

– Zazwyczaj tak. Możemy pracować w parach, jeśli Clausewitz wyrazi zgodę, ale większość Badaczy woli działać na własną rękę. Ja akurat lubię towarzystwo i czuję się tam trochę samotny. A ty?

– Byłem w przyszłości tylko raz. Wspólnie z Badaczem Dentonem.

– Jak się z nim dogadywałeś?

Rozmawialiśmy w sympatycznej atmosferze, bez towarzystwa strażników, którzy jak dotąd pojawiali się zawsze, gdy rozmawiałem z innymi członkami cechu. Nieświadomie przywykłem do tego stanu rzeczy, dlatego początkowo czułem się niepewnie w obecności Blayne'a. Jednakże już po kilku minutach uspokoiło mnie jego bezpośrednie zachowanie i poczułem się tak, jakbyśmy znali się od dawna.

Powiedziałem mu, że nagrałem słońce za pomocą kamery.

– Wymazałeś je?

– Co masz na myśli?

– Skasowałeś nagranie z taśmy?

– Nie... A powinienem to zrobić?

Roześmiał się.

– Jeśli Nawigatorzy to zobaczą, będziesz ich miał na karku. Nie wolno ci używać taśm do rejestrowania niczego poza wyglądem terenu.

– Zobaczą nagranie?

– Niewykluczone. Jeśli spodoba im się mapa, zapewne zapragną przyjrzeć się kilku miejscom. Raczej nie obejrzą całej taśmy. Ale jeśli to zrobią...

– Dlaczego to jest zakazane? – spytałem.

– Zasady cechowe. Taśmy są cenne i nie powinno się ich marnować. Ale nie przejmuj się. Po co nagrywałeś słońce?

– Wpadłem na pewien pomysł i chciałem mu się przyjrzeć. Ma taki ciekawy kształt.

Blayne popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

– I co o tym sądzisz?

– Odwrócone wartości.

– Zgadza się. Jak do tego doszedłeś? Ktoś ci powiedział?

– Przypomniałem sobie lekcje z ochronki. Hiperbolę.

– Już to przemyślałeś? To nie wszystko. Zastanawiałeś się nad rozmiarami powierzchni planety?

– Badacz Denton mi o tym opowiadał. Mówił, że jest bardzo duża.

– Nie bardzo duża... nieskończenie duża. Na północ od miasta powierzchnia zakrzywia się ku górze, aż staje się niemal – chociaż nigdy nie całkowicie – pionowa. Z kolei na południe od miasta staje się niemal – chociaż nigdy nie całkowicie – pozioma. Świat wiruje wokół własnej osi, a przy promieniu nieskończonej długości obraca się z nieskończoną prędkością.

Powiedział to wszystko obojętnie, z beznamietną miną.

– Chyba żartujesz – odrzekłem.

– Wcale nie. Mówię całkowicie poważnie. W miejscu, w którym się znajdujemy, niedaleko optimum, skutki tego ruchu są takie same jak na planecie Ziemi. Ale im dalej na południe, tym bardziej ta szybkość wzrasta, chociaż prędkość kątowna pozostaje taka sama. Czy podczas wyprawy na południe czułeś działanie siły odśrodkowej?

– Tak.

– Gdybyś zawędrował dalej, teraz by cię tutaj nie było. Ta siła jest cholernie rzeczywista.

– Mówiono mi, że nic nie może podróżować szybciej od prędkości światła.

– To prawda. Nic nie podróżuje szybciej. W teorii obwód tego świata jest nieskończenie długi i porusza się z nieskończoną prędkością. Jednakże

istnieje, a przynajmniej tak sądzimy, punkt, w którym materia przestaje istnieć, i on pełni rolę rzeczywistego obwodu. W tym punkcie ruch obrotowy świata nadaje materii prędkość równą prędkości światła.

– Więc świat nie jest nieskończony.

– Właśnie. Ale i tak jest cholernie duży. Popatrz na słońce.

– Często na nie patrzę.

– Z nim jest tak samo. Gdyby nie wirowało, byłoby – dosłownie – nieskończenie duże.

– Mimo wszystko w teorii właśnie takie jest. Jak to możliwe, że w przestrzeni mieści się więcej niż jeden obiekt nieskończonej wielkości?

– Istnieje odpowiedź na to pytanie, ale ona ci się nie spodoba.

– Sprawdź mnie.

– Idź do biblioteki i znajdź którąś z książek astronomicznych. Nieważne którą. Wszystkie pochodzą z planety Ziemi, więc opierają się na tych samych założeniach. Gdybyśmy teraz znajdowali się na Ziemi, żylibyśmy w nieskończonym wszechświecie, w którym znajduje się pewna liczba dużych, ale skończonych ciał. Tutaj obowiązuje inna zasada: żyjemy w dużym, ale skończonym wszechświecie, w którym znajdują się ciała nieskończonych rozmiarów.

– To bez sensu.

– Wiem – przyznał Blayne. – Uprzedzałem, że odpowiedź ci się nie spodoba.

– Gdzie się znajdujemy?

– Nikt tego nie wie.

– A gdzie jest planeta Ziemia?

– Tego również nie wiadomo.

\* \* \*

– W przeszłości wydarzyło się coś dziwnego – kontynuowałem. – Towarzyszyły mi trzy dziewczyny. Kiedy wędrowaliśmy na południe, ich ciała stopniowo się zmieniały. One...

- Spotkałeś kogokolwiek w przyszłości?
- Nie... trzymaliśmy się z dala od wiosek.
- Na północ od optimum zmienia się wygląd tubylców. Stają się bardzo wysocy i chudzi. Im dalej na północ, tym większym zmianom ulegają czynniki fizyczne.
- Zawędrowałem zaledwie piętnaście mil na północ.
- Więc zapewne niczego byś nie zauważył. Trzydzieści pięć mil na północ od optimum jest już bardzo dziwnie.

\* \* \*

- Dlaczego grunt się przesuwają? – spytałem później.
  - Nie jestem pewien – odrzekł Blayne.
  - Czy ktokolwiek to wie?
  - Nie.
  - Dokąd zmierza?
  - Pytanie powinno brzmieć: „od czego się oddala?” – zauważył Blayne.
  - Ty to wiesz?
  - Destaine twierdził, że ruch gruntu jest cykliczny. W swojej Dyrektywie pisze, że grunt pozostaje nieruchomy na biegunie północnym. Dalej na południu bardzo powoli przemieszcza się w stronę równika. Im bardziej się do niego zbliża, tym bardziej przyśpiesza, zarówno kątowno, ze względu na ruch obrotowy, jak i liniowo. Na najdalszym krańcu porusza się jednocześnie w obu kierunkach z nieskończoną prędkością.
- Wbiłem wzrok w Blayne'a.
- Ale...
  - Zaczekaj... jeszcze nie skończyłem. Świat ma także południową część. Gdyby miał kulisty kształt, nazywalibyśmy ją półkulą, ale Destaine i tak dla wygody używał tego określenia. Na południowej półkuli sytuacja wygląda odwrotnie. Grunt przemieszcza się od równika ku biegunowi południowemu, stale zwalniając. Na biegunie południowym znów nieruchomieje.

- Nadal nie wyjaśniłeś, od czego oddala się grunt.
- Destaine zasugerował, że bieguny północny i południowy są identyczne. Innymi słowy, jeśli jakiś punkt powierzchni dotrze do bieguna południowego, pojawia się na biegunie północnym.
- To niemożliwe!
- Nie według Destaine’a. Twierdził, że świat ma kształt hiperboli, czyli wszystkie jego granice są nieskończone. Jeśli potrafisz sobie to wyobrazić, granice przyjmują przeciwne wartości. Ujemna nieskończoność staje się dodatnią nieskończonością. I odwrotnie.
- Cytujesz go słowo w słowo?
- Tak sędzę. Ale powinienes przeczytać oryginał.
- Mam taki zamiar – zapewniłem.

\* \* \*

Zanim Blayne pojechał na północ, umówiliśmy się, że gdy tylko kryzys poza miastem zostanie zażegnany, wspólnie wyruszymy w podróż.

\* \* \*

Kiedy znów zostałem sam, przeczytałem egzemplarz Dyrektywy Destaine’a, który Blayne zdobył dla mnie od Clausewitza.

Dyrektywa składała się z kilku gęsto zadrukowanych stron. Większość treści byłaby dla mnie niezrozumiała, gdybym przeczytał ją podczas pierwszej wyprawy poza miasto. Teraz, gdy już mogłem się oprzeć na własnych przemyśleniach i doświadczeniach, a także wyjaśnieniach Blayne’a, Dyrektywa tylko potwierdziła to, co wiedziałem. Dostrzegłem sensowność systemu cechowego: doświadczenie doprowadziło mnie do zrozumienia.

W dokumencie było sporo teoretycznej matematyki przeplatanej licznymi obliczeniami i te tylko pobieżnie przejrzałem. Bardziej



zainteresowało mnie coś, co wyglądało na pośpiesznie spisywany dziennik. Jego niektóre części przyciągnęły mój wzrok:

*Znajdujemy się daleko od Ziemi. Wątpię, żebyśmy jeszcze kiedyś ujrzeli naszą ojczystą planetę, ale jeśli mamy tutaj przetrwać, musimy upodobnić się do miniatury Ziemi. Jesteśmy samotni i odizolowani. Wszędzie wokół rozciąga się nieprzyjazny świat, który codziennie zagraża naszemu przetrwaniu. Dopóki przetrwają nasze budynki, dopóty człowiek przeżyje na tym świecie. Ochrona i zachowanie naszego domu są najważniejsze.*

Dalej Destaine napisał:

*Ustaliłem tempo regresji na jedną dziesiątą mili w ciągu dwudziestu trzech godzin i czterdziestu siedmiu minut. Ten ruch na południe co prawda jest powolny, lecz niepowstrzymany; z tego powodu zabudowania należy przemieszczać co dziesięć dni o co najmniej jedną milę.*

*Nic nie może nam w tym przeszkodzić. Napotkaliśmy już jedną rzekę i jej przekroczenie okazało się bardzo ryzykowne. Niewątpliwie natrafimy na kolejne przeszkody, dlatego musimy być gotowi. Powinniśmy się skupić na poszukiwaniach naturalnych materiałów, które będziemy mogli składować wewnątrz budynków i później wykorzystać podczas budowy. Budowa mostu nie powinna nam nastręczyć większych problemów, jeśli będziemy odpowiednio wcześniej wiedzieli o takiej konieczności.*

*Sturner, który był z przodu, ostrzega nas przed bagnami znajdującymi się w odległości kilku mil. Wysłaliśmy ekipy na północny wschód i północny zachód, żeby ustalić, jak rozległe są bagna. Jeżeli nie są zbyt szerokie, na jakiś czas zboczymy z trasy, a później nadrobimy straty.*

Po tym wpisie znajdowały się dwie strony poświęcone teorii, którą usiłował mi wytłumaczyć Blayne. Przeczytałem je dwukrotnie i za każdym razem rozumiałem nieco więcej. W końcu zacząłem czytać dalej.

*Chen dostarczył mi spis rozszczepialnych materiałów, o który prosiłem. Wszystko niepotrzebne! Dzięki generatorowi translateracji już nigdy nie będziemy w potrzebie! Nic nie powiedziałem L. Lubię się z nim spierać... po co z tego rezygnować? Przyszłe pokolenia nie zaznają chłodu!*

*Dzisiejsza temperatura na zewnątrz: -23°C. Wciąż przemieszczamy się na północ.*

*Dalej:*

*Problem z jedną z gąsienic. T. poradził, żebym wydał zgodę na jej rozebranie. Twierdzi, że Sturner znalazł na północy coś, co przypomina pozostałości linii kolejowej. Cóż za niesamowity pomysł, żeby przemieszczać całą placówkę po torach. T. uważa, że to jak najbardziej możliwe.*

*Dalej:*

*Postanowiłem stworzyć system cechowy. To przyjemny archaizm, który wszystkim się podoba, i sposób na zorganizowanie pracy bez drastycznych zmian w zarządzaniu placówką. Możemy stworzyć system, który przetrwa nas wszystkich.*

*Rozbieranie gąsienicy przebiega sprawnie. Spowodowało duże opóźnienie. Mam nadzieję, że nadrobimy.*

*Natasza dzisiaj urodziła: chłopiec.*

*Doktor S. dał mi kolejne pigułki. Twierdzi, że się zapracowuję i powinienem odpocząć. Może później.*

*Pod koniec Dyrektywy pojawił się bardziej dydaktyczny ton:*

*To, co tutaj napisałem, będzie przeznaczone wyłącznie dla osób, które wychodzą na zewnątrz; ludziom wewnątrz placówki nie trzeba przypominać o naszych straszliwych perspektywach. Jesteśmy wystarczająco zorganizowani: dysponujemy możliwościami technicznymi oraz ludzką inicjatywą, które pozwolą nam bezpiecznie trwać w tym świecie. Ci, którzy pojawią się po nas, muszą nauczyć się na własnych błędach, co się stanie, jeśli zaniedbają swoje możliwości lub inicjatywę, a zdobyta w ten sposób wiedza wystarczy, żeby zechcieli w pełni je wykorzystywać.*

*Jak Bóg da, pewnego dnia znajdzie nas ktoś z Ziemi. Na razie naszą maksymą jest przetrwanie za wszelką cenę.*

*Od tej chwili w życie wchodzi następująca zasada:*

*Ostateczna odpowiedzialność spoczywa w rękach Rady. Ludzie ci będą wyznaczali kurs i określać się ich będzie mianem Nawigatorów. W skład Rady nigdy nie będzie wchodziło mniej niż dwanaście osób, które wybierać się będzie spośród starszych członków następujących cechów:*

*Torowi: odpowiedzialni za utrzymanie torów, po których przemieszcza się placówka;*

*Trakcja: odpowiedzialni za podtrzymywanie napędu placówki;*

*Badacze Przyszłości: odpowiedzialni za badanie terenów leżących w przyszłości placówki;*

*Budowniczy Mostów: odpowiedzialni za bezpieczne pokonywanie przeszkód, których nie sposób ominąć.*

*Gdyby w przyszłości konieczne okazało się utworzenie innych cechów, można to uczynić wyłącznie na drodze jednogłośniejszej decyzji Rady.*

*(podpisano)*

*Francis Destaine*

Główną część Dyrektywy stanowiły krótkie wpisy oznaczane datami od 23 lutego 1987 do 19 sierpnia 2023 roku. Ostatniego wpisu dokonano 24 sierpnia 2023 roku.

Do Dyrektywy dołączono dwie kartki. Pierwszą stanowił kodycyl dotyczący utworzenia cechów Handlowców oraz Sił Zbrojnych. Nie oznaczono go żadną datą. Na drugiej kartce znajdował się odręcznie narysowany wykres. Pokazywał hiperbolę utworzoną przez równanie  $y=1/x$ , a pod spodem znajdowało się kilka matematycznych symboli, których nie rozumiałem.

Tak wyglądała Dyrektywa Destaine'a.

Praca na torach na zewnątrz miasta przebiegała sprawnie.

Kiedy dołączyłem do ekip robotników, większość szyn za miastem została już usunięta, a kolejne ekipy układały tory między przełęczą a lasem na dnie długiej płytkiej doliny. Nastroje uległy poprawie; zapewne dzięki udanemu i niezakłóconemu odciążeniu miasta od rzeki. Poza tym sprzyjał nam gradient następnego odcinka. Wiedzieliśmy, że będziemy musieli wykorzystać kable i wyciągi, ponieważ zbocze nie było na tyle strome, by przewyciężyć działanie siły odśrodkowej, które czuliśmy nawet tutaj.

Dziwnie było stać obok miasta i patrzeć na płaski krajobraz rozpościerający się we wszystkich kierunkach. Zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę nie jest on równy; w punkcie optimum, który w ogromnej skali tego świata wcale nie znajdował się daleko, grunt był przechylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni ku północy. Ale czy różniło się to od życia na kulistej powierzchni planety Ziemi? Przypomniałem sobie książkę, którą czytałem w ochronce, napisaną w kraju zwanym Anglią. Książka była przeznaczona dla dzieci i opowiadała o życiu rodziny, która zamierzała emigrować do miejsca zwanego Australią. Dzieci w książce wierzyły, że tam, dokąd się udają, będą żyły do góry nogami, autor zaś postarał się dokładnie wytłumaczyć, że w każdym punkcie na powierzchni kuli stoimy prosto, ze względu na działanie siły grawitacji. Podobnie było na tym świecie. Podróżowałem zarówno na północ, jak i na południe od optimum i grunt zawsze wydawał się równy.

Podobała mi się praca przy torach. Cieszyłem się, że znów mogę pracować fizycznie i nie zaprzętać sobie głowy innymi problemami.

Jedna sprawa wciąż pozostawała niezamknięta: Victoria.

Musiałem się z nią spotkać, nawet jeśli nasza rozmowa miała się okazać niesmaczna, i chciałem to zrobić jak najszybciej. Czułem, że dopóki z nią nie pomówię, niezależnie od wyniku tej rozmowy, nie będę się czuł swobodnie w mieście.

Zaakceptowałem fizyczną naturę miasta. Bardzo niewiele pytań wciąż domagało się odpowiedzi. Rozumiałem, w jaki sposób i w jakim celu przemieszcza się miasto, a także zdawałem sobie sprawę ze wszystkich subtelnych niebezpieczeństw, jakie mu groziły, gdyby kiedyś zaprzestało podróży na północ. Wiedziałem, że miasto jest delikatne, a obecnie również narażone na atak, byłem jednak przekonany, że wkrótce poradzimy sobie z tym problemem.

Jednakże nic nie mogło mi pomóc w przewyciężeniu osobistego kryzysu, jaki przeżyłem, gdy w ciągu zaledwie kilku dni straciłem ukochaną dziewczynę.

\* \* \*

Odkryłem, że jako członek cechu mogę uczestniczyć w zebraniach Rady Nawigatorów. Nie wolno mi było brać w nich czynnego udziału, ale żaden aspekt obrad nie był przede mną ukryty.

Dowiedziałem się o planowanym zebraniu i postanowiłem się na nie wybrać.

Nawigatorzy spotykali się w niewielkiej sali tuż za swoją kwaterą. Spotkanie było rozbijającą nieoficjalne. Spodziewałem się ceremonialności i atmosfery wielkiego święta, ale zebrania były niezbędne dla skutecznego funkcjonowania całego miasta, dlatego musiały przebiegać sprawnie i rzeczowo. Nawigatorzy weszli do sali i zajęli miejsca wokół stołu.

W zebraniu uczestniczyli dwaj Nawigatorzy, których znałem z nazwiska, Olsson i McMahon, oraz trzynastu innych.

Pierwszą sprawą, którą omawiano, była sytuacja militarna na zewnątrz miasta. Jeden ze zgromadzonych wstał, przedstawił się jako Nawigator

Thorens, a następnie złożył zwięzły raport dotyczący aktualnego stanu rzeczy.

Zgodnie ze słowami Nawigatora Siły Zbrojne ustaliły, że w okolicy miasta wciąż przebywa co najmniej setka wrogów, w większości uzbrojonych. Jednak według wywiadu wojskowego mają oni niskie morale i doznali licznych strat, przeciwnie do naszych oddziałów, które są gotowe do dalszej walki. obrońcy miasta obecnie posiadają dwadzieścia jeden karabinów odebranych tukom, a chociaż zdobyli niewiele pocisków, cech Trakcji zdołał opracować metodę produkcji niewielkich ilości amunicji.

Drugi Nawigator potwierdził, że to prawda.

Kolejne sprawozdanie dotyczyło stanu konstrukcji miasta.

Odbyła się długa dyskusja o tym, jak wiele budowli należy naprawić i jak szybko trzeba to zrobić. Ustalono, że kierownicy do spraw wewnętrznych znajdują się pod coraz większą presją, a miejsca noclegowe są pilnie poszukiwane. Nawigatorzy zgodzili się, że priorytetem powinien być nowy blok sypialny.

Rozmowa w naturalny sposób zeszła na szersze kwestie, które bardzo mnie ciekawiły.

Zorientowałem się, że opinie zgromadzonych Nawigatorów były podzielone. Jedna grupa uważała, że jak najszybciej należy przywrócić dotychczasową politykę „miasta zamkniętego”. Pozostali sądzili, że taka formuła się wyczerpała i należy z niej trwale zrezygnować.

Miałem wrażenie, że to kluczowe zagadnienie, które może radykalnie zmienić strukturę społeczną miasta... i rzeczywiście, tak wynikało z przebiegu dyskusji. Gdyby porzucono „zamknięty” system, oznaczałoby to, że wszyscy ludzie dorastający w mieście stopniowo poznaliby prawdę dotyczącą sytuacji miasta. Oznaczałoby to nowy rodzaj edukacji i zmianę pozycji cechów.

Ostatecznie, po licznych wezwaniach do głosowania i kilku poprawkach, Nawigatorzy podnieśli ręce. Jednym głosem przegłosowano tymczasowe przywrócenie systemu „zamkniętego miasta”.

Usłyszałem kolejne wieści. Podczas następnej dyskusji dowiedziałem się, że w mieście przebywa siedemnaście sprowadzonych kobiet, które towarzyszą nam od czasu pierwszego ataku tuków. Nawigatorzy spierali się, co należy z nimi zrobić. Radę poinformowano, że kobiety wyraziły chęć pozostania w mieście. Stało się jasne, że ataki mogły stanowić próbę ich odbicia.

Kolejne głosowanie: kobietom należy zezwolić pozostać w mieście tak długo, jak zechcą.

Postanowiono także nie przywracać sprawdzianów inicjatywy, którym byli poddawani uczniowie, wędrując w tym celu do przeszłości. Zorientowałem się, że sprawdziany zawieszono po pierwszym ataku, a niektórzy Nawigatorzy byli zwolennikami ich przywrócenia. Radę poinformowano, że dwunastu uczniów zginęło, a kolejnych pięciu zaginęło w przeszłości. Sprawdziany na razie pozostały zawieszone.

Fascynowało mnie to, co słyszę. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że Nawigatorzy w takim stopniu ingerują w praktyczne aspekty systemu. Nie mówiono niczego konkretnego, ale wśród niektórych członków cechów panowało przeświadczenie, że Nawigatorzy to grupa ramoli oderwanych od rzeczywistości. Część z nich rzeczywiście była zaawansowana wiekiem, nie stracili jednak przenikliwości. Spoglądając na puste siedzenia przeznaczone dla członków cechów, doszedłem do wniosku, że być może powinni oni liczniej stawiać się na zebrania Rady.

Pojawiły się kolejne zagadnienia. Sprawozdanie, które sporządziliśmy z Dentonem, dotyczące terenów na północy, przedstawił Nawigator McMahon, który dodał, że obecnie odbywają się dwie dodatkowe wyprawy badawcze na tereny położone o pięć stopni na wschód i zachód, a wyniki tych pomiarów będą znane za dzień bądź dwa.

Rada zgodziła się, że miasto powinno podążać tymczasowym kursem wyznaczonym przez Dentona i mnie, dopóki nie opracuje się lepszej trasy.

Wreszcie Nawigator Lucan poruszył temat trakcji miasta. Powiedział, że cech Trakcji opracował projekt, który pozwoli przemieszczać miasto

niedobór dobrej jakości szyn, zatem miasto byłoby przeciągane na krótsze dystanse. Cech Trakcji zasugerował, by układać krótsze odcinki torów na północy i bezustannie używać wyciągów. Byłyby one stopniowo wycofywane w celu dokonywania przeglądów, a jako że nachylenie terenu nam sprzyjało, moglibyśmy utrzymać tempo, które pozwoliłoby nam dogonić optimum na przestrzeni dwudziestu albo dwudziestu pięciu mil.

Pomysł zdobył powszechną aprobatę, chociaż przewodniczący poprosił o szczegółowe sprawozdanie. Podczas głosowania dziewięć osób było za, a sześć przeciw. Uzgodniono, że po złożeniu sprawozdania przez cech Trakcji miasto jak najszybciej zostanie przestawione na tryb bezustannego ruchu.

niedobór dobrej jakości szyn, zatem miasto byłoby przeciągane na krótsze dystanse. Cech Trakcji zasugerował, by układać krótsze odcinki torów na północy i bezustannie używać wyciągów. Byłyby one stopniowo wycofywane w celu dokonywania przeglądów, a jako że nachylenie terenu nam sprzyjało, moglibyśmy utrzymać tempo, które pozwoliłoby nam dogonić optimum na przestrzeni dwudziestu albo dwudziestu pięciu mil.

Pomysł zdobył powszechną aprobatę, chociaż przewodniczący poprosił o szczegółowe sprawozdanie. Podczas głosowania dziewięć osób było za, a sześć przeciw. Uzgodniono, że po złożeniu sprawozdania przez cech Trakcji miasto jak najszybciej zostanie przestawione na tryb bezustannego ruchu.



Wkrótce miałem udać się z misją badawczą na północ. Rankiem przerwano mi pracę przy torach, a Clausewitz poinstruował mnie, na czym polega moje zadanie. Następnego dnia miałem opuścić miasto, powędrować dwadzieścia pięć mil na północ od optimum i przygotować sprawozdanie dotyczące ukształtowania terenu i położenia poszczególnych osad. Mogłem wyruszyć samotnie albo z innym Badaczem. Wspominając nową wartościową znajomość z Blayne'em, poprosiłem o współpracę z nim, a przełożeni wyrazili zgodę.

Nie mogłem się doczekać rozpoczęcia misji. Nie czułem się w obowiązku dalej pracować fizycznie przy torach. Ludzie, którzy nigdy nie byli poza miastem, sprawnie pracowali w zespole i czynili szybsze postępy niż miejscowi robotnicy.

Mieliśmy wrażenie, że od ostatniego ataku tuków upłynęło dużo czasu, i wśród mieszkańców panowały dobre nastroje. Bezpiecznie dotarliśmy do przełęczy; przed nami znajdowało się długie zbocze opadające w głąb doliny. Pogoda nam sprzyjała i ludzie byli pełni optymizmu.

\* \* \*

Wieczorem wróciłem do wnętrza miasta. Postanowiłem omówić misję badawczą z Blayne'em i spędzić noc w kwaterach Badaczy. Mieliśmy wyruszyć o brzasku.

Idąc korytarzami, zauważyłem Victorię.

Pracowała samotnie w malutkim gabinecie, przeglądając dużą stertę dokumentów. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

– Ach, to ty – powiedziała.

– Nie przeszkadzam?

- Jestem bardzo zajęta.
- Ja także.
- Więc zostaw mnie w spokoju i zajmij się tym, co masz zrobić.
- Nie – odparłem. – Chcę z tobą porozmawiać.
- Innym razem.
- Nie możesz bez końca mnie unikać.
- Nie muszę teraz z tobą rozmawiać.

Wytrąciłem jej długopis z dłoni. Papiery spadły na podłogę, a Victoria głośno westchnęła.

- Co się stało, Victorio? Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?
- Wbiła wzrok w rozrzucone dokumenty i nie odpowiedziała.
- No dalej... odpowiedz.
  - To było dawno temu. Czy to wciąż dla ciebie takie ważne?
  - Tak.

Popatrzyła na mnie, a ja odwzajemniłem jej spojrzenie. Bardzo się zmieniła, wydawała się starsza. Była teraz bardziej pewna siebie i niezależna... jednak wciąż w taki sam sposób przekrzywiła głowę i zaciskała dłonie, pozostawiając dwa wyprostowane palce wskazujące.

– Helwardzie, przykro mi, jeśli poczułeś się zraniony, ale wiele przeszedłem. Czy to ci wystarczy?

- Wiesz, że nie. Co z tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy?
- Na przykład?
- Z naszymi prywatnymi i poufnymi sprawami.
- Twoja przysięga jest bezpieczna... nie musisz się tym przejmować.
- Nie o to mi chodziło – odparłem. – Co z całą resztą, z tobą i mną?
- Z szeptanymi rozmowami w łóżku?

Skrzywiłem się.

- Tak.
- To było dawno. – Być może zauważyła moją reakcję, bo jej oblicze nagle złagodniało. – Przepraszam, nie chciałam być bezduszna.

– W porządku. Mów, co chcesz.

– Nie... po prostu nie spodziewałam się, że cię jeszcze zobaczę. Tak długo cię nie było! Mogłeś być martwy, ale nikt nie chciał mi niczego powiedzieć.

– Kogo pytałaś?

– Twojego przełożonego, Clausewitza. Powiedział tylko, że opuściłeś miasto.

– Przecież mówiłem ci, dokąd idę. Na południe od miasta.

– I zapowiedziałeś, że nie będzie cię przez kilka mil.

– Wiem – przyznałem. – Myliłem się.

– Co się stało?

– Coś... mnie zatrzymało. – Nie wiedziałem, jak to wytłumaczyć.

– To wszystko. Coś cię zatrzymało?

– Wyprawa okazała się znacznie dłuższa, niż się spodziewałem.

Victoria zaczęła bez celu przekładać dokumenty, tworząc z nich równą stertę. Robiła to jednak bezwiednie; udało mi się do niej dotrzeć.

– Nigdy nie widziałeś Davida, prawda?

– Davida? Takie imię mu nadałaś?

– Był... – Ponownie podniosła na mnie wzrok, a do oczu napłynęły jej łzy. – Musiałam go oddać do ochronki, miałam tak wiele pracy. Odwiedzałam go każdego dnia, ale potem doszło do pierwszego ataku. Musiałam stać na posterunku przy stanowisku gaśniczym i nie mogłam... Później zesłaliśmy do...

Zamknąłem oczy i odwróciłem się. Victoria ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Opadłem na ścianę, opierając twarz na przedramieniu. Po kilku chwilach również się rozpłakałem.

Jakaś kobieta pośpiesznie weszła do pomieszczenia, zobaczyła, co się dzieje, i zamknęła drzwi. Tym razem oparłem się o nie całym ciężarem ciała, żeby nikt więcej nam nie przeszkadzał.

\* \* \*

– Myślałam, że nigdy nie wrócisz – ciągnęła Victoria. – W mieście panował chaos, ale udało mi się znaleźć kogoś z twojego cechu. Dowiedziałam się, że wielu uczniów zginęło podczas wypraw na południe. Powiedziałam temu człowiekowi, jak dawno temu wyruszyłeś. Nie chciał o niczym przesądzać. Wiedziałam tylko, jak długo cię nie było, i kiedy miałeś wrócić. Minęły prawie dwa lata, Helwardzie.

– Ostrzegano mnie – przyznałem. – Ale nie wierzyłem.

– Dlaczego?

– Miałem do pokonania około osiemdziesięciu mil, tam i z powrotem. Sądziłem, że robię to w ciągu kilku dni. Nikt z cechu nie powiedział mi, dlaczego to niemożliwe.

– Ale wiedzieli?

– Niewątpliwie.

– Mogli chociaż zaczekać, aż urodzi się dziecko.

– Musiałem wyruszyć natychmiast. To była część cechowego szkolenia.

Victoria już się trochę uspokoiła; płacz usunął wszelką niechęć i teraz mogliśmy racjonalnie porozmawiać. Podniosła dokumenty, ułożyła je w równy plik i schowała do szuflady. Usiadłem na krześle pod przeciwległą ścianą.

– Wiesz, że system cechowy będzie musiał się zmienić – powiedziała.

– Nie drastycznie.

– Całkowicie się rozsypie. Musi. Tak naprawdę to już się stało. Teraz każdy może wyjść poza miasto. Nawigatorzy będą kurczowo trzymali się dawnego systemu, ponieważ żyją przeszłością, ale...

– Nie są tak ograniczeni, jak sądzisz – przerwałem jej.

– Kiedy tylko będą mogli, postarają się wrócić do tajemnic i tuszowania prawdy.

– Mylisz się – odpowiedziałem beznamiętnie. – Wiem, że się mylisz.

– W porządku... ale niektóre kwestie będą musiały się zmienić. W mieście nie ma już nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa. Brniemy przez tę krainę za pomocą oszustwa i

grabieży, co w końcu ściągnęło na nas zagrożenie. Najwyższy czas to powstrzymać.

– Victorio, nie...

– Wystarczy popatrzeć na zniszczenia! Zginęło trzydzieścioro dziewięcioro dzieci! Bóg raczy wiedzieć, jakich zniszczeń doznało miasto. Sądzisz, że przetrwamy, jeśli tubylcy będą nas atakować?

– Sytuacja się uspokoiła. Wszystko jest pod kontrolą.

Pokręciła głową.

– Nie obchodzi mnie, jak obecnie wygląda sytuacja. Myślę o dłuższej perspektywie. Za wszystkimi naszymi problemami stoi konieczność przemieszczania miasta. To właśnie ten warunek sprowadza na nas zagrożenie. Wkraczamy na tereny innych ludzi, wynajmujemy siłę roboczą do układania torów, sprowadzamy miejscowe kobiety, by uprawiały seks z nieznanymi mężczyznami... a to wszystko po to, żeby miasto mogło się poruszać.

– Miasto nie może się zatrzymać – odrzekłem.

– Sam widzisz... już jesteś częścią systemu cechowego. Wciąż powtarzasz to samo, nie patrząc na sprawy w szerszym świetle. Miasto musi się przemieszczać, miasto musi się przemieszczać. Nie przyjmuj tego jako prawdy absolutnej.

– To jest prawda absolutna. Wiem, co by się stało, gdybyśmy się zatrzymali.

– Co?

– Miasto zostałoby zniszczone i wszyscy by zginęli.

– Nie możesz tego dowieść.

– Nie... ale wiem, że tak by się stało.

– Myślę, że się mylisz – odparła Victoria. – Zresztą nie ja jedna. Cały czas słyszę wokół siebie takie opinie. Ludzie potrafią samodzielnie myśleć. Byli na zewnątrz, widzieli, jak tam jest. Nie ma żadnego zagrożenia poza tym, które sami dla siebie stwarzamy.

– To nie jest nasz konflikt – odrzekłem. – Chciałem z tobą porozmawiać o nas.

– Ale to wszystko się ze sobą łączy. To, co nas spotkało, jest nierozzerwalnie związane z zasadami panującymi w mieście. Gdybyś nie był w cechu, być może nadal mieszkalibyśmy razem.

– Czy jest jakakolwiek szansa...?

– Chcesz tego?

– Nie jestem pewien – przyznałem.

– To niemożliwe. Przynajmniej dla mnie. Nie potrafiłabym pogodzić tego, w co wierzę, z twoim stylem życia. Próbowaliśmy, ale to tylko nas rozdzieliło. Poza tym mieszkam z...

– Wiem.

Popatrzyła na mnie, a ja poczułem w jej spojrzeniu wyobcowanie, jakiego doświadczyła.

– Czy ty w nic nie wierzysz, Helwardzie?

– Tylko w to, że system cechowy, pomimo wszystkich niedoskonałości, jest rozsądny.

– I chcesz, żebyśmy znów byli razem, mimo że wierzymy w tak odmienne rzeczy. To nie ma szans powodzenia.

Miała rację; oboje bardzo się zmieniliśmy. Nie miało sensu zastanawianie się, co mogłoby się wydarzyć w innych okolicznościach. Nie dało się oddzielić osobistych relacji od systemu rządzącego miastem.

Mimo to ponownie spróbowałem wytłumaczyć Victorii, jak nagle to wszystko na mnie spadło, i znaleźć sposób na rozniecenie uczuć, które łączyły nas na początku. Muszę przyznać, że potraktowała mnie życzliwie, ale oboje w końcu doszliśmy do tego samego wniosku, chociaż innymi drogami. Poczułem się lepiej po naszym spotkaniu, a kiedy ją zostawiłem i ruszyłem w stronę kwater Badaczy, wiedziałem, że udało nam się rozwiązać najgorszy z dręczących nas problemów.

Następny dzień, kiedy wyruszyłem z Blayne'em na północ, żeby rozpocząć pomiary przyszłości, wyznaczał początek długiego okresu, który miał przynieść miastu zarówno nowe poczucie bezpieczeństwa, jak i radykalne zmiany.

Widziałem, jak ten proces zachodzi stopniowo, ponieważ moje poczucie czasu było zakłócone za sprawą podróży na północ. Doświadczenie nauczyło mnie, że dzień spędzony w odległości dwudziestu mil na północ od optimum odpowiada jednej godzinie w mieście. W miarę możliwości starałem się być na bieżąco z wydarzeniami w mieście, jak najczęściej uczestnicząc w zebraniach Nawigatorów.

Spokój miejskiego życia, jakiego doświadczyłem, gdy po raz pierwszy podjąłem pracę na zewnątrz, wrócił szybciej, niż większość ludzi się spodziewała.

Tukowie zaprzestali ataków, aczkolwiek jeden ze zbrojnych, który wykonywał misję wywiadowczą, został schwytany i zabity. Wkrótce potem przywódcy Sił Zbrojnych ogłosili, że tukowie się rozpraszają i wycofują do swoich osad na południu.

Chociaż jeszcze długo wystawiano strażę – i tak naprawdę już nigdy nie zrezygnowano z czujności – ludzi z Sił Zbrojnych stopniowo zwalniano do pracy przy innych projektach.

Zgodnie z tym, co ustalono podczas pierwszego zebrania Rady, zmieniono metodę wciągania miasta. Po kilku początkowych trudnościach miasto skutecznie przestawiło się na system ciągłego ruchu, który wymagał stosowania złożonego układu przeplatających się kabli i zsynchronizowanego układania torów. W końcu pokonywanie jednej dziesiątej mili w ciągu dwudziestu czterech godzin nie stanowiło dużego wyzwania i już wkrótce miasto osiągnęło optimum.

Odkryto, że zapewnia to miastu większą swobodę ruchu, na przykład umożliwi wykonywanie długich objazdów, jeśli trasę na północ zagraża duża przeszkoda.

Ukształtowanie terenu nam sprzyjało. Jak wykazały nasze pomiary, poziom gruntu się obniżał i częściej napotykał się opadające zbocza niż podjazdy.

Przez region płynęło wiele rzek, zatem Budowniczy Mostów nie narzekali na brak zajęcia, chociaż dzięki osiągnięciu optimum i większej szybkości, z jaką miasto mogło się przemieszczać względem gruntu, mieliśmy dość czasu na podejmowanie decyzji i budowę bezpiecznych mostów.

Po krótkim wahaniu przywrócono system handlowy.

Mieszkańcy miasta uczyli się na błędach, więc negocjacje handlowe prowadzono bardziej skrupulatnie niż dotychczas. Miasto hojniej płaciło za siłę roboczą – której wciąż potrzebowało – i długo unikało sprowadzania kobiet.

Podczas długiej serii zebrań Rady śledziłem debatę dotyczącą tej kwestii. W mieście nadal przebywało siedemnaście sprowadzonych kobiet, które towarzyszyły nam od czasu pierwszego ataku i nie miały zamiaru wracać. Nadal jednak rodzili się głównie chłopcy i wewnątrz Rady powstała silna grupa nacisku nawołująca do przywrócenia dawnego systemu. Nikt nie wiedział, skąd bierze się ta nierównowaga płci, ale nie dało się jej zaprzeczyć. Poza tym trzy ze sprowadzonych kobiet urodziły podczas ostatnich kilku mil, a wszystkie dzieci okazały się chłopcami. Sugerowano, że im dłużej kobiety z zewnątrz pozostają w mieście, tym większe prawdopodobieństwo, że urodzą dziecko płci męskiej. Nikt nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje.

Podczas ostatniego liczenia ustalono, że w mieście przebywa siedemdziesięć sześciu chłopców i czternaście dziewczynek w wieku poniżej stu pięćdziesięciu mil.

Kiedy te różnice stały się jeszcze wyraźniejsze, grupa nacisku urosła w siłę i wkrótce cech Handlowców uzyskał zgodę na podjęcie negocjacji.



To właśnie ta decyzja najsilniej uwypukliła zmiany zachodzące w społeczności miasta.

System „otwartego miasta” pozostał, a ludziom nienależącym do cechów zezwolono na udział w zebraniach Nawigatorów w charakterze widzów. Już kilka godzin po ogłoszeniu, że miasto znów zacznie prowadzić kobiety, dowiedzieli się o tym wszyscy mieszkańcy i pojawiło się wiele głosów sprzeciwu. Mimo wszystko decyzja została podtrzymana.

Ponownie zaczęto korzystać z wynajętej siły roboczej, choć w znacznie mniejszym stopniu niż dawniej, a przy torach i kablach stale pracował tłum ludzi z miasta.

Niewiele kwestii dotyczących funkcjonowania miasta pozostało tajemnicą.

Jednakże wiedza o prawdziwej naturze świata, w którym żyliśmy, wciąż pozostawała na słabym poziomie.

Podczas jednej z debat po raz pierwszy usłyszałem słowo „Wstrzymywacze”. Wyjaśniono, że jest to grupa ludzi, którzy aktywnie sprzeciwiają się dalszemu ruchowi miasta i dążą do jego zatrzymania. Dowiedziałem się, że Wstrzymywacze nie są skłonni do przemocy i nie podejmują bezpośrednich działań, jednak cieszą się coraz większym poparciem w mieście.

Postanowiono o wdrożeniu programu reedukacji, żeby podkreślić konieczność przemieszczania miasta na północ.

Kolejne zebranie zostało brutalnie zakłócone.

Grupa ludzi wdarła się do sali i usiłowała dojść do głosu.

Nie zdziwiłem się, gdy zobaczyłem wśród nich Victorię.

Po głośniejszej kłótni Nawigatorzy wezwali na pomoc zbrojnych i zebranie zostało zakończone.

O ironio, to zakłócenie porządku odniosło skutek pożądaný przez Wstrzymywaczy. Zebrania Nawigatorów znów zamknięto dla widzów, co dodatkowo pogłębiło różnice opinii między zwykłymi obywatelami. Wstrzymywacze cieszyli się ogromnym poparciem, ale nie dysponowali realną władzą.

Później doszło do kilku incydentów. Ktoś w tajemniczych okolicznościach przeciął jeden z kabli, a któryś ze Wstrzymywaczy pewnego dnia próbował namówić wynajętych robotników, by wrócili do wiosek... jednakże te działania pozostawały jedynie drobnym cierniem w boku Nawigatorów.

Reedukacja przebiegała sprawnie. Zorganizowano serię cieszących się powodzeniem wykładów, podczas których opowiadano o nietypowych niebezpieczeństwach tego świata. Wzór hiperboli stał się symbolem miasta, a członkowie cechów zaczęli go nosić na piersi, gdzie był wpisany w okrąg.

Nie wiem, jak wiele z tego rozumieli zwykli mieszkańcy miasta. Przypadkiem usłyszałem, jak o tym dyskutują, i doszedłem do wniosku, że wpływ Wstrzymywaczy osłabia naszą argumentację. Mieszkańcom zbyt długo pozwalano wierzyć, że miasto istnieje w świecie, który przypomina planetę Ziemię. Być może prawda była zbyt absurdalna, żeby dać jej wiary: ludzie słuchali tego, co im mówiliśmy, i może nawet to rozumieli, lecz słowa Wstrzymywaczy odwoływały się do ich emocji.

Mimo wszystko miasto wciąż powoli sunęło na północ. Czasami odrywałem się od innych zajęć i próbowałem w myślach spojrzeć na nie jak na pyłek materii w obcym świecie; widziałem w nim obiekt usiłujący przetrwać w innym wszechświecie, miasto pełne ludzi przycupnięte na zboczu nachylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wciągnane wbrew nurtowi przesuwającego się gruntu na cienkich nitkach kabli.

\* \* \*

Kiedy miasto wróciło do bardziej stabilnego środowiska, badanie przyszłości stało się rutynową czynnością.

Dla naszych potrzeb tereny na północ od miasta podzielono na serię segmentów, które rozchodziły się od optimum w odstępach pięciu stopni. W normalnych okolicznościach nie bralibyśmy pod uwagę trasy oddalonej

od kursu północnego bardziej niż o piętnaście stopni, teraz jednak pozwalała nam na taką elastyczność zwiększona swoboda ruchu miasta.

Działaliśmy w prosty sposób. Badacze wyjeżdżali na północ – samotnie albo, jeśli chcieli, w parach – i dokładnie mierzyli przydzielone obszary. Mieliśmy do dyspozycji mnóstwo czasu.

Na północy wielokrotnie uwodziło mnie poczucie wolności, które według Blayne'a było częste wśród większości Badaczy. Po co wracać, skoro leniwy dzień spędzony nad brzegiem rzeki równa się zaledwie kilku minutom w mieście?

\* \* \*

Za czas spędzany na północy trzeba było zapłacić cenę, z której nie zdawałem sobie sprawy, dopóki na własne oczy nie zobaczyłem jej skutków. Dzień spędzony na odpoczynku na północy był dniem zabranym z mojego życia. W ciągu pięćdziesięciu dni postarzałem się o odpowiednik pięciu mil, ale ludzie w mieście byli starsi o zaledwie cztery dni. Początkowo nie miało to znaczenia: wracaliśmy tak często, że nie dostrzegałem żadnej różnicy. Jednakże stopniowo zacząłem zwracać uwagę na to, że ludzie, których znałem – Victoria, Jase, Malchuskin – wcale się nie starzeją, w odróżnieniu ode mnie, co pewnego dnia ujrzałem w lustrze.

\* \* \*

Nie chciałem związać się na stałe z kolejną dziewczyną: przekonanie Victorii, że zasady życia w mieście zniszczą każdy związek, nabierało większego znaczenia za każdym razem, gdy je rozważałem.

Do miasta wkrótce miały przybyć pierwsze ze sprowadzonych kobiet, a ja, jako nieżonaty mężczyzna, mogłem zostać tymczasowym partnerem dla jednej z nich. Początkowo odrzuciłem ten pomysł, uznając go za odrażający, gdyż byłem zdania, że nawet czysto fizyczny związek powinien

się opierać na wspólnocie emocji. Władze jednak postarały się, żeby dobór partnerów przebiegał w jak najbardziej subtelny sposób. Za każdym razem, gdy przebywałem w mieście, zachęcano mnie – oraz innych wolnych mężczyzn – do zapoznawania się ze sprowadzonymi dziewczętami w specjalnej sali rekreacyjnej. Początkowo było to żenujące i upokarzające, lecz stopniowo przywykłem do tych spotkań i pozbyłem się zahamowań.

Z czasem polubiliśmy się z dziewczyną imieniem Dorita, a wtedy udostępniono nam pokój, w którym mogliśmy wspólnie zamieszkać. Niewiele nas łączyło, chociaż zachwyciły mnie jej próby mówienia po angielsku, a ona najwyraźniej lubiła moje towarzystwo. Wkrótce zaszła w ciążę, a ja pomiędzy misjami badawczymi obserwowałem, jak jej ciąża się rozwija.

Przebiegało to niewiarygodnie wolno.

\* \* \*

Coraz bardziej frustrował mnie powolny ruch miasta. Według mojego subiektywnego odczucia minęło sto pięćdziesiąt albo nawet dwieście mil od chwili, gdy zostałem członkiem cechu Badaczy, lecz miasto wciąż było widać ze wzgórz, przez które przejeżdżaliśmy w czasie ataku.

Złożyłem wniosek o tymczasowe przeniesienie do innego cechu; chociaż lubiłem swobodę, jaką dawała mi przyszłość, czułem, że czas przecieka mi przez palce.

Przez kilka mil pracowałem w cechu Trakcji, a w tym czasie Dorita urodziła. Na świat przyszły bliźnięta: chłopiec i dziewczynka. Było to wielkie święto... Jednakże pewien aspekt życia w mieście stawał się dla mnie trudny do zniesienia. Kiedy współpracowałem z Jase'em, był ode mnie starszy o zaledwie kilka mil. Teraz wyglądał znacznie młodziej i niewiele nas łączyło.

Wkrótce po porodzie Dorita opuściła miasto, a ja wróciłem do swojego cechu.

Podobnie jak inni Badacze Przyszłości, których widywałem jako uczeń, stawałem się wyrzutkiem w mieście. Najbardziej lubiłem swoje własne towarzystwo, cieszyłem się skradzionymi godzinami na północy, w mieście czułem się niepewnie. Zainteresowałem się rysowaniem, ale nikomu o tym nie powiedziałem. Starąłem się wypełniać swoje cechowe obowiązki szybko i sprawnie, a potem samotnie jechałem na północ i szkicowałem wszystko, co tam widziałem, próbując oddać w swoich pracach wygląd terenów, na których czas niemal stał w miejscu.

Obserwowałem miasto z daleka, dostrzegając, jak bardzo jest obce; nie pochodziło z tego świata i już nie było mi bliskie. Brnęło naprzód, mila za milą, nie znajdując, a nawet nie szukając, ostatecznego spoczynku.

## Część czwarta

Czekała w drzwiach kościoła, podczas gdy po przeciwnej stronie placu trwała dyskusja. Za nią, w tymczasowym warsztacie, ksiądz i dwaj asystenci cierpliwie odnawiali gipsowy wizerunek Najświętszej Marii Panny. W kościele panował chłód i mimo że część dachu się zapadła, było czysto i spokojnie. Wiedziała, że nie powinna tutaj być, ale instynkt kazał jej wejść do środka, kiedy przybyli dwaj mężczyźni.

Teraz patrzyła, jak szczerze rozmawiają z Luizem Carvalhem, samozwańczym przywódcą wioski, oraz garstką innych mężczyzn. Być może w dawnych czasach kapłan wziąłby na siebie odpowiedzialność za całą społeczność, ale ksiądz dos Santos był, podobnie jak ona, nowy w wiosce.

Mężczyźni przyjechali do wioski konno wyschniętym korytem strumienia i teraz ich wierzchowce się pasły, podczas gdy oni rozmawiali. Znajdowała się zbyt daleko, żeby słyszeć, co mówią, ale wyglądało na to, że uzgadniają warunki jakiejś transakcji. Mężczyźni z wioski udawali, że nie są zainteresowani, ale gdyby rzeczywiście tak było, z pewnością nie kontynuowaliby rozmowy.

Zaciekawili ją jeźdźcy. Z pewnością nie pochodzili z żadnej z okolicznych wiosek. Drastycznie różnili się wyglądem od jej pobratymców: byli ubrani w czarne peleryny, obcisłe spodnie i skórzane buty. Ich konie były osiodłane i sprawiały wrażenie zadbanych, a chociaż dźwigały duże juki wypchane sprzętem, nie wyglądały na zmęczone. Żaden z koni, które widziała w okolicy, nie był w tak dobrym stanie.

Ciekawość zaczynała w niej przeważać nad instynktem, dlatego zbliżyła się, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Kiedy to zrobiła, negocjacje najwyraźniej już dobiegły końca, ponieważ mieszkańcy wioski się odwrócili, a dwaj mężczyźni podeszli do swoich wierzchowców.

Szybko wskoczyli na siodła i odjechali tą samą drogą, którą przybyli. Stała i patrzyła na nich, rozważając, czy za nimi nie podążyc.

Kiedy zniknęli za drzewami porastającymi brzegi strumienia, pośpiesznie opuściła plac, przebiegła pomiędzy dwoma domami i wspięła się na znajdujące się za nimi wzniesienie. Po kilku chwilach zobaczyła mężczyzn wyłaniających się zza drzew. Przejechali jeszcze kawałek, a następnie ściągnęli wodze i stanęli.

Rozprawiali o czymś około pięciu minut, kilkakrotnie oglądając się w stronę wioski.

Pozostawała w ukryciu, stojąc w gęstych zaroślach, które porastały całe wzgórze. Nagle jeden z mężczyzn uniósł dłoń i zawrócił konia. Pogalopował w stronę odległych wzgórz; z kolei jego kompan zwrócił się w przeciwnym kierunku i ruszył leniwym tempem.

Wróciła do wioski i znalazła Luiza.

– Czego chcieli? – spytała.

– Potrzebują ludzi do jakiejś pracy.

– Przystajesz na to?

– Wrócą jutro – odpowiedział wymijająco.

– Zapłacą?

– Jedzeniem. Popatrz.

Wyciągnął w jej stronę kawałek chleba, a ona go przyjęła. Był brązowy i świeży, ładnie pachniał.

– Skąd go mają?

Luiz wzruszył ramionami.

– Mają też jakiś wyjątkowy rodzaj jedzenia.

– Dali ci trochę?

– Nie.

Zmarszczyła czoło, ponownie zastanawiając się, kim są ci ludzie.

– Coś jeszcze?

– Tylko to.

Pokazał jej mały worek, a ona go otworzyła. W środku znajdował się gruboziarnisty biały proszek. Powąchała go.



- Powiedzieli, że dzięki niemu zaczną rosnać owoce.
- Mają tego więcej?
- Tyle, ile będziemy potrzebować.

Odstawiła worek i wróciła do przykościelnego warsztatu. Po rozmowie z księdzem Santosem szybko udała się do stajni i osiodłała swojego wierzchowca.

Wyjechała z wioski korytem wyschniętego strumienia i podążyła śladem drugiego z mężczyzn.

Za wioską znajdował się rozległy obszar zarośli upstrzonych drzewami. Wkrótce zobaczyła przed sobą mężczyznę, który kierował się ku lasowi. Wiedziała, że po jego drugiej stronie płynie rzeka, a dalej wznoszą się niskie wzgórza.

Trzymała się na dystans, nie chcąc, żeby ją zauważył. Najpierw chciała się dowiedzieć, dokąd zmierza.

Kiedy wjechał do lasu, straciła go z oczu, więc zeskoczyła na ziemię i poprowadziła konia za uzdę, uważnie się rozglądając. Wkrótce usłyszała szum rzeki; była płytka o tej porze roku i miała dno usiane kamykami.

Najpierw zobaczyła konia uwiązane do drzewa. Przywiązała także swojego wierzchowca i ruszyła dalej pieszo. Pod drzewami było ciepło i spokojnie, a ona czuła się brudna po przejeździe. Ponownie zastanowiła się, co ją skłoniło, żeby podążyć za tym mężczyzną, mimo że rozsądek przestrzegał ją przed licznymi potencjalnymi niebezpieczeństwami. Ale ci dwaj goście w wiosce zachowywali się przyjaźnie i chociaż byli tajemniczy, to nie wydawali się groźni.

Zbliżając się do skraju lasu, zaczęła się przemieszczać ostrożniej. W końcu przystanąła i popatrzyła w dół niskiego brzegu w stronę wody.

Dostrzegła mężczyznę i przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

Zrzucił pelerynę, która leżała razem z butami obok niewielkiej sterty sprzętu. Wszedł do wody i wyraźnie rozkoszował się chłodem. Nie zdając sobie sprawy, że ktoś go obserwuje, rozchlapywał wodę nogami, wyrzucając w górę lśniące krople. Potem pochylił się, nabrał nieco wody na złożone dłonie i polał sobie twarz oraz szyję.

Odwrócił się, wyszedł z rzeki i zbliżył się do swojego sprzętu. Z czarnego skórzanego futerału wyjął małą kamerę, a następnie zawiesił

futerał na ramieniu i połączył go z kamerą za pomocą krótkiego przewodu pokrytego plastikiem. Następnie przymocował z boku małą okutą gałkę.

Na chwilę odłożył kamerę i rozwinął długą rolkę papieru, która przypominała zwój. Rozłożył ją na ziemi i przez kilka chwil wpatrywał się w nią z namysłem, po czym zabrał kamerę i wrócił nad brzeg rzeki.

Przez kilka sekund kierował obiektyw w górę nurtu rzeki, potem opuścił kamerę i się obrócił. Skierował obiektyw ku przeciwnemu brzegowi, a następnie w kierunku kobiety, czym ją wystraszył. Szybko przykucnęła, a z jego braku reakcji wywnioskowała, że jej nie zauważył. Kiedy znów wyjrzała, kierował obiektyw z prądem rzeki.

Wrócił do rozwiniętego papieru i starannie zapisał na nim kilka symboli.

Sprawnie schował kamerę do futerału, zwinął papier i schował go razem z resztą ekwipunku.

Przeciągnął się i podrapał tył głowy. Ślamazarnie wrócił nad wodę, usiadł i zanurzył stopy w rzece. Po chwili westchnął i położył się, zamykając oczy.

Uważnie mu się przyglądała. Z pewnością wyglądał niegroźnie. Był potężny i muskularny, a jego twarz i ręce pokrywała ciemna opalenizna. Miał długie, potargane włosy: potężną jasnokasztanową czuprynę. Nosił brodę. Szacowała jego wiek na trzydzieści kilka lat. Pomimo brody miał wyrazistą, młodzieńczą twarz; uśmiechał się pod wpływem prostej zwierzęcej przyjemności, jaką dawało mu moczenie nóg w zimnej wodzie podczas upału.

Od czasu do czasu leniwie odpędzał muchy, które krążyły wokół jego twarzy.

Po kilku chwilach wahania ruszyła naprzód i na wpół zeszła, na wpół ześlizgnęła się po brzegu, spychając przed sobą niewielką lawinę ziemi.

Mężczyzna zareagował natychmiast. Usiadł, gwałtownie się obejrzał i zerwał na równe nogi. Jednocześnie niezdarnie się obrócił i poślizgnął, padając na brzuch i trzepocząc nogami w wodzie.

Kobieta zaczęła się śmiać.

Nieznajomy odzyskał równowagę i rzucił się w stronę swojego sprzętu. Kilka sekund później trzymał w dłoniach karabin.

Przestała się śmiać... ale on nie uniósł broni. Zamiast tego powiedział coś po hiszpańsku, tak nieudolnie, że go nie zrozumiała.

Tylko trochę знаła ten język, więc zamiast tego odezwała się w mowie mieszkańców wioski.

– Nie chciałam się śmiać...

Pokręcił głową, a następnie uważnie się jej przyjrzał. Rozłożyła ręce, żeby udowodnić, że nie ma przy sobie żadnej broni, i uśmiechnęła się uspokajająco, a przynajmniej miała taką nadzieję. Wydawało się, że mężczyzna dał się przekonać, że nic mu nie grozi, ponieważ odłożył karabin.

Ponownie odezwał się w fatalnym hiszpańskim, a potem mruknął coś po angielsku.

– Mówi pan po angielsku? – spytała.

– Tak. A pani?

– Jakby to był mój ojczysty język. – Znow się roześmiała. – Mogę do pana dołączyć?

Skinęła głową w stronę rzeki, ale on dalej tępo się w nią wpatrywał. Zsunęła buty i zeszła nad wodę. Zanurzyła nogi, podciągając spódnicę. Woda była lodowato zimna; jej palce boleśnie się zgięły, ale uczucie było cudowne. Po chwili usiadła na piasku, nie wyjmując nóg z wody.

Podszedł i usiadł obok niej.

– Przepraszam za broń. Przestraszyła mnie pani.

– Ja także przepraszam – odpowiedziała. – Ale sprawiał pan tak błogie wrażenie...

– To najlepsze, co można zrobić w taki dzień.

Razem wpatrywali się w wodę obmywającą im stopy. Pod falującą powierzchnią białe ciało zniekształcało się jak płomień migoczący na wietrze.

– Jak pan się nazywa? – spytała.

– Helward.

– Helward. – Wsłuchała się w brzmienie tego słowa. – To pańskie nazwisko?

– Nie. Moje pełne nazwisko to Helward Mann. A pani?

– Elizabeth. Elizabeth Khan. Ale nie lubię, kiedy mi się mówi po imieniu.

– Przepraszam.

Zerknęła na niego. Sprawiał wrażenie bardzo poważnego.

Nieco zbił ją z tropu jego akcent. Zdawała sobie sprawę, że nie pochodzi z tej okolicy, a po angielsku mówi swobodnie i bez wysiłku, ale dziwacznie wymawia samogłoski.

– Skąd pan pochodzi?

– Mieszkam niedaleko. – Nagle wstał. – Lepiej napoję zwierzę.

Ponownie się potknął, kiedy wspinał się na brzeg, ale tym razem Elizabeth się nie zaśmiała. Wszedł między drzewa, nie zabierając sprzętu. Zostawił karabin. Raz obejrzał się na nią przez ramię, po czym się odwrócił.

Kiedy wrócił, prowadził oba konie. Elizabeth wstała i poprowadziła swojego wierzchowca do wody.

Stojąc pomiędzy końmi, głaskała klacz Helwarda po szyi.

– Jest piękna – powiedziała. – Należy do pana?

– Nie, po prostu dosiadam jej częściej niż innych koni.

– Jak ją pan nazywa?

– Nie... nie nadałem jej imienia. Powinienem to zrobić?

– Tylko jeśli pan chce. Mój koń także nie ma imienia.

– Lubię jeździć konno – rzekł nagle Helward. – To najlepsze w mojej pracy.

– To oraz taplanie się w rzekach. Czym pan się zajmuje?

– Jestem... Tak naprawdę to nie ma nazwy. A pani?

– Jestem pielęgniarką. To znaczy oficjalnie. Zajmuję się wieloma rzeczami.

– Mamy pielęgniarki – odrzekł. – W... miejscu, z którego pochodzę.

Popatrzyła na niego z nowym zainteresowaniem.

– Gdzie to jest?

– To miasto. Na południu.

– Jak się nazywa?

– Ziemia. Ale przeważnie nazywamy je po prostu miastem.

Elizabeth uśmiechnęła się niepewnie, nie wiedząc, czy dobrze usłyszała.

– Niech mi pan o nim opowie.

Pokręcił głową. Konie skończyły pić i zaczęły się do siebie tulić.

– Lepiej już pojedę – powiedział.

Szybko podszedł do swojego sprzętu, zebrał go i pośpiesznie wpełznął do juków. Elizabeth patrzyła na to z zaciekawieniem. Kiedy skończył, chwycił wodze, zawrócił klacz i wprowadził ją na brzeg. Przystanął na skraju lasu i obejrzał się.

– Przepraszam. Pewnie uważa mnie pani za gbura. Po prostu... nie przypomina pani innych.

– Innych?

– Ludzi, którzy tutaj mieszkają.

– Czy to źle?

– Nie. – Rozejrzał się, jakby szukał kolejnego pretekstu, żeby z nią zostać. Nagle zmienił zdanie co do odejścia. Przywiązał wierzchowca do najbliższego drzewa. – Mogę panią o coś spytać?

– Oczywiście.

– Zastanawiam się... czy mógłbym panią narysować?

– Narysować mnie?

– Tak... wystarczy szkic. Nie jestem w tym zbyt dobry. Robię to od niedawna. Kiedy tutaj jestem, spędzam dużo czasu na rysowaniu tego, co widzę.

– Właśnie to pan robił, kiedy pana spotkałam?

– Nie. To była tylko mapa. Chodziło mi o prawdziwe rysunki.

– Dobrze. Mam dla pana pozować?

Pogrzebał w jukach i wyjął plik kartek różnych rozmiarów. Zaczął je nerwowo przerzucać, a Elizabeth zauważyła, że znajdują się na nich

szkice.

– Niech pani tam stanie – powiedział Helward. – Nie... obok swojego konia.

Usiadł na brzegu i położył sobie kartki na kolanach. Obserwowała go, wciąż zbита z tropu tym nagłym zwrotem wydarzeń, czując wzbierającą niepewność, która zazwyczaj była obca jej naturze. Helward popatrzył na nią znad szkicownika.

Stała obok swojego wierzchowca i wsunęła mu rękę pod szyję, tak że mogła go pogłaskać z drugiej strony, a koń zareagował, przyciskając do niej pysk.

– Źle pani stoi. Proszę odwrócić się bardziej w moją stronę.

Jej niepewność przybrała na sile; Elizabeth uświadomiła sobie, że stoi w nienaturalnej, niezręcznej pozie.

Helward rysował w najlepsze, zapelniając kolejne arkusze, a ona wreszcie zaczęła się odprężać. Postanowiła nie zwracać na niego uwagi i ponownie pogłaskała konia. Po chwili Helward poprosił, żeby usiadła w siodle, ale Elizabeth czuła się coraz bardziej zmęczona.

– Mogę zobaczyć, co pan narysował?

– Nigdy nie pokazuję nikomu swoich prac.

– Proszę, nikt nigdy mnie nie rysował.

Przejrzał kartki i wybrał kilka z nich.

– Nie wiem, co pani sobie pomyśli.

Wzięła od niego szkice.

– Boże, naprawdę jestem taka chuda? – odezwała się bez namysłu.

Spróbował odebrać jej kartki.

– Proszę mi je oddać.

Odwróciła się od niego i przejrzała pozostałe szkice. Rozpoznała siebie, ale jego wyczucie proporcji było... nietypowe. Na rysunkach zarówno ona, jak i koń byli zbyt wysocy i smukli. Efekt nie był nieprzyjemny, ale dosyć dziwny.

– Proszę... chciałbym je dostać z powrotem.

Oddała mu kartki, a on schował je na spód sterty. Nagle odwrócił się do niej plecami i odszedł w stronę swojej klaczy.

– Obraziłam pana? – spytała Elizabeth.

– Nic się nie stało. Wiedziałem, że nie powinienem ich pani pokazywać.

– Myślę, że są doskonałe. Po prostu... to spory szok zobaczyć siebie oczami kogoś innego. Mówiłam panu, że nigdy wcześniej nikt mnie nie rysował.

– Trudno się panią rysuje.

– Mogłabym zobaczyć inne szkice?

– Nie zaciekawiają pani.

– Nie próbuję pana udobruchać. Naprawdę mnie to interesuje.

– Dobrze.

Wręczył jej cały plik kartek i poszedł do wierzchowca. Elizabeth usiadła i zaczęła przeglądać szkice, zdając sobie sprawę, że Helward tylko udaje, że poprawia uprzęż, a tak naprawdę czeka na jej reakcję.

Rysunki przedstawiały różne obiekty. Na kilku znajdowała się jego klacz: skubiąca trawę, stojąca, zarzucająca łbem.

Były one niesamowicie naturalistyczne; za pomocą kilku kresek Helward uchwycił esencję zwierzęcia dumnego, a zarazem łagodnego, poskromionego, a jednak decydującego o sobie. Co ciekawe, proporcje na rysunku zostały idealnie oddane. Zauważyła też kilka szkiców jakiegoś mężczyzny... Autoportretów? A może rysunków człowieka, z którym wcześniej widziała Helwarda? Mężczyzna otulał się peleryną, pozował bez peleryny, stał obok konia, korzystał z kamery. Także tutaj proporcje były bezbłędne.

Kilka szkiców przedstawiało elementy krajobrazu: drzewa, dziwną konstrukcję ciągniętą na linach, odległy łańcuch wzgórz. Pejzaże nie były tak udane; proporcje czasami były właściwe, ale niekiedy pojawiały się nieprzyjemne zniekształcenia, których nie potrafiła do końca zidentyfikować. Czyżby jakiś błąd perspektywy? Nie umiała tego określić, gdyż nie dysponowała wystarczającym zasobem artystycznego słownictwa.



Na spodzie sterty znalazła rysunki, które ją przedstawiały. Pierwsze nie były zbyt dobre. Trzy, które jej pokazywał, udały się najlepiej, chociaż jej sylwetka oraz postać konia były zaskakująco wydłużone.

– I co? – spytał.

– Myślę... – Nie potrafiła znaleźć właściwych słów. – Myślę, że są dobre. Bardzo nietypowe. Ma pan znakomite oko.

– Jest pani trudnym obiektem.

– Zwłaszcza ten mi się podoba. – Wyciągnęła szkic przedstawiający konia z rozwianą grzywą. – Wygląda jak żywy.

Uśmiechnął się.

– To mój ulubiony.

Ponownie przejrzała rysunki. Było na nich coś, czego nie rozumiała... na jednym z rysunków przedstawiających mężczyznę, wysoko w tle widniał dziwaczny kształt o czterech wierzchołkach. Taki sam znajdował się na jej portretach.

– Co to jest? – spytała, wskazując kształt.

– Słońce.

Zmarszczyła czoło, ale postanowiła nie drążyć tematu. Czuli, że już dostatecznie nadszarpnęła jego artystyczne ego.

Wybrała najbardziej udany z trzech szkiców.

– Mogę go zatrzymać?

– Myślałem, że się pani nie podoba.

– Ależ tak. Jest cudowny.

Uważnie się jej przyjrzał, jakby starał się odkryć, czy powiedziała prawdę, a następnie odebrał jej plik kartek.

– Czy ten też chciałaby pani zatrzymać?

Wręczył jej szkic konia.

– Nie mogę. Nie ten.

– Chciałbym go pani dać – odrzekł. – Jest pani pierwszą osobą, która go widziała.

– Dziękuję.

Starannie schował arkusze do juków, które zapiął.

- Ma pani na imię Elizabeth?
- Wolę, kiedy się mnie nazywa Liz.  
Pokiwał głową z poważną miną.
- Do widzenia, Liz.
- Już pan jedzie?

Nie odpowiedział, tylko odwiązał konia i wskoczył na siodło. Zjechał po zboczu, przekroczył bród na rzece, rozchlapując wodę, a następnie wspiął się na przeciwległy brzeg. Po kilku sekundach zniknął między drzewami.

Po powrocie do wioski Elizabeth odkryła, że nie ma ochoty na dalszą pracę. Wciąż nie nadchodziła dostawa sprzętu medycznego i od ponad miesiąca Elizabeth bezskutecznie czekała na przybycie lekarza. Robiła, co mogła, żeby mieszkańcy wioski odżywiali się w zrównoważony sposób – chociaż brakowało im żywności – a także radziła sobie z bardziej oczywistymi dolegliwościami, takimi jak bóle, wysypki i tym podobne. W zeszłym tygodniu odebrała poród jednej z kobiet i dopiero wtedy poczuła, że robi coś dobrego.

Teraz, wciąż mając w pamięci dziwne spotkanie nad rzeką, postanowiła wcześniej wrócić do kwatery głównej.

Przed odejściem znalazła Luiza.

– Jeżeli ci mężczyźni znów przyjadą, postaraj się dowiedzieć, czego chcą – poleciła. – Wrócę rano. Jeśli pojawią się wcześniej, spróbuj ich tutaj zatrzymać. Dowiedz się, skąd pochodzą.

Od kwatery głównej dzieliło ją prawie siedem mil, więc dotarła na miejsce wieczorem. Kwatera była niemal całkowicie opuszczona: sporo agentów pozostawało w terenie przez wiele nocy. Zastała jednak Tony'ego Chappella, który złapał ją, gdy zmierzała do swojego pokoju.

– Jesteś wolna dzisiaj wieczorem, Liz? Pomyślałem, że moglibyśmy...

– Jestem bardzo zmęczona. Zamierzałam się wcześniej położyć.

Kiedy po raz pierwszy się tutaj pojawiła, Chappell wpadł jej w oko, a ona nieopatrznie mu to okazała. W stacji przebywało tylko kilka kobiet, więc zareagował z wielkim entuzjazmem. Od tamtej pory niemal nie dawał jej spokoju, a chociaż obecnie uważała go za bardzo nudnego i egocentrycznego, wciąż nie znalazła grzecznego sposobu na ostudzenie jego zapału.

Próbował przekonać ją do swoich planów, ale po kilku minutach zdołała uciec do pokoju.

Rzuciła torbę na łóżko, rozebrała się i wzięła długi prysznic.

Później poszła coś zjeść i oczywiście znów natknęła się na Tony'ego.

Podczas posiłku przypomniała sobie, że zamierzała go o coś zapytać.

– Znasz w okolicy jakieś miasto o nazwie Ziemia?

– Ziemia? Tak jak planeta?

– Tak to brzmiało. Może źle usłyszałam.

– Nie znam. Gdzie to jest?

– Gdzieś niedaleko.

Pokręcił głową.

– Może to była Emia? Albo Ciemnia? – Roześmiał się głośno i upuścił widelec. – Jesteś pewna?

– Nie... nie do końca. Pewnie coś pokręciłam.

Tony nie przestawał sypać charakterystycznymi dla siebie kiepskimi żartami, aż w końcu znalazła pretekst, żeby go opuścić.

W jednym z gabinetów wisiała duża mapa okolicy, jednak nie znalazła na niej miejsca, w którym rzekomo mieszkał Helward. Wspomniał o mieście leżącym na południu, ale w promieniu sześćdziesięciu mil nie było żadnej dużej osady.

Była wyczerpana, więc wróciła do swojego pokoju.

Rozebrała się i przykleiła taśmą nad łóżkiem dwa szkice, które dał jej Helward. Ten, który ją przedstawiał, wyglądał tak dziwacznie...

Przyjrzała mu się uważniej. Papier, na którym wykonano szkic, był najwyraźniej bardzo stary, ponieważ miał pożółkłe krawędzie. Zauważyła, że górna i dolna krawędź co prawda są równe, ale nieco szorstkie, jakby arkusz oderwano.

Z ciekawości przesunęła palcem wzdłuż krawędzi. Poczowała regularnie rozmieszczone nierówności: papier był perforowany...

Uważając, żeby nie zniszczyć rysunku, odkleiła taśmę od ściany i zdjęła szkic.

Na odwrocie kartki odkryła wydrukowaną kolumnę liczb. Kilka z nich oznaczono gwiazdką.

Wzdłuż krawędzi ciągnął się bladoniebieski napis: IBM Multifold™.

Ponownie przykleiła szkic do ściany... i długo się w niego wpatrywała, niczego nie rozumiejąc.

Rankiem Elizabeth wysłała kolejny dalekopis z prośbą o lekarza, a następnie wyruszyła do wioski.

Kiedy dotarła na miejsce, upał zalewał wioskę, a wśród ludzi panował niespokojny letarg, który początkowo tak ją irytował. Znalazła Luiza, który siedział z dwoma innymi mężczyznami w cieniu kościoła.

– No i co... wrócili?

– Nie dzisiaj, Menina Knan.

– Powiedzieli, że kiedy się ponownie pojawią?

Leniwie wzruszył ramionami.

– Kiedyś. Dzisiaj, jutro.

– Wypróbowaliście...?

Urwała, zła na siebie. Zamierzała zabrać rzekomy nawóz do kwatery głównej, żeby go przebadac, ale wypadło jej to z głowy.

– Daj mi znać, jeśli przyjadą.

Poszła odwiedzić Marię i jej nowo narodzone dziecko, ale nie potrafiła w pełni skupić się na pracy. Później nadzorowała wydawanie posiłku, który przygotowywano dla wszystkich chętnych, a następnie porozmawiała z księdzem dos Santosem w warsztacie. Przez cały ten czas nasłuchiwała odgłosów koni.

W końcu przestała szukać wymówek, udała się do stajni i osiodłała konia. Wyjechała z wioski i ruszyła w stronę rzeki.

Usiłowała nie analizować swoich myśli ani motywów, ale to było nieuniknione. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były na swój sposób doniosłe. Przyjechała tutaj, żeby pracować w terenie, ponieważ czuła, że w domu marnuje życie, lecz tu znalazła nowe źródła frustracji. Pomimo dobrych zamiarów, wolontariusze mogli zapewnić miejscowym biedakom tylko pozory ratunku. Ich pomoc była zbyt mała i spóźniona. Kilka

rządowych zapomóg w postaci ziarna, kilka szczepionek lub naprawa kościoła to lepsze niż nic, jednak źródło problemu pozostało nierozwiązane: centralna gospodarka zawiodła. Na tej ziemi nie pozostało nic poza tym, co ludzie sami mogli zdobyć.

Pojawienie się Helwarda w jej życiu było pierwszym ciekawym wydarzeniem, odkąd tutaj przybyła. Jadąc przez zarośla ku drzewom, zdawała sobie sprawę, że jej motywy są niejednoznaczne. Może kierowała nią także prosta ciekawość, ale nie tylko.

Mężczyźni w stacji byli obsesyjnie skupieni na sobie i rolach, które sobie przypisywali; opowiadali ogólnikowo o psychologii grupy, społecznej aklimatyzacji, schematach zachowań... a kiedy Elizabeth była w cynicznym nastroju, uznawała ich podejście za żalosne. Nie licząc pechowego Tony'ego Chappella, nie zainteresowała się żadnym z mężczyzn, czego się nie spodziewała, zanim się tutaj pojawiła.

Helward był inny. Nie przyznawała się do tego przed sobą, ale dobrze wiedziała, po co go szuka.

Znalazła na brzegu rzeki miejsce, w którym się spotkali, i napiła konia. Później przywiązała go w cieniu i usiadła nad wodą. Próbowwała odpędzić od siebie niespokojne myśli, pragnienia i pytania. Skupiając się na swoim otoczeniu, położyła się na nasłonecznionym brzegu i zamknęła oczy. Słuchała odgłosów rzeki obmywającej kamyki na dnie, szumu wiatru w koronach drzew i brzęczenia owadów, wciągała do nozdrzy woń suchych zarośli i rozkoszowała się ciepłem ziemi.

Czas płynął. Koń co kilka sekund machał ogonem, cierpliwie opędzając się przed rojem much.

Otworzyła oczy, gdy tylko usłyszała drugiego wierzchowca, po czym usiadła.

Helward znajdował się na drugim brzegu rzeki. Przywitał Elizabeth uniesieniem dłoni, a ona pomachała mu w odpowiedzi.

Natychmiast zsiadł z konia i szybko pomaszerował wzdłuż brzegu, aż znalazł się dokładnie naprzeciwko niej. Uśmiechnęła się; Helward wyraźnie był w dobrym nastroju, ponieważ wygłupiał się i próbował ją

rozbawić. Kiedy już się zatrzymał, pochylił się i spróbował stanąć na rękach. Udało mu się za trzecim razem, ale po chwili z krzykiem przewrócił się i wpadł do wody.

Elizabeth poderwała się i podbiegła do niego przez płyciznę.

– Nic ci się nie stało? – spytała.

Uśmiechnął się do niej.

– Potrafiłem to robić w dzieciństwie.

– Ja też.

Wstał i popatrzył z żalem na swoje przemoczone ubranie.

– Niedługo wyschnie – powiedziała.

– Przyprowadzę konia.

Przeszli na drugą stronę rzeki i Helward ustawił swoją klacz obok wierzchowca Elizabeth. Kobieta ponownie spoczęła na brzegu, a Helward usiadł blisko niej i wyprostował nogi, wystawiając ubranie na działanie słońca.

Konie stały obok siebie, opędzając się nawzajem przed muchami.

\* \* \*

Pytania, pytania... jednak powstrzymała je wszystkie. Podobała jej się atmosfera tajemnicy i nie chciała jej burzyć zrozumieniem. Logika podpowiadała, że Helward jest agentem z podobnej stacji, który postanowił sobie z niej zażartować w wyszukany, chociaż bezcelowy sposób. Jeśli tak było, to nie miała nic przeciwko; wystarczyła jej jego obecność, zresztą była tak wyposzczona emocjonalnie, że cieszyło ją każde odstępstwo od rutyny.

Jedynym, co ich łączyło, były szkice, więc spytała, czy może je ponownie obejrzeć. Przez chwilę rozmawiali o rysunkach, a Helward dzielił się z nią swoimi rozlicznymi fascynacjami. Zaciekawilo ją, że wszystkie szkice wykonał na odwrocie starego papieru do wydruków komputerowych.

– Myślałem, że jesteś tukiem – rzekł w końcu Helward.

– Co to takiego?



– Tak nazywamy ludzi, którzy tutaj mieszkają. Ale oni nie mówią po angielsku.

– Niektórzy tak, chociaż niezbyt dobrze. Tylko jeśli my ich tego nauczymy.

– „My”, czyli kto?

– Ludzie, dla których pracuję.

– Nie pochodzisz z miasta? – spytał nagle, po czym odwrócił wzrok.

Elizabeth poczuła ukłucie niepokoju; poprzedniego dnia Helward również tak się zachowywał, a potem nagle odszedł. Nie chciała tego, przynajmniej nie teraz.

– Masz na myśli wasze miasto?

– Nie... oczywiście, że nie przyjechałaś stamtąd. Kim jesteś?

– Wiesz, jak mam na imię.

– Tak, ale skąd pochodzisz?

– Z Anglii. Przyjechałam tutaj jakieś dwa miesiące temu.

– Anglia... to na Ziemi, prawda? – Wpatrywał się w nią, zapomniawszy o rysunkach.

Roześmiała się, nerwowo reagując na to dziwne pytanie.

– Tak było, kiedy ostatnio tam przebywałam – odpowiedziała, próbując zażartować.

– Mój Boże! A więc...

– Co takiego?

Wstał gwałtownie i odwrócił się do niej plecami. Zrobił kilka kroków, a następnie znów się odwrócił i stanął nad nią, mierząc ją wzrokiem.

– Przybyłaś z Ziemi?

– Co masz na myśli?

– Czy pochodzisz z Ziemi... z planety?

– Oczywiście... Nie rozumiem.

– Szukacie nas! – zawołał.

– Nie! To znaczy... nie jestem pewna.

– Znaleźliście nas!

Wstała i odsunęła się od niego.

\* \* \*

Czekała przy wierzchowcach. Dziwaczność ustąpiła miejsca szaleństwu i Elizabeth wiedziała, że powinna odejść. Następny ruch należał do niego.

– Elizabeth... nie odchodź.

– Liz – poprawiła go.

– Liz... czy wiesz, kim jestem? Pochodzę z miasta Ziemia. Na pewno rozumiesz, co to znaczy!

– Nie rozumiem.

– Nie słyszałaś o nas?

– Nie.

– Jesteśmy tutaj od tysięcy mil... wielu lat. Niemal dwustu.

– Gdzie jest miasto?

Machnął ręką w kierunku północnego wschodu.

– Tam. Mniej więcej dwadzieścia pięć mil na południe.

Nie zareagowała na błędne wskazanie kierunku, zakładając, że się pomylił.

– Mogłabym je zobaczyć? – spytała.

– Oczywiście! – Podekscytowany, chwycił ją za rękę i położył jej dłoń na uździe konia. – Pojedziemy od razu!

– Zaczekaj... Jak dokładnie nazywa się twoje miasto?

Przeliterował nazwę.

– Dlaczego akurat tak?

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że pochodzimy z planety Ziemi.

– Dlaczego rozróżniacie te dwa miejsca?

– Ponieważ... czy to nie oczywiste?

– Nie.

Uświadomiła sobie, że traktuje go jak szaleńca, ale w jego oczach lśniło tylko podniecenie, a nie obłąd. Mimo wszystko intuicja, na której ostatnio

bardzo polegała, kazała jej zachować ostrożność. Nie mogła być niczego pewna.

– Przecież nie jesteśmy na Ziemi!

– Helwardzie... spotkajmy się tutaj jutro. Nad strumieniem.

– Myślałem, że chcesz zobaczyć nasze miasto.

– Tak... ale nie dzisiaj. Jeśli jest oddalone o dwadzieścia pięć mil, musiałabym przyprowadzić wypoczętego konia i powiadomić przełożonych. – Zaczynała szukać wymówek.

Popatrzył na nią niepewnie.

– Myślisz, że to wymyśliłem – rzekł w końcu.

– Nie.

– Więc o co chodzi? Mówię ci, że odkąd pamiętam, a także przez wiele lat przed moim urodzeniem miasto trwało w nadziei, że z Ziemi przybędzie pomoc. A teraz tutaj jesteś i uważasz, że oszalałem!

– Jesteś na Ziemi.

Otworzył i zamknął usta.

– Dlaczego tak mówisz?

– Dlaczego miałabym twierdzić inaczej?

Ponownie ujął ją za rękę i kilkakrotnie obrócił. Potem wskazał w górę.

– Co widzisz?

Ośloniła oczy przed blaskiem.

– Słońce.

– Słońce! Słońce! Co z nim?

– Nic. Puść moją rękę... to boli!

Puścił ją i podszedł do rozrzuconych rysunków. Podniósł pierwszy z nich i wyciągnął w jej stronę.

– To jest słońce! – wykrzyknął, wskazując dziwny kształt narysowany na szczycie strony, kilka cali od wiotkiej postaci, którą miała być Elizabeth. – Jest tam!

Z wściekle bijącym sercem zerwała wodze z drzewa, wskoczyła na siodło i spięła konia piętami. Wierzchowiec obrócił się i ruszył galopem, oddalając się od rzeki.

Helward stał na brzegu, trzymając w dłoni swój rysunek.

Kiedy Elizabeth dotarła do wioski, był już wieczór, więc uznała, że jest za późno na podróż do kwatery głównej. Zresztą wcale nie miała ochoty tam wracać, a w wiosce miała gdzie przenocować.

Na głównej ulicy nie zauważyła ludzi, co było nietypowe, ponieważ o tej porze dnia ludzie zazwyczaj lubili siedzieć na piasku przed swoimi domami i gawędzić, popijając przy tym mocne, żywiczne wino, które było jedynym trunkiem, jaki umieli przyrządzać.

Z kościoła dobiegał jakiś hałas, więc Elizabeth powędrowała w tamtą stronę. Wewnątrz zebrała się większość mężczyzn oraz kilka kobiet z wioski. Niektóre z nich płakały.

– Co się dzieje? – spytała Elizabeth księdza Santosa.

– Tamci ludzie wrócili. Zaproponowali transakcję.

Stał na uboczu; najwyraźniej nie potrafił w żaden sposób wpłynąć na zgromadzonych.

Elizabeth usiłowała zrozumieć sens rozmowy, ale zbyt wielu ludzi się przekrzykiwało, tak że nawet Luiz, który stał w widocznym miejscu obok zniszczonego ołtarza, nie potrafił przebić się przez gwar. Elizabeth złowiła jego spojrzenie, a on od razu do niej podszedł.

– I co?

– Ci ludzie dzisiaj przyjechali, Menina Khan. Zgodzimy się na ich warunki.

– Nie wygląda na to, żeby panowała zgoda. Jakie są ich warunki?

– Uczciwe.

Chciał wrócić do ołtarza, ale Elizabeth złapała go za rękę.

– Czego chcą? – powtórzyła.

– Dadzą nam dużo lekarstw i jedzenia. Mają więcej nawozu i obiecali, że pomogą naprawić kościół, chociaż o to nie prosiliśmy.

Unikał jej wzroku, co chwila zerkając na nią, a potem od razu uciekając spojrzeniem.

– A czego żądają w zamian?

– Niewiele.

– Daj spokój, Luiz. Czego chcą?

– Dziesięciu naszych kobiet. To nic.

Popatrzyła na niego oszołomiona.

– Co powiedziałeś...?

– Będą o nie dbać. Wyleczą je, a kiedy przyjadą ponownie, dostarczą jeszcze więcej jedzenia.

– A co na to mówią same kobiety?

Obejrzał się przez ramię.

– Nie są zachwycone.

– Nie dziwię się.

Popatrzyła na sześć kobiet, które znajdowały się w kościele. Stały razem, a mężczyźni, stojący obok nich, sprawiali wrażenie zażenowanych.

– Po co ich potrzebują?

– Nie pytaliśmy.

– Ponieważ pewnie się domyślacie. – Odwróciła się w stronę dos Santosa. – Co się stanie?

– Oni już zdecydowali – odrzekł ksiądz.

– Ale dlaczego? Nie wierzę, że naprawdę chcą przehandlować własne żony i córki za kilka worków ziarna.

– Potrzebujemy tego, co nam proponują – odparł Luiz.

– Przecież już wam obiecaliśmy jedzenie. Lekarz jest w drodze.

– Zgadza się... obiecaliście. Jesteście tutaj od dwóch miesięcy i daliście nam niewiele jedzenia, nie sprowadziliście lekarza. Ale ci ludzie dotrzymają słowa, czujemy to.

Odwrócił się do niej plecami i ponownie stanął przed tłumem. Po chwili wezwał wszystkich do głosowania poprzez podniesienie rąk. Transakcję zatwierdzono, a żadna z kobiet nie wzięła udziału w głosowaniu.

\* \* \*

Elizabeth spędziła bezsenłą noc, lecz gdy wstała rano, już wiedziała, co zrobi.

Ten dzień przyniósł wiele niespodziewanych wydarzeń. Tak się złożyło, że to, czego była najbardziej pewna, wcale się nie spełniło. Teraz, gdy patrzyła na spotkanie z Helwardem z nowej perspektywy, wreszcie potrafiła nazwać swoje oczekiwania: budzące się w niej emocje miały podłoże fizyczne, a pojechała nad rzekę po to, żeby dać się uwieść. Mogło do tego dojść, gdyby nie fanatyzm, który nagle zawładnął jego spojrzeniem. Elizabeth nadal czuła te same emocje – nie strach ani nie zadziwienie, ale coś pośredniego – gdy przypominała sobie ich gwałtowną rozmowę pod drzewami.

„Słońce! Co z nim?”. Te słowa wciąż odbijały się echem w jej głowie.

Niewątpliwie wydarzyło się tam więcej, niż mogło się wydawać. Helward inaczej się zachowywał poprzedniego dnia; wtedy wyczuła w nim ukrytą wrażliwość, a on zareagował jak typowy mężczyzna. Wtedy nie było w nim szaleństwa. Pojawiło się, gdy zaczęli rozmawiać o jego i jej życiu.

Była jeszcze zagadka papieru do wydruków. W promieniu tysiąca mil znajdował się tylko jeden komputer, a ona wiedziała, gdzie jest i do czego służy. Nie wykonywano na nim wydruków i z całą pewnością nie był to IBM. Słyszała o IBM-ach; każdy, kto znał podstawy informatyki, o nich słyszał, jednak firma nie wyprodukowała żadnego sprzętu od czasu Kryzysu. Jedyne zachowane – niekoniecznie działające – egzemplarze znajdowały się w muzeach.

Transakcja zaproponowana przez mężczyzn, którzy odwiedzili wioskę, była niespodziewana, przynajmniej dla niej, chociaż gdy przypominała sobie minę Luiza po jego pierwszej rozmowie z gośćmi, nabierała pewności, że już wtedy przynajmniej domyślał się, jakiej zapłaty zażądata nieznanymi.

To wszystko musi być jakoś powiązane. Wiedziała, że ludzie, którzy przybyli do wioski, pochodzą z tego samego miejsca co Helward, a jego zachowanie wiąże się z proponowaną transakcją.

Pozostawała kwestia jego zaangażowania w to wszystko.

Formalnie rzecz biorąc, za wioskę i jej mieszkańców odpowiadali ona i dos Santos. Na początku odwiedził ich jeden z inspektorów z kwatery głównej, jednak hierarchia skupiała się głównie na nadzorowaniu naprawy wielkiej przystani na wybrzeżu. Teoretycznie była przełożoną dos Santosa, ale on był tubylcem, jednym z kilkuset studentów, których przepchnięto przez rządową uczelnię teologiczną w celu ponownego zanieśienia religii na rubieżę. Religia była tutaj tradycyjnym narkotykiem, a praca misjonarza stanowiła jeden z priorytetów. Jednak fakty mówiły za siebie: praca dos Santosa mogła potrwać wiele lat, z których pierwsze kilka to ciężka harówka mająca na celu ustanowienie kościoła społecznym i duchowym przewodnikiem ludu. Mieszkańcy wioski go tolerowali, ale większą wagę przywiązywali do opinii Luiza, a także, do pewnego stopnia, Elizabeth.

Równie bezcelowe byłoby proszenie o pomoc kwaterę główną. Chociaż dowodzili nią dobrzy i uczciwi ludzie, ich praca była tak nowatorska, że nadal nie wychylili głów z oparów teorii; przyziemny ludzki problem, taki jak handel kobietami w zamian za pożywienie, nie mógł się znaleźć w polu ich zainteresowań.

Jeżeli cokolwiek ma się wydarzyć, to tylko z jej własnej inicjatywy.

Nie podjęła decyzji szybko; w czasie tamtej długiej, ciepłej nocy rozważała zalety i wady, zagrożenia i zyski, ale jakkolwiek by na to patrzyła, w grę wchodził tylko jeden sposób działania.

Wstała wcześniej i udała się do domu Marii. Musiała się śpieszyć: mężczyźni zapowiedzieli, że pojawią się wkrótce po wschodzie słońca.

Maria nie spała, jej niemowlę płakało. Wiedziała o decyzji, którą podjęto poprzedniego wieczoru, i od razu spytała o nią Elizabeth.

– Nie mamy na to czasu – odpowiedziała szorstko Elizabeth. – Potrzebuję ubrań.

– Przecież twoje są takie piękne.



– Daj mi coś swojego... może być cokolwiek.

Narzekając pod nosem, Maria znalazła kilka prostych strojów i ułożyła je przed Elizabeth. Wszystkie były znoszone i zapewne nigdy nie widziały mydła ani wody. Dla potrzeb Elizabeth były idealne. Wybrała poszarpaną luźną spódnicę i białawą koszulę, która kiedyś prawdopodobnie należała do któregoś z mężczyzn.

Zrzuciła ubranie, włącznie z bielizną, i włożyła strój Marii. Złożyła swoje ubranie w kostkę i przekazała kobiecie na przechowanie.

– Ale teraz wyglądasz jak wieśniaczka!

– Właśnie.

Obejrzała niemowlę, żeby się upewnić, że nie jest chore, a potem powtórzyła razem z Marią codzienne czynności, które ta powinna wykonywać. Maria jak zwykle udawała, że słucha, ale Elizabeth wiedziała, że kobieta o wszystkim zapomni, jeśli nikt nie będzie jej kontrolował. Czyż nie wychowała już trójki dzieci?

Idąc boso po zapyłonej ulicy, Elizabeth zastanawiała się, czy zdoła udawać kobietę z wioski. Miała długie brązowe włosy i opaliła się podczas kilkutygodniowego pobytu tutaj, ale wiedziała, że jej skórze brakuje blasku, jakim mogą się poszczycić miejscowe kobiety. Przeczesała palcami włosy, zmieniając przedziałek, licząc, że stanie się mniej równy.

Na placu przed kościołem zgromadziła się grupka mieszkańców, a kolejni stale do nich dołączali. Luiz stał na samym środku i usiłował przekonać kobiety, które z zaciekawieniem obserwowały całą scenę, żeby rozeszły się do domów.

Obok niego stała mała grupka dziewcząt; najmłodszych i najatrakcyjniejszych w całej wiosce, uświadomiła sobie zdjęta grozą Elizabeth. Kiedy przepchnęła się przez tłum, cała dziesiątka już towarzyszyła Luizowi.

Luiz od razu ją rozpoznał.

– Manina Khan...

– Luizie, która z nich jest najmłodsza?

Zanim zdążył odpowiedzieć, sama dokonała wyboru. Podeszła do Lei, która miała nie więcej niż czternaście lat.

– Lea, wracaj do matki. Pójdę zamiast ciebie.

Dziewczyna nie zdziwiła się ani nie sprzeciwiła, tylko bez słowa odeszła. Luiz przez chwilę przypatrywał się Elizabeth, a w końcu wzruszył ramionami.

Nie musieli długo czekać. Po kilku minutach pojawili się trzej mężczyźni. Każdy z nich jechał konno i prowadził kolejnego wierzchowca. Wszystkie konie były obładowane bagażami, które jeźdźcy zaczęli niezwłocznie rozpakowywać.

Luiz patrzył na to z zainteresowaniem. Elizabeth usłyszała, jak jeden z mężczyzn odzywa się do niego:

– Za dwa dni wrócimy z resztą. Chcecie, żebyśmy naprawili kościół?

– Nie... to nam niepotrzebne.

– Jak sobie życzycie. Chcecie zmienić któryś z warunków transakcji?

– Nie. Jesteśmy zadowoleni.

– Dobrze. – Mężczyzna odwrócił się ku ludziom, którzy obserwowali wymianę. Przemówił do nich, tak samo jak do Luiza, w ich własnym języku, chociaż miał silny akcent. – Próbujemy kierować się dobrą wolą i uczciwością. Możliwe, że części z was nie podobają się warunki, które zaproponowaliśmy, ale prosimy was o zrozumienie. Kobiety, których nam użyczycie, mogą liczyć na dobrą opiekę i nie spotka ich żadna krzywda. Ich zdrowie i szczęście leży również w naszym interesie. Postaramy się, by wróciły do was, gdy tylko będzie to możliwe. Dziękujemy.

Uroczystość dobiegła końca. Mężczyźni oddali kobietom do dyspozycji swoje wierzchowce. Dwie dziewczyny wspięły się na jednego konia, a pięć kolejnych postanowiło jechać samodzielnie. Elizabeth oraz dwie inne dziewczyny zdecydowały się iść pieszo i wkrótce niewielka grupa opuściła wioskę, prowadząc konie wyschniętym korytem rzeki ku rozległym zaroślom.

Podczas podróży Elizabeth milczała tak samo jak inne dziewczęta. Starła się w miarę możliwości pozostać anonimowa.

Trzej mężczyźni rozmawiali ze sobą po angielsku, zakładając, że żadna z kobiet ich nie zrozumie. Początkowo Elizabeth uważnie słuchała, mając nadzieję, że dowie się czegoś ciekawego, jednak ku swojemu rozczarowaniu odkryła, że mężczyźni głównie narzekali na upał, brak cienia oraz na to, jak długo potrwa podróż.

Wydawało się, że szczerze troszczą się o kobiety, i często pytali o ich samopoczucie. Dzięki okazjonalnym rozmowom ze swoimi towarzyszkami w ich języku Elizabeth wiedziała, że ich myśli zaprzatają podobne problemy: skwar, pragnienie, zmęczenie i niecierpliwe oczekiwanie na koniec wędrówki.

Mniej więcej co godzinę zatrzymywali się na krótki odpoczynek i zmieniali się w siodle. Żaden z mężczyzn nie podróżował konno i Elizabeth z czasem zaczęła im współczuć. Jeżeli ich cel, zgodnie ze słowami Helwarda, znajdował się w odległości dwudziestu pięciu mil, to czekała ich długa wędrówka w upale.

Być może zmęczenie pozbawiło mężczyzn zahamowań albo brak reakcji ze strony kobiet przekonał ich, że rzeczywiście nie znają one ich języka, w każdym razie z czasem zaczęli rozmawiać o mniej palących sprawach. Zaczęło się od narzekania na bezlitosny upał, jednak temat niemal natychmiast uległ zmianie.

- Sądysz, że to wszystko jest konieczne?
- Transakcje?
- Tak... No wiesz, w przeszłości były z tym problemy.
- Nie ma innego sposobu.
- Cholera, jest zbyt gorąco.

- Jaki masz inny pomysł?
  - Nie wiem. To nie moja decyzja. Gdyby to ode mnie zależało, nie byłbym teraz tutaj.
  - Dla mnie to nadal ma sens. Ostatnia grupa jeszcze się nie wyprowadziła i wcale się na to nie zanoszą. Może już więcej nie będziemy handlować.
  - Będziemy.
  - Mówisz, jakby ci się to nie podobało.
  - Szczerze mówiąc, wcale mi się nie podoba. Czasami mam wrażenie, że cały system jest szalony.
  - Nasłuchałeś się Wstrzymywaczy.
  - Być może. Jeśli się ich posłucha, okazuje się, że mówią z sensem. Nie zawsze, ale nie są tacy źli, jakimi ich malują Nawigatorzy.
  - Zwariowałeś.
  - No dobrze. Kto by nie zwariował w takim upale?
  - Lepiej nie powtarzaj tego w mieście.
  - Dlaczego nie? Wielu ludzi już tak mówi.
  - Ale nie członkowie cechów. Byłeś w przeszłości. Wiesz, jak się sprawy mają.
  - Po prostu jestem realistą. Trzeba słuchać opinii ludzi. W mieście jest więcej osób, które chcą, żebyśmy się zatrzymali, niż członków cechów. To wszystko.
  - Zamknij się, Norris – rzekł mężczyzna, który jak dotąd się nie odzywał i który w wiosce przemawiał do tłumu.
- Kontynuowali wędrówkę.

\* \* \*

Miasto było widoczne już od dłuższego czasu, gdy Elizabeth wreszcie pojęła, na co patrzy. Kiedy się zbliżyli, patrzyła na nie z ogromnym zainteresowaniem, nie rozumiejąc systemu torów i kabli. Początkowo

podejrzewała, że to jakaś stacja rozrządowa, ale nigdzie nie było ani śladu taboru kolejowego, zresztą tory były zbyt krótkie do takich celów.

Później zauważyła kilku mężczyzn, którzy najwyraźniej patrolowali tory. Byli uzbrojeni w karabiny oraz coś, co przypominało kusze. Więcej nie zdołała zarejestrować, ponieważ skupiała się głównie na samej budowli.

Słyszała, jak mężczyźni, a także Helward, nazywają ją miastem, lecz w jej oczach był to jedynie duży niekształtny biurowiec. Nie wyglądał na zbyt bezpieczny i zbudowano go głównie z drewna. Charakteryzowała go brzydka funkcjonalność, ale zarazem prostota, która nie była całkowicie pozbawiona wdzięku. Elizabeth przypomniła sobie zdjęcia budynków sprzed Kryzysu, a chociaż w większości wznoszono je ze stali i wzmocnianego betonu, z miastem łączyły je kanciastość, prostota i brak zewnętrznych dekoracji. Ale tamte stare budynki były wysokie, a ta dziwaczna konstrukcja w najwyższym punkcie miała siedem kondygnacji. Drewno miejscami było mocno zniszczone; większość budulca wyblakła pod wpływem działania żywiołów, chociaż gdzieś pojawiały się nowsze elementy.

Mężczyźni doprowadzili je do podstawy budynku, a następnie powiedli w głąb ciemnego przejścia. Tam kobiety zsiadły z koni, które zabrało kilku młodzieńców.

W przejściu znajdowały się drzwi, a za nimi schody i kolejne drzwi. Wreszcie znaleźli się w jasno oświetlonym korytarzu.

Na jego końcu Elizabeth zobaczyła kolejne drzwi i tam kobiety rozstały się z mężczyznami. Na drzwiach widniał napis: KWATERY ADAPTACYJNE.

Wewnątrz powitały je dwie kobiety, które przemówiły do nich językiem tubylców, chociaż mówiły z fatalnym akcentem.

\* \* \*

Skoro Elizabeth weszła w swoją rolę, już nie mogła jej porzucić.

W ciągu kolejnych kilku dni poddano ją serii badań i zabiegów, które uznałaby za poniżające, gdyby nie domyślała się ich przyczyny. Wykąpano ją i wyszczotkowano jej włosy. Przebadano jej organizm, sprawdzono wzrok oraz zęby, dokładnie przejrzano włosy oraz skórę głowy, szukając pasożytów, a także poddano ją badaniu, które prawdopodobnie miało na celu ustalenie, czy nie ma choroby wenerycznej.

Kobieta kierująca badaniami oczywiście uznała ją za okaz zdrowia – z dziesięciu dziewcząt Elizabeth jako jedyna pomyślnie przeszła testy – a następnie przekazała dwóm kolejnym kobietom, które zaczęły uczyć nowo przybyłą podstaw angielskiego. To rozbawiło Elizabeth, która, mimo usilnych prób spowolnienia procesu nauki, wkrótce została uznana za dostatecznie wykształconą, żeby zakończyć wstępny etap przystosowawczy.

Pierwsze kilka nocy przespała we wspólnej sali noclegowej w centrum adaptacyjnym, ale teraz otrzymała do dyspozycji własny pokoik. Był nieskazitelnie czysty i skromnie umeblowany. Znajdowało się w nim wąskie łóżko, miejsce na powieszenie ubrań – otrzymała dwa identyczne zestawy strojów – krzesło oraz mniej więcej cztery stopy kwadratowe wolnej podłogi.

Od przybycia do miasta minęło osiem dni, a Elizabeth zaczynała się zastanawiać, co miała nadzieję osiągnąć. Po opuszczeniu centrum adaptacyjnego została przydzielona do kuchni, gdzie czekała ją monotonna harówka. Miała wolne wieczory, ale poinformowano ją, że przynajmniej godzinę albo dwie powinna spędzać w pokoju dziennym, gdzie będzie poznawała innych ludzi.

Pokój dzienny mieścił się obok centrum adaptacyjnego. Po jednej jego stronie znajdował się niewielki, skromnie wyposażony bar, a także wiekowy sprzęt wideo. Kiedy go uruchomiła, podłączone do niego urządzenie zaczęło odtwarzać taśmę z komediowym programem, którego w ogóle nie rozumiała, chociaż niewidoczna publiczność przez cały czas zanosila się śmiechem. Żarty najwyraźniej straciły aktualność i dlatego do niej nie przemawiały. Obejrzała cały program i z informacji o prawach

autorskich wyświetlonej na końcu dowiedziała się, że nagrano go w 1985 roku. Miał ponad dwieście lat!

W pokoju zazwyczaj przebywało zaledwie kilka osób. Za barem pracowała kobieta z centrum adaptacyjnego, z uśmiechem na stałe przyklejonym do twarzy, lecz Elizabeth nie potrafiła zainteresować się innymi osobami. Od czasu do czasu pojawiali się mężczyźni – ubrani tak samo jak Helward, w ciemne mundury – a także kilka miejscowych dziewcząt.

Pewnego dnia, kiedy pracowała w kuchni, przypadkiem znalazła rozwiązanie problemu, który nie dawał jej spokoju.

Właśnie wkładała czyste naczynia stołowe do przeznaczonej na nie metalowej szafki, gdy nagle coś zwróciło jej uwagę. Szafka była niemal całkowicie przebudowana – usunięto jej części składowe i zamontowano wewnątrz drewniane półki – jednak na jednych drzwiach spod farby wciąż przebijało logo IBM.

Kiedy pozwalał na to czas, Elizabeth wędrowała po mieście, oglądając wszystko z zaciekawieniem. Zanim weszła do miasta, spodziewała się, że będzie tam więźniem, jednak, nie licząc przydzielanych jej obowiązków, cieszyła się pełną swobodą. Mogła chodzić, dokąd chciała, i robić, co tylko zapragnęła. Rozmawiała z ludźmi, obserwowała, zapamiętywała i myślała.

Pewnego dnia trafiła do niewielkiego pomieszczenia, z którego mieszkańcy miasta korzystali w porze relaksu. Na stole znalazła kilka równo spiętych zadrukowanych kartek. Zerknęła na nie bez większego zainteresowania i zobaczyła tytuł: *Dyrektywa Destaine'a*.

Podczas późniejszych wędrówek po mieście widywała więcej egzemplarzy tego tekstu, aż w końcu z ciekawości go przeczytała. Po zapoznaniu się z Dyrektywą schowała ją pod pościelą w swoim łóżku, zamierzając zabrać dokument ze sobą, gdy będzie opuszczała miasto.

Zaczynała rozumieć... Wracała do tekstu tak często, że znała go niemal na pamięć. Myślała o Helwardzie i jego szalonym zachowaniu oraz słowach, próbując sobie przypomnieć, co dokładnie mówił.

Z czasem w jej umyśle pojawił się logiczny wzór... jednakże wszystko było obarczone jednym nieusuwalnym błędem.

Zgodnie z hipotezą, na której opierało się istnienie miasta i jego mieszkańców, świat, w którym żyli, uległ odwróceniu. Nie tylko świat, ale wszystkie obiekty fizyczne we wszechświecie, w którym istnieli. Opisując swoje otoczenie, odwoływali się do kształtu, jaki nakreślił Destaine – świata zakrzywionego na północ oraz południe jak hiperbola – i który rzeczywiście korelował z dziwnym kształtem słońca narysowanego przez Helwarda.

Pewnego dnia Elizabeth dostrzegła błąd, gdy szła przez jedną z odbudowywanych części miasta.

Zerknęła na słońce, osłaniając oczy dłonią. Miało taką samą postać, jaką znała od zawsze: jaskrawej białej kuli światła zawieszanej wysoko na niebie.



Elizabeth zamierzała opuścić miasto następnego ranka, zabrać wierzchowca i pojechać do wioski. Stamtąd wróciłaby do kwatery głównej, a następnie wzięła urlop. Planowała zrobić to dopiero za kilka tygodni, ale bez problemu mogła przesunąć termin urlopu. Cztery tygodnie wolnego wystarczą, żeby wybrać się do Anglii i znaleźć kogoś ważnego, kogo mogłaby zainteresować tym, co odkryła.

Kiedy już opracowała ten plan, nie chciała zwracać na siebie uwagi, dlatego spędziła cały dzień na pracy w kuchni. Wieczorem udała się do pokoju dziennego.

Kiedy przestąpiła próg, od razu zobaczyła Helwarda. Stał odwrócony do niej plecami i rozmawiał z jedną ze sprowadzonych dziewczyn.

Elizabeth podeszła i stanęła za nim.

– Witaj, Helwardzie – powiedziała cicho.

Odwrócił się, żeby odpowiedzieć na powitanie, po czym popatrzył na nią zaskoczony.

– To ty! – zawołał. – Co tutaj robisz?

– Cii! Nie powinnam tak dobrze mówić po angielsku. Jestem jedną ze sprowadzonych kobiet.

Przeszła do pustej części pomieszczenia. Gdy Helward za nią podążył, kobieta za barem skinęła głową z protekcjonalnym uznaniem.

– Posłuchaj, przepraszam za to, jak się zachowałam podczas naszego ostatniego spotkania – powiedziała szybko Elizabeth. – Teraz już więcej rozumiem.

– A ja przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

– Mówiłeś coś pozostałym?

– O tym, że jesteś z Ziemi? Nie.

– To dobrze. Nic im nie mów.

– Naprawdę pochodzisz z Ziemi?

– Tak, ale wolałabym, żebyś tak tego nie ujmował. Owszem, pochodzę z Ziemi, ale ty także. To nieporozumienie.

– Boże, żebyś wiedziała. – Popatrzył na nią z góry, wykorzystując dziewięć cali przewagi wzrostu. – Tutaj wyglądasz inaczej... ale dlaczego przyjechałaś z innymi kobietami?

– To był jedyny sposób dostania się do miasta, jaki przyszedł mi do głowy.

– Mogłem cię tutaj zabrać. – Rozejrzał się po pokoju. – Związałaś się już z którymś z mężczyzn?

– Nie.

– Nie rób tego. – Cały czas oglądał się przez ramię. – Masz swój pokój? Tam moglibyśmy porozmawiać swobodnie.

– Tak. Idziemy?

Kiedy znaleźli się w pokoju, zamknęła drzwi. Ściany były cienkie, ale zapewniały chociaż pozory prywatności. Elizabeth zastanawiała się, dlaczego Helward jest tak ostrożny.

Usiadła na krześle, a on przysiadł na skraju łóżka.

– Czytałam Dyrektywę Destaine'a – powiedziała. – Jest fascynująca. Gdzieś już o nim słyszałam. Kim on jest?

– Założycielem miasta.

– Tak, tego się domyśliłam. Ale jest znany z czegoś jeszcze.

Helward popatrzył na nią tępo.

– Czy według ciebie to, co napisał, ma sens?

– Odrobinę. Był bardzo zagubionym człowiekiem. Ale się mylił.

– W czym się mylił?

– W kwestii miasta i grożącego mu niebezpieczeństwa. Z jego tekstu wynika, że on i pozostali w jakiś sposób przenieśli się do innego świata.

– Tak było.

Elizabeth pokręciła głową.

– Nigdy nie opuścicie Ziemi, Helwardzie. W tej chwili, gdy tak siedzimy i rozmawiamy, oboje jesteśmy na Ziemi.

Rozpaczliwie pokręcił głową.

– Nie masz racji. Wiem, że nie. Cokolwiek powiesz, Destaine zdawał sobie sprawę z prawdziwej sytuacji. Znajdujemy się na innym świecie.

– Tamtego dnia... kiedy mnie rysowałeś, słońce znajdowało się za moimi plecami. Naskicowałeś je jako hiperbolę. Czy właśnie tak je widzisz? Mnie narysowałeś bardzo wysoką. Czy taka jestem w twoich oczach?

– Nie widzę słońca w taki sposób, ono takie jest. Właśnie tak wygląda świat. Narysowałem cię wysoką, ponieważ... tak cię wtedy widziałem. Byliśmy daleko na północ od miasta. Teraz... To zbyt trudno wyjaśnić.

– Spróbuj.

– Nie.

– No dobrze. Wiesz, jak ja widzę słońce? Jest zwyczajne... okrągłe czy też kuliste, zależy, jak to nazwać. Nie rozumiesz, że to zależy od naszego postrzegania? Twoje zmysły dostarczają ci niewłaściwych informacji... Nie wiem dlaczego, ale tak samo mylił się Destaine.

– Liz, to nie tylko kwestia percepcji. Widziałem ten świat, czułem go, żyłem w nim. Cokolwiek powiesz, dla mnie to rzeczywistość. Nie jestem osamotniony. Większość ludzi w mieście posiada taką samą wiedzę. Wszystko zaczęło się od Destaine'a, ponieważ on był tu na samym początku. Przetrwaliśmy długo właśnie dzięki jego wiedzy. Ona stanowi źródło wszystkiego i trzyma nas przy życiu, ponieważ bez niej nie utrzymywalibyśmy miasta w ruchu.

Elizabeth chciała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu.

– Liz, po tym jak cię zobaczyłem po raz pierwszy, potrzebowałem czasu do namysłu. Pojechałem na północ, daleko na północ. Widziałem tam coś, co dla miasta będzie stanowiło wyzwanie, z jakim jeszcze nigdy nie musieliśmy się mierzyć. Spotkanie z tobą było... sam nie wiem. Było czymś więcej, niż się spodziewałem. Jednak pośrednio doprowadziło do znacznie większego odkrycia.

– Jakiego?

– Nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Nie mogę powiedzieć nikomu poza Nawigatorami. Na razie postanowili utajnić tę wiedzę. To niedobra chwila na jej ujawnienie.

– Co masz na myśli?

– Słyszałaś o Wstrzymywaczach?

– Tak... ale nie wiem, kim są.

– Są... polityczną grupą działającą w mieście. Usiłują doprowadzić do zatrzymania miasta. Gdyby te informacje teraz wyciekły, mielibyśmy mnóstwo kłopotów. Właśnie przetrwaliśmy poważny kryzys i Nawigatorzy woleliby uniknąć kolejnego.

Elizabeth wpatrywała się w niego bez słowa. Nagle ujrzała siebie w nowym świetle.

Znajdowała się na granicy dwóch rzeczywistości: jedna należała do niej, druga do niego. Nieważne, jak bardzo się zbiegały, nigdy nie mogły się zetknąć. Podobnie jak na wykresie, który narysował Destaine, żeby przedstawić postrzeganą rzeczywistość, paradoksalnie, im bardziej zbliżała się do Helwarda, tym bardziej się od niego oddalała. Z jakiegoś powodu dała się wciągnąć w tę dramatyczną sytuację sprzecznych logik i wiedziała, że sobie z nią nie poradzi.

Chociaż przekonywały ją szczerść Helwarda oraz namacalna obecność miasta i jego mieszkańców, a także pozornie dziwaczne pomysły, na których opierali swoje przetrwanie, nie mogła zapomnieć o tej podstawowej sprzeczności. Miasto i zamieszkujący je ludzie istnieli na Ziemi, którą znała, i nie można było temu zaprzeczyć, niezależnie od tego, co widziała i co mówił Helward. Dowody sugerujące coś innego nie miały sensu.

Kiedy jednak próbowała podważyć istnienie granicy, zatrzymywała się w martwym punkcie.

\* \* \*

– Jutro opuszczę miasto – zapowiedziała Elizabeth.

– Dołącz do mnie. Znowu wyruszam na północ.

– Nie... Muszę wrócić do wioski.

– Do tej, z której sprowadzono kobiety?

– Tak.

– Wybieram się w tamtą stronę. Pojedziemy razem.

Kolejny impas: wioska była położona na południowy zachód od miasta.

– Po co przybyłaś do miasta, Liz? Nie jesteś jedną z miejscowych kobiet.

– Chciałam się z tobą zobaczyć.

– Po co?

– Nie wiem. Wystraszyłeś mnie, ale zobaczyłam innych mężczyzn takich jak ty, którzy handlowali z mieszkańcami wioski. Chciałam się dowiedzieć, co się dzieje. Teraz tego żałuję, ponieważ nadal mnie przerażasz.

– Przecież już się na ciebie nie wydieram, prawda?

Roześmiała się... i zrozumiała, że zrobiła to po raz pierwszy, odkąd przybyła do miasta.

– Nie, oczywiście, że nie – odrzekła. – Po prostu... Nie potrafię powiedzieć. Tutaj w mieście wszystko, co uznaję za pewnik, jest inne. Nie codzienne sprawy, ale ważniejsze kwestie, na przykład sens istnienia. Ludzie są niezwykle zdeterminowani, jakby miasto było jedynym, na czym im zależy. Wiem, że tak nie jest. Jest milion rzeczy, które można robić na świecie, a wola przetrwania z pewnością stanowi potężną motywację, jednak nie najważniejszą. Tutaj skupiacie się na przetrwaniu za wszelką cenę. Byłam na zewnątrz miasta, Helwardzie, daleko stąd. Może tak ci się wydaje, ale to miejsce nie jest centrum wszechświata.

– Jest – odparł. – Gdybyśmy przestali w to wierzyć, wszyscy byśmy zginęli.

Elizabeth nie miała żadnych problemów z opuszczeniem miasta. Zeszli do stajni razem z Helwardem i jeszcze jednym mężczyzną, którego Helward przedstawił jako Badacza Blayne'a, zabrali trzy wierzchowce i ruszyli w kierunku, który podobno był północą. Nie zgadzała się z jego wyczuciem kierunku, gdyż na podstawie położenia słońca oceniała, że jadą na południowy zachód, ale nic nie mówiła. Zdążyła się już przyzwyczaić do wydarzeń przeczących logice, więc nie widziała sensu w ich komentowaniu. Postanowiła zaakceptować zasady panujące w mieście, nawet jeśli ich nie rozumiała.

Kiedy wyjechali spod miasta, Helward pokazał jej olbrzymie koła, na których stało miasto, i wyjaśnił, że jego ruch naprzód jest tak powolny, że niemal niezauważalny. Jednakże zapewnił ją, że miasto w ciągu dziesięciu dni pokonuje około jednej mili, zmierzając na północ, czy też południowy zachód, w zależności od tego, jak postanowiła na to patrzeć.

Podróż trwała dwa dni. Mężczyźni dużo rozmawiali, między sobą, a także z Elizabeth, chociaż miała wrażenie, że większość tego, co mówią, jest pozbawione sensu.

Miała poczucie, że przytłacza ją nadmiar nowych informacji i nie jest w stanie przyswoić więcej.

Wieczorem pierwszego dnia znaleźli się w odległości około mili od jej wioski i Elizabeth powiedziała Helwardowi, że zamierza tam pojechać.

- Nie... jedź z nami. Możesz wrócić później.
- Chcę wrócić do Anglii. Sądzę, że mogę wam pomóc.
- Powinnaś to zobaczyć.
- Co to jest?

– Nie jesteśmy pewni – odrzekł Blayne. – Helward uważa, że może będziesz w stanie nam powiedzieć.

Opierała się jeszcze przez kilka minut, ale ostatecznie pojechała z nimi.

Dziwne, że tak łatwo angażowała się w rozmaite sprawy tych ludzi. Może dlatego, że mogła się z nimi identyfikować, a może dlatego, że społeczność żyjąca w mieście była zaskakująco cywilizowana – pomimo swoich dziwacznych zwyczajów – jak na świat, który od pokoleń pustoszyła anarchia. Wystarczyło kilka tygodni spędzonych w wiosce, żeby panujące tam zaściankowe poglądy, bierność oraz niezdolność do radzenia sobie z nawet najdrobniejszymi problemami odebrały jej energię do pracy. Ale ludzie w mieście Helwarda byli zupełnie inni. Najwyraźniej stanowili odgałęzienie jakiejś społeczności, która zdołała przetrwać Kryzys. W mieście obserwowało się zaczątki sterowanego społeczeństwa: wszechobecną dyscyplinę, poczucie celowości oraz prawdziwe zrozumienie własnej tożsamości, niezależnie od rozdźwięku pomiędzy wewnętrznymi podobieństwami a zewnętrznymi różnicami.

Dlatego kiedy Helward poprosił, żeby im towarzyszyła, a Blayne go poparł, nie mogła się sprzeciwić. Za sprawą własnych działań zaangażowała się w ich sprawy. Później będzie musiała stawić czoło konsekwencjom opuszczenia wioski – może usprawiedliwić swoją nieobecność, twierdząc, że chciała się dowiedzieć, dokąd są zabierane kobiety – teraz jednak czuła, że musi doprowadzić to do końca. Wcześniej czy później jakaś instytucja będzie musiała oficjalnie zrehabilitować mieszkańców miasta, ale na razie Elizabeth postanowiła się osobiście zaangażować.

Spędzili noc pod namiotami. Mieli tylko dwa, a mężczyźni szlachetnie zaproponowali jej jeden z nich na wyłączność... przedtem jednak długo rozmawiali.

Helward najwyraźniej opowiadał o niej Blayne'owi – o tym, że widzi ją inaczej niż ludzi z miasta oraz wioski.

Blayne teraz postanowił porozmawiać z nią osobiście, Helward zaś trzymał się na uboczu. Odzywał się z rzadka, tylko po to, żeby potwierdzić słowa towarzysza. Elizabeth spodobał się Blayne i jego bezpośredniość: nie próbował unikać żadnego z jej pytań.

W większości potwierdził wszystko, czego się dowiedziała. Opowiadał o Destainie i jego Dyrektywie, o mieście i potrzebie ciągłego parcia naprzód, a także o kształcie świata. Elizabeth już wiedziała, że nie warto kwestionować wyglądu miasta, i uważnie słuchała wszystkiego, co miał do powiedzenia.

Kiedy wreszcie wczółgała się do swojego śpiwora, była wyczerpana długą konną jazdą, jednak sen nie przychodził. Granica między światami stała się wyraźniejsza.

Chociaż wciąż nie wątpiła w swoje zdolności logicznego myślenia, lepiej rozumiała mieszkańców miasta. Twierdzili, że żyją w świecie, w którym obowiązują inne prawa przyrody. Była gotowa w to uwierzyć... a raczej uwierzyć, że są w swojej wierze szczerzy, chociaż się mylą.

To nie zewnętrzny świat był inny, ale ich postrzeganie. Jak mogłaby je zmienić?

\* \* \*

Wyszli z lasu i znaleźli się na obszarze porośniętym wysoką dziką trawą i karłowatymi krzewami. Nie biegły tędy żadne szlaki, więc wędrowali powoli. Nieprzerwanie wiał zimny wiatr, a pobudzająca świeżość powietrza wyostrzała im zmysły.

Krzewy stopniowo ustępowały miejsca twardej, surowej trawie porastającej piaszczystą glebę. Żaden z mężczyzn się nie odzywał; Helward tylko wpatrywał się przed siebie, pozwalając, żeby jego koń sam szukał drogi.

Elizabeth zauważyła, że przed nimi w ogóle nie ma roślinności, a kiedy pokonali grzbiet wzniesienia pokrytego piaskiem i żwirem, dostrzegła plażę, od której oddzielało ich tylko kilka jardów niskich wydm. Jej wierzchowiec poczuł sól w powietrzu, więc ochoczo zareagował na uderzenie piętami i popędził po piasku. Przez kilka oszalamiających minut pozwalała, by swobodnie ją niósł, i rozkoszowała się wolnością oraz



radością galopu po nieskazitelnej plaży, której przez dziesięciolecia nie tknęło nic poza falami.

Helward i Blayne zjechali na plażę za nią i teraz stali obok swoich wierzchowców, spoglądając na wodę.

Podjechała do nich klusem i zsiadła.

– Ciągnie się na wschód i zachód? – spytał Blayne.

– Tak daleko, jak udało mi się dotrzeć. Nie da się tego ominąć.

Blayne wyjął kamerę z jednego z bagaży, połączył ją z rejestratorem i powoli przesunął obiektyw wzdłuż krajobrazu.

– Będziemy musieli sprawdzić tereny na wschodzie i zachodzie – stwierdził. – Nie przedostaniemy się na drugą stronę.

– Nie widać przeciwległego brzegu.

Blayne zmarszczył czoło.

– Nie podoba mi się tutejszy grunt. Musimy sprowadzić kogoś z Budowniczych Mostów. Obawiam się, że takie podłoże nie udźwignie miasta.

– Musi istnieć jakiś sposób.

Mężczyźni całkowicie ignorowali Elizabeth. Helward ustawił niewielki przyrząd na trójnogu, pod którym umieścił okrągły wykres zawieszony na trzech zaczepach. Nad wykresem zawiesił sznurek pionu i odczytał wynik pomiaru.

– Jesteśmy daleko od optimum – rzekł w końcu. – Mamy mnóstwo czasu. Trzydzieści mil... to prawie rok. Sądziysz, że może się udać?

– Most? Byłoby ciężko. Potrzebowalibyśmy więcej ludzi. Co powiedzieli Nawigatorzy?

– Sprawdź moje sprawozdanie. Zgadzasz się?

– Tak. Nie mam nic do dodania.

Helward jeszcze przez kilka sekund patrzył na wodę, aż w końcu jakby przypomniał sobie o Elizabeth. Odwrócił się w jej stronę.

– Co o tym sądzisz?

– A co niby mam sądzić?

– Powiedz nam coś o naszej percepcji – rzekł Helward. – Powiedz nam, że tutaj nie ma rzeki.

– To nie jest rzeka – odparła.

Helward zerknął na Blayne’a.

– Słyszaleś. Wyobraziliśmy to sobie.

Elizabeth zamknęła oczy, po czym się odwróciła. Nie potrafiła już dłużej stawiać czoła dzielącej ich granicy.

Wiał chłodny wiatr, więc zabrała koc z grzbietu konia i wróciła na piaszczyste wzgórze. Kiedy znów obróciła się w ich stronę, już nie zwracali na nią uwagi. Helward rozstawił kolejny przyrząd i odczytywał z niego wyniki pomiarów. Wykrzykiwał je do Blayne’a, a wiatr porywał jego słowa.

Pracowali powoli i z trudem, na każdym etapie sprawdzając nawzajem swoje odczyty. Po godzinie Blayne zapakował część sprzętu na konia, wskoczył na siodło i odjechał wzdłuż wybrzeża na północ. Helward patrzył w ślad za nim, a z jego postawy dało się wyczytać głęboką i przytłaczającą rozpacz.

Elizabeth zinterpretowała ją jako malutki wyłom w logicznej barierze, która ich oddzielała. Otulając się kocem, zeszła z wydm.

– Wiesz, gdzie jesteś? – spytała.

Nie odwrócił się.

– Nie – odrzekł. – Nigdy się tego nie dowiemy.

– W Portugalii. Ten kraj nazywa się Portugalia. To w Europie.

Zaszła go z drugiej strony, żeby mógł widzieć jej twarz. Przez chwilę na nią spoglądał, ale miał pusty wzrok. Pokręcił głową i ominął Elizabeth, idąc w stronę swojego konia. Bariera była nieprzenikniona.

Elizabeth podeszła do swojego wierzchowca i wspięła się na jego grzbiet. Ruszyła wzdłuż brzegu, a następnie w głąb lądu, kierując się ku kwaterze głównej. Po kilku minutach niespokojny błękitny Atlantyk zniknął jej z oczu.

## Część piąta

Burza szalała przez całą noc i żadne z nas nie zmrużyło oka. Nasz obóz znajdował się pół mili od mostu, a kiedy uderzały fale, docierał do nas przytłumiony ryk, niemal zagłuszany przez wyjący wiatr. Gdy na chwilę zapadała cisza, w wyobraźni słyszeliśmy trzask pękającego drewna.

Przed świtem wiatr się uspokoił i udało nam się zasnąć. Nie na długo, ponieważ wkrótce po wschodzie słońca pojawili się pracownicy kuchni, żeby wydać nam jedzenie. Podczas posiłku nikt się nie odzywał; mogliśmy rozmawiać tylko na jeden temat, ale nikt nie miał ochoty go poruszać.

Wyruszyliśmy w stronę mostu. Uszliśmy zaledwie pięćdziesiąt jardów, gdy ktoś wskazał kawałek złamanego drewna, który wyrzuciła rzeka. Była to ponura wróżba, która niestety się sprawdziła. Z mostu pozostały tylko cztery główne filary osadzone w twardej ziemi nad samym brzegiem.

Zerknąłem na Lerouex, który podczas tej zmiany kierował wszystkimi pracami.

– Potrzebujemy więcej drewna – powiedział. – Handlowcu Norris... zabierz trzydziestu ludzi i zaczniście ścinać drzewa.

Czekałem na reakcję Norrisa; ze wszystkich członków cechów, którzy pracowali na budowie, on zdradzał najmniej entuzjazmu i głośno narzekał podczas pierwszego etapu prac. Teraz jednak się nie buntował; wszyscy już z tego wyrosliśmy. Skinął głową w stronę Lerouex, zebrał grupę ludzi i ruszył z powrotem do obozu po piły do drzew.

– Więc zaczynamy od nowa – powiedziałem do Lerouex.

– Oczywiście.

– Czy tym razem most wytrzyma?

– Jeśli właściwie go zbudujemy.

Odwrócił się i zabrał do organizowania prac porządkowych.

W tle rozlegał się huk fal, wciąż potężnych mimo zakończenia burzy.

Pracowaliśmy cały dzień i do wieczora zdołaliśmy uprzątnąć plac budowy, a Norris i jego ludzie przyciągnęli czternaście pni. Od następnego ranka mogliśmy znów zabrać się do pracy.

Jednakże jeszcze tego wieczoru odszukałem Lerouex. Siedział samotnie w swoim namiocie i próbował przeglądać projekty mostu, ale tak naprawdę miał nieobecny wzrok.

Nie wyglądał na zachwyconego moim widokiem, ale obaj pełniliśmy ważne funkcje na budowie, zatem wiedział, że nie odwiedzałbym go bez powodu. Byliśmy obecnie w podobnym wieku: za sprawą pracy na północy subiektywnie postarzałem się o wiele lat. Czuliśmy się nieco niezręcznie ze świadomością, że jest ojcem mojej byłej żony, a jednak jesteśmy równolatkami. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Victoria była zaledwie o kilka mil starsza niż w dniu naszego ślubu i dzieliła nas tak ogromna przepaść, że nie mogliśmy wrócić do tego, co dawniej nas łączyło.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – odezwał się Lerouex. – Powiesz, że nie uda nam się zbudować mostu.

– Będzie to trudne.

– Nie... Uważasz, że to niemożliwe.

– A co ty o tym sądzisz?

– Jestem Budowniczym Mostów, Helwardzie. Myślenie nie należy do moich obowiązków.

– Dobrze wiesz, że to bzdury.

– No dobrze... Ale jeśli jest potrzebny most, ja go buduję. Nie zadaję pytań.

– Zawsze miałeś do dyspozycji przeciwległy brzeg.

– To bez znaczenia. Możemy zbudować most pontonowy.

– A skąd weźmiemy drewno, kiedy będziemy w połowie szerokości rzeki? Gdzie osadzimy wyciągi? – Usiadłem nieproszony naprzeciwko niego. – Zresztą myliłeś się. Nie przyszedłem do ciebie w tej sprawie.

– A więc słucham.

– Drugi brzeg. Gdzie on jest?

– Gdzieś tam.

– Gdzie?

– Nie wiem.

– Skąd wiesz, że istnieje?

– Musi istnieć.

– Więc dlaczego go nie widzimy? – drążyłem. – Budujemy most pod kątem kilku stopni od prostopadłej, ale i tak powinniśmy dostrzec brzeg. Teren zakrzywia się...

– Ku górze. Wiem. Sądzisz, że się nad tym nie zastanawiałem? Teoretycznie możemy widzieć bez żadnych granic, ale co z zamgleniem? Sięgamy wzrokiem najwyżej na dwadzieścia do trzydziestu mil, nawet w bezchmurny dzień.

– Zamierzasz zbudować trzydziestomilowy most?

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – odrzekł Lerouex. – Myślę, że wszystko będzie dobrze. W przeciwnym razie po co bym się starał?

Pokręciłem głową.

– Nie mam pojęcia.

– Wiedziałaś, że zamierzają mianować mnie Nawigatorem? – spytał, a ja ponownie pokręciłem głową. – To prawda. Podczas mojej ostatniej wizyty w mieście długo się naradzaliśmy. Panuje przekonanie, że rzeka nie jest tak szeroka, jak się wydaje. Pamiętaj, że na północ od optimum wymiary ulegają zniekształceniu liniowemu. Czyli w kierunkach północnym i południowym. Nie ma wątpliwości, że to potężna rzeka, ale rozsądek podpowiada, że istnieje drugi brzeg. Nawigatorzy uważają, że będziemy mogli dostrzec, kiedy ruch gruntu przemieści rzekę do optimum. Możliwe, że rzeka i tak okaże się zbyt szeroka, żeby ją bezpiecznie przekroczyć, ale musimy poczekać. Im dalej damy się ponieść na południe, tym rzeka będzie węższa. Wtedy będziemy mogli zbudować most.

– To piekielnie ryzykowne – zauważyłem. – Siła odśrodkowa...

– Wiem.

– A co, jeśli nawet wtedy nie pokaże się drugi brzeg?

– Helwardzie, musi tak się stać.

- Wiesz, że istnieje inne wyjście? – spytałem.
  - Słyszałem, co mówią ludzie. Chcą porzucić miasto i wybudować okręt. Nie mogę tego poprzeć.
  - Nie pozwala ci cechowa duma?
  - Nie! – odparł, ale poczerwieniał na twarzy. – Względy praktyczne. Nie zdołalibyśmy zbudować okrętu, który byłby wystarczająco duży i bezpieczny.
  - Mamy takie same problemy z mostem.
  - Wiem... ale na mostach się znamy. Kto w mieście potrafi zaprojektować okręt? Poza tym uczymy się na swoich błędach. Musimy budować dalej, dopóki most nie będzie wystarczająco wytrzymały.
  - A czas ucieka.
  - Jak daleko na północ od optimum jesteśmy obecnie?
  - Niecałe dwanaście mil.
  - Według miejskiej miary czasu to sto dwadzieścia dni – policzył Lerouex. – Ile czasu zostało nam tutaj?
  - Subiektywnie myślę, że dwa razy więcej.
  - Czyli mnóstwo.
- Wstałem i podszedłem do klapy namiotu. Nie byłem przekonany.
- Gratuluję zostania Nawigatorem – rzuciłem.
  - Dzięki. Twoje nazwisko też zaproponowali.

Kilka dni później na miejsce Lerouex i mnie przybyła nowa zmiana pracowników, więc wyruszyliśmy w stronę miasta. Budowa naprawionego mostu przebiegała sprawnie i mimo trudnej sytuacji, wśród robotników panowały dobre nastroje. Ukończyliśmy dziesięć jardów platformy przygotowanej do ułożenia torów.

Z koni korzystały ekipy zajmujące się wycinką drzew, więc musieliśmy podróżować pieszo. Kiedy oddaliliśmy się od brzegu rzeki, wiatr osłabł i wzrosła temperatura. Łatwo było zapomnieć, w jak gorącej krainie się znajdujemy.

Po dłuższym marszu odezwałem się do Lerouex:

- Co słyhać u Victorii?
- W porządku.
- Rzadko ją teraz widuję.
- Ja także.

Postanowiłem nie drażnić tematu. Lerouex najwyraźniej wstydził się córki. W ciągu ostatnich kilku mil wiadomość o rzece przedostała się do ogółu mieszkańców i Wstrzymywacze – wśród których Victoria była obecnie wiodącą postacią – wystąpili z krzykliwą krytyką. Twierdzili, że mają poparcie osiemdziesięciu procent członków cechów, a miasto powinno zostać zatrzymane. Ostatnio nie byłem w stanie uczestniczyć w zebraniach Rady Nawigatorów, domyślałem się jednak, że zajmuje ich ten problem. Zerwali z kolejną dawną tradycją i rozpoczęli drugą kampanię edukacyjną skierowaną do obywateli spoza cechów, dotyczącą prawdziwej natury świata, ale ich niejasne i abstrakcyjne wyjaśnienia nie przemawiały do serc ludzi z taką siłą, jak argumenty Wstrzymywaczy.

Z psychologicznego punktu widzenia Wstrzymywacze już odnieśli jedno zwycięstwo. Tak wielu ludzi skupiło się na budowie mostu, że do



układania torów oddelegowano zaledwie jedną ekipę, a chociaż miasto wciąż się poruszało, musiało zwolnić i obecnie znajdowało się pół mili za optimum. Siły Zbrojne udaremniły próbę przecięcia kabli, jednak nie zwrócono na to większej uwagi. Nawigatorzy zdawali sobie sprawę, że prawdziwym zagrożeniem jest erozja tradycyjnego systemu władzy w mieście.

Victoria i inni jawni Wstrzymywacze wciąż wypełniali swoje obowiązki wobec miasta, jednak być może to ich wpływowi należało przypisywać liczne opóźnienia w rutynowych działaniach. Nawigatorzy oficjalnie winili za to oddelegowanie dużej części mężczyzn do budowy mostu, jednak mało kto miał wątpliwości co do prawdziwych przyczyn.

Wewnątrz cechów panowała niemal całkowita zgodność. Wielu ludzi narzekało, a niektórzy nie zgadzali się z podejmowanymi decyzjami, ogół jednak akceptował konieczność wybudowania mostu. Zatrzymanie miasta nie wchodziło w grę.

– Przyjmiesz nominację na Nawigatora? – spytałem.

– Chyba tak. Nie chcę odchodzić z pracy, ale...

– Odchodzić z pracy? Nikt o tym nie mówi.

– Będę musiał zrezygnować z czynnej pracy na rzecz cechu – wyjaśnił Lerouex. – To nowa polityka Rady. Uważają, że nominując ludzi, którzy odgrywali aktywną rolę, zyskają większą siłę przebicia. Właśnie dlatego chcą także ciebie.

– Mam pracę do wykonania na północy – odrzekłem.

– Ja również. Ale w pewnym wieku...

– Nie powinieneś myśleć o odejściu z pracy – przerwałem mu. – Jesteś najlepszym Budowniczym w mieście.

– Oni też tak twierdzą. Nikt nie jest na tyle nietaktowny, by wypominać mi, że moje ostatnie trzy projekty okazały się niewypałami.

– Chodzi ci o mosty, które zostały zniszczone nad tą rzeką?

– Tak. Zresztą najnowszy też czeka ten sam los, gdy nadejdzie kolejna burza.

– Sam powiedziałeś...

– Helwardzie... Nie jestem odpowiednią osobą do wybudowania tego mostu. Tutaj potrzebna jest świeża krew. Nowe podejście. Może odpowiedzią jest okręt.

Obaj rozumieliśmy, co dla niego znaczy takie przyznanie się do niepowodzenia. Cech Budowniczych Mostów był najdumniejszy w mieście. Żaden most nigdy nie zawiódł.

Szliśmy dalej.

\* \* \*

Kiedy tylko dotarliśmy do miasta, ogarnął mnie lęk przed powrotem na północ. Nie podobała mi się panująca atmosfera; miałem wrażenie, że ludzie zastąpili dawny cechowy system tuszowania informacji samodzielnie narzuconą ślepotą na fakty. Wszędzie widniały hasła Wstrzymywaczy, a w korytarzach wały się prymitywnie wydrukowane broszury. Mieszkańcy rozmawiali o moście, a w ich słowach pobrzmiwał strach. Mężczyźni wracający z pracy opowiadali o niepowodzeniach i budowaniu mostu prowadzącego do brzegu, którego nie widać. Plotki, zapewne rozpowszechniane przez Wstrzymywaczy, mówiły o dziesiątkach zabitych i kolejnych atakach tuków.

W sali Badaczy podszedł do mnie Clausewitz, który obecnie również był Nawigatorem. Wręczył mi oficjalny list od Rady, w którym osoba zgłaszająca (Clausewitz) oraz popierająca (McMahon) prosiły mnie o dołączenie do ich grona.

– Przykro mi – odrzekłem. – Nie mogę przyjąć nominacji.

– Potrzebujemy cię, Helwardzie. Jesteś jednym z najbardziej doświadczonych ludzi.

– Możliwe, ale jestem potrzebny przy budowie mostu.

– Tutaj mógłbyś wykonywać ważniejszą pracę.

– Wątpię.

Clausewitz zabrał mnie na bok, żeby pomówić ze mną w zaufaniu.

– Rada chce powołać grupę roboczą, która zajmie się Wstrzymywaczami – wyjął. – Chcemy, żebyś wszedł w jej skład.

– Jak możecie się nimi zająć? Uciszyć ich głos?

– Nie... Będziemy musieli zawrzeć z nimi kompromis. Oni chcą na dobre porzucić miasto. Wyciągniemy do nich rękę i zgodzimy się na odstąpienie od budowy mostu.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– Nie mogę brać w tym udziału – odparłem.

– Zamiast tego zbudujemy okręt. Nie będzie bardzo duży, na pewno nie tak złożony jak miasto. Wystarczająco obszerny, żeby przewieźć nas na drugi brzeg, gdzie odbudujemy miasto.

Oddałem mu list i odwróciłem się.

– Nie. To moje ostatnie słowo.

Przygotowałem się do niezwłocznego opuszczenia miasta, gdyż koniecznie chciałem wrócić na północ i przeprowadzić kolejne pomiary rzeki. Nasze sprawozdania potwierdziły, że to rzeczywiście rzeka, a nie jezioro, gdyż brzegi nie były okrągłe. Jeziora można okrążyć, rzeki trzeba przekraczać. Przypomniałem sobie jedyną optymistyczną uwagę Lerouex, że drugi brzeg może się pojawić, kiedy rzeka zbliży się do optimum. Była to rozpaczliwa nadzieja, jednak gdybym zdołał zlokalizować przeciwny brzeg, nikt już nie mógłby się sprzeciwić budowie mostu.

Szedłem przez miasto, zdając sobie sprawę, że moje słowa i zamiary przypieczętowały mój los. Poświęciłem się budowie mostu, a jednocześnie zdystansowałem się od Rady, która go konstruowała. W pewnym sensie zostałem sam, praktycznie i w sensie duchowym. Gdyby zawarto kompromis ze Wstrzymywaczami, musiałbym w końcu na niego przystać, ale na razie most pozostawał jedyną namacalną rzeczywistością, nawet jeśli wydawał się nieprawdopodobny.

Przypomniałem sobie coś, co kiedyś powiedział Blayne. Opisał miasto jako społeczność fanatyków, a ja się wtedy sprzeciwiłem. Powiedział, że według jednej z definicji fanatyk to człowiek, który walczy z przeciwnościami losu, chociaż nie ma nadziei na powodzenie. Miasto zmagало się z losem od czasów Destaine'a, lecz jego historia liczyła już siedem tysięcy z trudem wyszarpanych mil. Blayne stwierdził, że ludzie nie mogą przetrwać w takim środowisku, a jednak mieszkańcom miasta się to udawało.

Być może odziedziczyłem ten fanatyzm, ponieważ czułem, że w całym mieście obecnie tylko ja zachowuję chęć przetrwania. Przybrała ona konkretną formę w pozornie beznadziejnym zadaniu, jakim była budowa mostu.

Na jednym z korytarzy spotkałem Gelmana Jase'a. Był teraz o wiele subiektywnych mil młodszy ode mnie, ponieważ rzadko bywał na północy.

– Dokąd się wybierasz? – spytał.

– Na północ. W tej chwili nic mnie nie trzyma w mieście.

– Nie idziesz na zebranie?

– Jakie zebranie?

– Wstrzymywaczy.

– A ty idziesz? – spytałem.

W moim głosie najwyraźniej dało się wyczuć dezaprobatę, ponieważ Jase zaczął się tłumaczyć.

– Tak. Dlaczego nie? Po raz pierwszy wychodzą z ukrycia.

– Popierasz ich?

– Nie... Ale chcę wysłuchać, co mają do powiedzenia.

– A jeśli cię przekonają?

– To wątpliwe – odparł.

– Więc po co idziesz?

– Masz całkowicie zamknięty umysł, Helwardzie?

Otworzyłem usta, żeby zaprzeczyć... ale nic nie odpowiedziałem. Prawda była taka, że miałem zamknięty umysł.

– Nie wierzysz w inne punkty widzenia? – spytał Jase.

– Owszem... ale ta kwestia nie podlega dyskusji. Oni się mylą, a ty wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– To, że ktoś się myli, nie czyni go głupcem.

– Gelmanie, byłeś w przeszłości. Wiesz, co tam się dzieje. Wiesz, że miasto zostałoby tam poniesione przez poruszający się grunt. Nie może być wątpliwości, co miasto powinno robić.

– Wiem. Ale oni cieszą się sympatią dużego procentu mieszkańców. Powinniśmy ich wysłuchać.

– Są wrogami bezpieczeństwa miasta.

– Zgoda... ale żeby pokonać wroga, trzeba go najpierw poznać. Idę na to spotkanie, ponieważ tam po raz pierwszy publicznie przedstawią swoje poglądy. Chcę wiedzieć, czemu muszę stawić czoło. Jeśli mamy przeprowadzić

się po tym moście, będą za to odpowiadać ludzie tacy jak ja. Jeżeli Wstrzymywacze mają inne rozwiązanie, to chcę je poznać. Jeżeli nie, również chcę o tym wiedzieć.

– Ja wyruszam na północ – odrzekłem.

Jase pokręcił głową. Sprzeczaaliśmy się jeszcze przez chwilę, a potem poszliśmy na zebranie.

\* \* \*

Kilka mil wcześniej zaprzestano prób odbudowania ochronki. Już dawno uprzątnięto ruiny, pozostawiając gołą metalową podstawę odsłoniętą z trzech stron. Po północnej stronie tego obszaru, pod bryłą miasta, wykonano część prac remontowych, a drewniane zewnętrzne pokrycie ścian zapewniało mówcom odpowiednie tło oraz niewielkie podwyższenie, z którego mogli zwracać się do tłumu.

Kiedy Jase i ja wyszliśmy z ostatniego budynku, na miejscu było już mnóstwo ludzi. Zaskoczyła mnie ich liczebność; populacja miasta spadła na skutek werbunku do budowy mostu, szacowałem jednak, że na zebranie przyszło co najmniej trzysta albo czterysta osób. Wyglądało na to, że tylko nieliczni się nie stawili. Zapewne robotnicy zajęci mostem, Nawigatorzy oraz kilku dumnych członków cechów.

Przemowa już trwała, a tłum słuchał bez słowa. Główną część przemowy – wygłaszanej przez mężczyznę, w którym rozpoznałem jednego z producentów syntetycznego jedzenia – stanowił opis terenu, przez który obecnie podróżowało miasto.

– ...gleba jest żyzna, więc mielibyśmy duże szanse na hodowanie własnych upraw. Mamy mnóstwo wody, zarówno w okolicy, jak i na północy. – Śmiech. – Klimat jest przyjazny. Miejscowa ludność nie ma wrogich zamiarów, a my nie musimy tego zmieniać...

Po kilku minutach zszedł z podwyższenia pośród oklasków. Kolejny mówca bez zbędnych wstępów zajął jego miejsce. To była Victoria.

– Mieszkańcy miasta, stajemy przed kolejnym kryzysem, który sprowadziła na nas Rada Nawigatorów. Od tysięcy mil przedzieramy się przez tę krainę, robiąc w celu przetrwania nieludzkie rzeczy. Naszą taktyką jest parcie naprzód, ku północy. Ten okres życia jest już za nami...  
– Machnęła ręką, wskazując obszerny fragment krajobrazu rozciągającego się za południowym skrajem platformy. – Podobno przed nami znajduje się rzeka, a my musimy ją przekroczyć, żeby przetrwać. Co jest dalej, tego nam nie mówią, ponieważ nie mają pojęcia.

Victoria mówiła długo i przyznając, że byłam wobec niej uprzedzony już od pierwszych słów. Miałem wrażenie, że stosuje tanią retorykę, ale tłum najwyraźniej był zadowolony. Może nie byłam tak obojętny, jak mi się wydawało, ponieważ kiedy zaczęła opisywać budowę mostu i wysunęła oskarżenie, że prace pochłonęły wiele ludzkich istnień, chciałem wystąpić naprzód i zaprotestować. Jase chwycił mnie za rękę.

– Helwardzie... nie rób tego.

– Ona wygaduje bzdury! – oburzyłem się, ale w tej samej chwili kilka osób w tłumie zaczęło wykrzykiwać, że to tylko plotki.

Victoria grzecznie przyznała im rację, ale dodała, że podczas budowy mostu zapewne dzieje się dużo więcej niż tylko to, o czym było powszechnie wiadomo; tę opinię przyjęto z zadowoleniem.

Victoria zakończyła swoją przemowę w niespodziewany sposób.

– Twierdzą, że most nie tylko jest niepotrzebny, ale także niebezpieczny. Dysponuję opinią specjalisty. Jak wielu z was wie, mój ojciec jest cehmistrzem Budowniczych Mostów. To on zaprojektował tę przeprawę. Posłuchajcie, co ma do powiedzenia.

– Boże... nie mogła tego zrobić! – zakrzyknąłem.

– Lerouex nie jest Wstrzymywaczem – odrzekł Jase.

– Wiem. Ale stracił wiarę.

Budowniczy Lerouex już stał na platformie. Zajął miejsce u boku córki i czekał, aż umilkną owacje. Nie patrzył na tłum, tylko wbijał wzrok w podłoże. Sprawiał wrażenie zmęczonego, starego i pokonanego.

– Chodź, Jase. Nie chcę widzieć, jak go upokarzają.

Jase popatrzył na mnie niepewnie. Lerouex szykował się, żeby coś powiedzieć.

Przepychałem się przez tłum, chcąc się oddalić, zanim cokolwiek powie. Szanowałem Lerouex, dlatego nie chciałem oglądać jego porażki.

Zatrzymałem się po kilku jardach.

Za Victorią i jej ojcem stał ktoś inny, kogo rozpoznawałem. Przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska tej osoby. W końcu do mnie powróciło. To była Elizabeth Khan.

Zaszokował mnie jej widok. Opuściła nas dawno temu: przed co najmniej osiemnastoma milami według kalendarza miasta, a znacznie dawniej według mojej subiektywnej rachuby. Kiedy odeszła, próbowałem o niej zapomnieć.

Lerouex zaczął przemawiać do tłumu. Mówił cicho, a jego słowa nie docierały daleko.

Wpatrywałem się w Elizabeth. Domyślałem się, po co tutaj przybyła. Zamierzała przemówić, kiedy Lerouex skończy się upokarzać. Wiedziałem, co powie.

Ponownie ruszyłem naprzód, ale nagle ktoś przytrzymał mnie za ramię. To był Jase.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

– Tamta dziewczyna. Znam ją. Pochodzi spoza miasta. Nie możemy dopuścić jej do głosu.

Ludzie stojący w pobliżu zaczęli nas uciszać. Próbowałem wyrwać się Jase'owi, ale mocno mnie trzymał.

Nagle rozległy się rzęsiste oklaski i zrozumiałem, że Lerouex skończył.

– Posłuchaj... musisz mi pomóc – zwróciłem się do Jase'a. – Nie wiesz, kim jest ta dziewczyna!

Kątem oka zobaczyłem, że zbliża się do nas Blayne.

– Helwardzie... widziałeś, kto tutaj jest?

– Blayne! Na litość boską, pomóż mi!

Znów zacząłem się wyrwać, ale Jase mnie nie puszczał. Blayne szybko do mnie podszedł i chwycił mnie za drugą rękę. Razem pociągnęli mnie do



tyłu, z dala od tłumu, do samej krawędzi metalowej podstawy.

– Posłuchaj, Helwardzie – powiedział Jase. – Zostań tutaj i jej wysłuchaj.

– Wiem, co zamierza powiedzieć!

– Więc pozwól, żeby inni też to usłyszeli.

Victoria zbliżyła się do skraju platformy.

– Mieszkańcy miasta, przemówi do was jeszcze jedna osoba. Wielu z was jej nie zna, ponieważ nie pochodzi z naszego miasta. Jednak ma wam do powiedzenia coś niezwykle istotnego, a gdy to usłyszycie, nie będziecie mieć już żadnych wątpliwości, co należy uczynić.

Uniosła dłoń, a wtedy Elizabeth wystąpiła naprzód.

\* \* \*

Mówiła cicho, ale jej głos docierał do wszystkich obecnych.

– Nie znacie mnie, ponieważ nie przyszedłem na świat wewnątrz miasta. Jednak wy i ja mamy wiele wspólnego: jesteśmy ludźmi i pochodzimy z planety zwanej Ziemią. Przetrwaliście w tym mieście niemal dwieście lat, czyli siedem tysięcy mil według waszej rachuby czasu. Otacza was świat anarchii i ruin. Ludzie nieświadomi, niewykształceni, dotknięci biedą. Jednak nie wszyscy ludzie na tym świecie tacy są. Pochodzę z Anglii, kraju, w którym zaczynamy odbudowywać cywilizację. Istnieją także inne kraje, większe i potężniejsze od Anglii. Zatem wasz stabilny i zorganizowany sposób życia nie stanowi wyjątku.

Na chwilę przerwała, sprawdzając reakcje tłumu. Panowała cisza.

– Natrafiłem na wasze miasto przypadkiem i przez pewien czas mieszkałem w waszym centrum adaptacyjnym. – Część ludzi zareagowała zdziwieniem. – Rozmawiałam z niektórymi z was, więc wiem, jak żyjecie. Później opuściłam miasto i wróciłam do Anglii. Spędziłam tam prawie sześć miesięcy, próbując zrozumieć miasto i jego historię. Teraz wiem znacznie więcej niż podczas pierwszej wizyty.

Ponownie zamilkła. Jakiś mężczyzna w tłumie zawołał:

– Anglia jest na Ziemi!

Elizabeth nie odpowiedziała.

– Mam pytanie – rzekła po chwili. – Czy jest tutaj ktoś, kto odpowiada za silniki miasta?

Przez chwilę panowała cisza. W końcu odezwał się Jase.

– Ja należę do cechu Trakcji.

Ludzie obejrżeli się w naszą stronę.

– Więc może nam pan powiedzieć, co napędza silniki.

– Reaktor jądrowy.

– Proszę opisać, w jaki sposób dostarcza się do niego paliwo.

Jase puścił mnie i odsunął się na bok. Poczułem, że Blayne również zwolnił uścisk, tak że mógłbym mu się wyrwać, ale tak jak wszyscy słuchałem, zafrapowany tymi dziwnymi pytaniami.

– Nie wiem – odrzekł Jase. – Nigdy nie widziałem, jak to się dzieje.

– Więc musicie się tego dowiedzieć, zanim zatrzymacie miasto.

\* \* \*

Elizabeth cofnęła się i po cichu porozmawiała z Victorią. Po chwili znów wystąpiła naprzód.

– Wasz reaktor wcale nim nie jest. Ludzie, którzy należą do tak zwanego cechu Trakcji, nieświadomie wprowadzają was w błąd. Reaktor nie działa od tysięcy mil.

– I co? – Blayne odezwał się do Jase’a.

– Opowiada bzdury.

– A wiesz, co napędza reaktor?

– Nie – odparł cicho Jase, chociaż wielu ludzi się nam przysłuchiwało. – Nasz cech wierzy, że on będzie zawsze działał bez jakiegokolwiek obsługi.

– Wasz reaktor wcale nim nie jest – powtórzyła Elizabeth.

– Nie słuchajcie jej! – zawołałem. – Skoro mamy prąd, to znaczy, że reaktor działa. Niby skąd mielibyśmy mieć energię elektryczną?

– Wysłuchajcie mnie – powiedziała Elizabeth.

\* \* \*

Zapowiedziała, że opowie nam o Destainie. Słuchałem razem ze wszystkimi.

Francis Destaine był fizykiem cząstek elementarnych, który mieszkał i pracował w Wielkiej Brytanii, na planecie Ziemi. W jego czasach na Ziemi zaczęło brakować energii elektrycznej. Elizabeth wymieniła przyczyny takiego stanu rzeczy, z których główną było uzyskiwanie prądu na drodze przekształcania energii cieplnej powstałej podczas spalania paliw kopalnych. Kiedy złoża paliw się wyczerpały, skończyła się energia.

Destaine utrzymywał, że odkrył proces, dzięki któremu można wytworzyć nieskończoną ilość energii bez udziału żadnego paliwa. Większość naukowców odrzuciła jego odkrycia. Z czasem energia pochodząca z paliw kopalnych wyczerpała się i na Ziemi zapanował długi okres obecnie nazywany Kryzysem. Przyniósł on koniec zaawansowanej technologicznie cywilizacji, która dominowała na Ziemi.

Elizabeth powiedziała, że ludzie na Ziemi właśnie rozpoczynają dzieło odbudowy, odkrycia Destaine'a zaś pełnią w tym kluczową rolę. Pierwotnie uznano je za prymitywne i niebezpieczne, jednak udało się je rozwinąć, opracowując proces, który jest bardziej wyrafinowany, skuteczniejszy i łatwiejszy do opanowania.

– Co to ma wspólnego z zatrzymaniem miasta?! – zawołał ktoś.

– Posłuchajcie – odrzekła Elizabeth.

Destaine wynalazł generator wytwarzający sztuczne pole energii, które w bliskości innego podobnego pola wywołuje przepływ energii elektrycznej. Jego krytycy wskazywali, że to niepraktyczna metoda, ponieważ dwa generatory zużywają więcej energii, niż są w stanie wyprodukować.

Destaine nie był w stanie uzyskać finansowego ani intelektualnego wsparcia dla swojego projektu. Nawet kiedy ogłosił, że odkrył naturalne pole – okno translateracji, jak je określał – które pozwala uzyskać

wspomniany efekt bez potrzeby używania drugiego generatora, środowisko nadal go ignorowało.

Twierdził, że to naturalne okno potencjalnej energii powoli przemieszcza się po powierzchni ziemi, kreśląc, jak to opisała Elizabeth, potężny okrąg.

Destaine w końcu zdołał zdobyć fundusze od prywatnych sponsorów, zbudował mobilną stację badawczą i z dużym zespołem wynajętych asystentów wyruszył w stronę prowincji Kuntung w południowych Chinach, gdzie, jak utrzymywał, istniało naturalne okno translateracji.

– Potem słuch o nim zaginął – dodała Elizabeth.

\* \* \*

Elizabeth powiedziała, że znajdujemy się na planecie Ziemi i nigdy jej nie opuściliśmy.

Powiedziała, że świat, na którym żyjemy, to Ziemia, lecz nasza percepcja jest zniekształcona za sprawą generatora translateracji, który ładuje się, dopóki pozostaje w ruchu, wytwarzając wokół nas pole.

Powiedziała, że Destaine ignorował skutki uboczne, przed którymi przestrzegali go inni naukowcy: trwałe zaburzenia postrzegania oraz zmiany genetyczne i dziedziczne.

Powiedziała, że tamto okno translateracji wciąż istnieje na Ziemi, ale odkryto także wiele kolejnych.

Powiedziała, że nasz generator wciąż jest połączony z oknem, które Destaine odkrył w Chinach.

Że kreśląc potężny okrąg, przemierzyliśmy Azję i Europę.

Że obecnie znajdujemy się na skraju Europy, a przed nami rozciąga się ocean o szerokości wielu tysięcy mil.

Opowiadała... a ludzie słuchali...

\* \* \*

Elizabeth skończyła mówić. Jase powoli podszedł do niej, przeciskając się przez tłum.

Ruszyłem do wejścia prowadzącego do tej części miasta. Minąłem platformę w odległości kilku stóp i Elizabeth mnie zauważyła.

– Helwardzie! – zawołała.

Nie zwróciłem na nią uwagi, tylko przebiełem się przez tłum do wnętrza miasta. Zbiegłem po schodach, przeszedłem korytarzem pod miastem i ponownie znalazłem się na świeżym powietrzu.

Ruszyłem na północ, idąc pomiędzy torami i kablami.

Pół godziny później usłyszałem za sobą tętent konia, więc się odwróciłem. Elizabeth mnie dogoniła.

– Dokąd idziesz? – spytała.

– Wracam na most.

– Nie rób tego. Nie ma takiej potrzeby. Cech Trakcji odłączył generator. Wskazałem słońce.

– A ono jest teraz kulą.

– Tak.

Szedłem dalej.

\* \* \*

Elizabeth powtórzyła to, co powiedziała wcześniej. Błagała, żebym usłuchał głosu rozsądku. Raz za razem przekonywała mnie, że moje postrzeganie świata jest zniekształcone.

Milczałem.

Elizabeth nie była w przeszłości. Nigdy nie oddaliła się od miasta na północ ani południe o więcej niż kilka mil. Nie była ze mną, kiedy oglądałem, jak naprawdę wygląda ten świat.

Czy to moja percepcja zmieniła wymiary Lucii, Rosario i Cateriny? Nasze ciała połączyły się w seksualnym uścisku: doświadczyłem tych zmian. Czy to percepcja kazała niemowlęciu odrzucić mleko Rosario? Czy to tylko moja percepcja sprawiła, że uszyte w mieście ubrania dziewcząt podarły się, gdy okryte nimi ciała uległy zniekształceniu?

\* \* \*

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego samego, kiedy wcześniej byłaś w mieście? – spytałem.

– Ponieważ wtedy jeszcze nie wiedziałam. Musiałam wrócić do Anglii. I wiesz co? Tam nikogo to nie obchodzi. Próbowałam znaleźć kogoś, kogokolwiek, kto przejąłby się losem waszego miasta... ale nikt nie był zainteresowany. W tym świecie tak wiele się dzieje, zachodzą ważne i podniecające zmiany. Nikogo nie obchodzą miasto i jego mieszkańcy.

– A jednak wróciłaś.

– Widziałam miasto na własne oczy. Wiedziałam, co zamierzacie zrobić. Musiałam dowiedzieć się czegoś o Destainie... ktoś musiał mi wyjaśnić proces translateracji. Obecnie to nudna i pospolita technologia, ale nie wiedziałam, na jakiej zasadzie działa.

– To oczywiste – odparłem.

– Co masz na myśli?

– Skoro generator został wyłączony, to problem zniknął. Wystarczy, że będę patrzył na słońce i powtarzał sobie, że jest kulą, chociażby wyglądało inaczej.

– To tylko twoja percepcja – nalegała.

– Zatem według niej nie masz racji. Wiem, co widzę.

– Właśnie o to chodzi, że nie wiesz.

Kilka minut później minął nas tłum kierujący się na południe w stronę miasta. Większość ludzi niosła swój dobytek, który wcześniej zabrali na miejsce budowy. Nikt nie zwrócił na nas uwagi.

Przyśpieszyłem, próbując zgubić Elizabeth, ale wciąż za mną podążała, prowadząc wierzchowca za uzdę.

\* \* \*

Budowa była opuszczona. Zszedłem na miękką żółtą ziemię nad brzegiem, a następnie powędrowałem wzdłuż mostu. Woda pode mną była spokojna i czysta, chociaż fale wciąż rozбивały się o brzeg za moimi plecami.

Odwróciłem się i obejrzałem. Elizabeth stała na brzegu ze swoim koniem i uważnie mnie obserwowała. Patrzyłem na nią przez kilka sekund, a potem zdjąłem buty. Odsunąłem się od niej, stając na samym skraju mostu.

Zerknąłem na słońce. Obniżało się ku północno-wschodniemu horyzontowi. Było na swój sposób piękne. Pełen uroku, tajemniczy kształt, znacznie bardziej estetycznie satysfakcjonujący niż zwykła kula. Żałowałem jedynie, że nigdy nie udało mi się go właściwie narysować.

Skoczyłem z mostu na główkę. Woda była zimna, ale nie nieprzyjemna. Kiedy tylko wypłynąłem na powierzchnię, nadciągająca fala pchnęła mnie na najbliższy filar. Odepchnąłem się od niego i popłynąłem na północ, mocno i równomiernie pracując rękami.

Ciekawiło mnie, czy Elizabeth wciąż na mnie patrzy, więc obróciłem się na plecy i położyłem na wodzie. Oddaliła się od wzgórza i powoli jechała konno po nierównej powierzchni mostu. Kiedy dotarła do jego końca, zatrzymała się.

Siedziała w siodle i patrzyła w moim kierunku.

Dalej unosiłem się na wodzie, czekając, czy wykona jakiś ruch w moją stronę. Słońce obmywało ją ciemnożółtym blaskiem, który wyraźnie kontrastował z błękitem nieba za jej plecami.

Odwróciłem się i popatrzyłem na północ. Słońce zachodziło i większość szerokiego dysku już zniknęła mi z oczu. Zaczekałem, aż świetlny szpic na szczycie słońca zsunie się za horyzont. Kiedy zapadła ciemność, pokonując fale, popłynąłem z powrotem na plażę.